



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

*Cichych nocy, jasnych dni.
Dobrze chronionych granic.
I bezgranicznej miłości*
życzy redakcja „Wyborczej”



RYŚ: ALICJA KOCUREK

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



Wtorek-czwartek, 24-26 grudnia 2024 | Redaktorzy prowadzący **Ewa Wiczorek, Marcin Stelmasiak** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 299.10793,1 | Nakład 90 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

KRAJ/3434857



Sprawa Marcina Romanowskiego

Węgry nadwyrężyły cierpliwość wielu partnerów. Może czas coś z tym zrobić?

By stwierdzić „istnienie wyraźnego ryzyka poważnego naruszenia przez państwo członkowskie wartości UE”, potrzeba zgody 20 z 27 krajów Wspólnoty. Polska dyplomacja powinna zająć się budową takiej grupy.

Wielński



To, że węgierski rząd udzielił Marcino-
wi Romanowskiemu azylu, nie ozna-
cza, że europejski nakaz aresztowa-
nia (ENA) wydany przez polski sąd zo-
stał anulowany. Nakaz pozostaje w mo-
cy i będzie musiał zająć się nim sąd w-
ęgierski. Ma na to 60 dni.

Wprowadzony w 2002 r. europej-
ski nakaz aresztowania to odpowiedź
na działania przestępców, którzy wyko-
rzystywali brak kontroli na granicach
i swobodny przepływ ludzi, towarów
i usług w swojej działalności. ENA dzia-
ła tak, że np. Niemiec, który popełnił
w Polsce przestępstwo, nie uniknie od-
powiedzialności, przebywając we wła-
snym kraju. Gdy polski sąd wystawi za
nim ENA, niemiecka policja musi go
zatrzymać, a niemiecki sąd przeanaliz-
ować sprawę i zdecydować, czy należy
obywatela wydać, czy nie.

Regularnie zdarza się, że sądy
w krajach UE uznają, że ENA wyda-
no bez podstaw. Przez ostatnie kilka
lat nakazy wydawane przez polskie są-
dy analizowano bardzo szczegółowo
z powodu demontażu praworządności
przez PiS. Sądy w krajach UE nie chcia-
ły brać na siebie odpowiedzialności za
chaos w polskim sądownictwie, osta-
tecznie TSUE wydał sędziom wskazów-
ki, jak postępować w takich sytuacjach.

Sprawa Romanowskiego jest pre-
cedensowa. Tak jak w Polsce nie było
jeszcze sytuacji, by sąd polecił aresztow-
ać urzędującego posła, tak w UE nie
zdarzyło się, by poszukiwany europej-
skim nakazem aresztowania otrzymał
azyl polityczny.

Węgierski sąd będzie musiał zbadać,
czy w Polsce faktycznie Romanowskie-
mu groził prześladowanie i tortury.

Zakładam, że Polska będzie w takim
postępowaniu brać udział i przedsta-
wi dowody.

Oczywiście nie można zapomnieć,
że stroną w sprawie są Węgry – upa-
dająca oligarchia, gdzie władza gardzi
prawem. Gdyby państwo było prawo-
rządne, wielu współpracowników pre-
miera Viktora Orbána – a może i on
sam – siedziałoby już w więzieniach za

korupcję. Nie spodziewam się, że w-
ęgierscy sędziowie podważą decyzję
swojego premiera. Będą musieli jednak
ją jakoś uzasadnić. Polska wówczas bę-
dzie mogła zaskarżyć Węgry w Komisji
Europejskiej. Ostatecznie sprawa znaj-
dzie się pewnie w Trybunale Sprawie-
dliwości Unii Europejskiej.

Nie chodzi jednak o proces, który
będzie się ciągnął latami. Po raz pierw-
szy w najnowszej historii relacje Polski
i Węgier znajdują się w kryzysie – i to
bardzo poważnym.

Ministerstwo Spraw Zagranicz-
nych odwołało z Budapesztu polskie-
go ambasadora na konsultacje do kra-
ju, z Warszawy wyjedzie ambasador
węgierski. Relacje sięgnęły dna. Współ-
praca między rządami zostanie zamro-
żona, tak jak i międzynarodowe forma-
ty, w których działały Polska i Węgry.

Orbán, ratując przed więzieniem
polityka PiS, stracił ważnego partne-
ra, Polska przestanie na unijnej scenie
wspierać węgierskie interesy, co do tej
pory robiła jako większy bratanek.

Orbán wprawdzie zakłada, że
wkrótce będzie miał potężnego pro-
tektora w postaci prezydenta USA Do-
nalda Trumpa, ale może się przeliczyć.
Trudno sobie wyobrazić, by Ameryka

finansowała węgierski reżim albo na-
ciskała na Komisję Europejską, by od-
blokowała Orbánowi wypłatę unijnych
subwencji. Polska dyplomacja będzie
z kolei Węgrom utrudniać życie.

Zastanawiam się, czy sprawa Roma-
nowskiego nie wywoła większych re-
perkusji niż polsko-węgierska zimna
wojna.

Do tej pory państwa członkowskie
staraly się nie mieszać do sporów Bu-
dapesztu z instytucjami europejskimi
o łamanie praworządności, wolności
mediów, brak walki z korupcją.

Może teraz to się zmieni?

Węgry wspierające zbrodniczy
reżim Putina, blokujące sankcje na Ro-
sję i pieniądze na pomoc dla Ukrainy,
delikatnie mówiąc, nadwyrężyły cier-
pliwość wielu partnerów. Może czas
coś z tym zrobić i np. zastosować wo-
bec Węgier jedną z procedur dyscypli-
narnych zapisanych w art. 7. traktatu
europejskiego?

By stwierdzić „istnienie wyraźne-
go ryzyka poważnego naruszenia przez
państwo członkowskie wartości UE”,
potrzeba zgody 20 z 27 krajów Wspól-
noty. Polska dyplomacja powinna zająć
się budową takiej grupy. ●

Bartosz T. Wielński

*Ja się nie dziwię, że Węgrzy
mają wątpliwości, czy wobec
Romanowskiego postępuje się
w sposób zgodny z zasadami państwa
prawa, czy też nie*

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA
w RMF FM

Andrzej rysuje

USA Upadek



Uczestnik zawodów surfingowych Eddie Aikau Big Wave Invitational na Hawajach spada z deski.

Liczba dnia

20

MLD

Tyle metrów sześciennych gazu
sprowadziła w ub.r. z Rosji tranzy-
tem przez Ukrainę Słowacja ► 6



Zablokowane głosowanie

Szefowi Państwowej Komisji Wyborczej nie udało się wprowadzić pod głosowanie uchwały w sprawie finansów PiS. Zablokowała to część Komisji. Sylwester Marciniak już zapowiada, że sprawa wróci.

Agnieszka Kublik, Iwona Szpala

To kolejna odsłona sporu wokół milionów z budżetowego finansowania dla PiS. W weekend Ryszard Kalisz z PKW opowiedział w TVN24 o mailu, w którym przeczytał, że przewodniczący Komisji zarządza internetowe głosowanie nad pakietem uchwał. Jedną z nich było zatwierdzenie sprawozdania finansowego komitetu wyborczego PiS zgodnie z wyrokiem Sądu Najwyższego. Uchwała opisana „KW PiS po SN” Kalisza mocno zdziwiła. Bo w zeszły poniedziałek większość Komisji zdecydowała o odroczeniu sprawy finansów PiS.

Argumentem był status Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która rozstrzygała o losach odwołania PiS. Powstała w 2017 r., zasiadają tam neosędziowie z rekomendacji upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa. Izby nie uznają zarówno polskie jak i europejskie sądy oraz trybunały.

Z naszych informacji wynika, że przewodniczący Sylwester Marciniak nie traktuje poniedziałkowej decyzji PKW jako uchwały. To dla niego jedynie wniosek formalny i właśnie dlatego zarządził nowe głosowanie. Pomyśl przepadł, bo część członków komisji złożyła wnioski o zdjęcie punktu z porządku obrad. To te same osoby, które przed tygodniem uznały, że sprawę finansów PiS należy bezterminowo odroczyć. Z tego co ustaliliśmy, zarzucili Marciniakowi łamanie kodeksu wyborczego i regulaminu PKW, które nakazują przewodniczącemu wykonywać wszystkie stanowiska komisji.

Marciniak był tego świadom, bowiem w poniedziałkowy poranek dostał mail od jednego z członków PKW, który wyjaśnia, dlaczego sprzeciwia się on decyzji szefa PKW. Píše tam, że Kodeks wyborczy nakazuje szefowi PKW „nadzorowanie wykonania uchwał Komisji i wykonanie czynności zleconych przez Komisję”. A regulamin – „nadzorowanie wykonania wniosków Komisji”.

„Wbrew w/w Pańskim obowiązkom, ignorując głosowanie na posiedzeniu PKW w dniu 16 grudnia 2024 r., podjął Pan decyzję o obiegowym trybie podjęcia tej uchwały za pośrednictwem poczty elektronicznej” – czytamy w tym liście.

Marciniak w oświadczeniu dla PAP zapowiedział kolejne głosowania w sprawie finan-



• Sylwester Marciniak, przewodniczący PKW FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

sów PiS. Posiedzenie wyznaczył na 30 grudnia, w samo południe.

– Jeśli do tego dojdzie, to przewodniczący znowu złamie regulamin – usłyszeliśmy od jednego z członków PKW.

Dlaczego utracono sprawozdanie?

Problemy PiS rozpoczęły się w sierpniu. To wtedy większość PKW uznała, że komitet wyborczy korzystał z nielegalnego finansowania. Po audytach Kancelarii Premiera i ministerstw kulisy finansowania kampanii PiS stały się publiczne. Okazało się, że szef rządowego biura legislacji Krzysztof Szczucki miał na fikcyjnych etatach PR-owców, którzy robili mu kampanię. Stworzył dla nich nowy wydział biura o nazwie „edukacja i komunikacja”, zaczął jeździć w teren głównie do swojego przyszłego okręgu wyborczego.

Szczuckim zajmuje się prokuratura. Ale PKW, utracając sprawozdanie PiS, opisała inne naruszenia. M.in. agitację wyborczą Jarosława Kaczyńskiego, który na piknikach wojskowych zagrzewał do głosowania na partię.

PKW odnotowała też spot ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, który promował zmiany w kodeksie karnym. Był też „spacer po zdrowie” z byłą wicepremier Jadwigą Emilewicz – impreza opłacona przez Kostrzyńsko-Slubicką Specjalną Strefę Ekonomiczną, a także zlecenie dla państwowego instytutu NASK, który miał tropić fake newsy w mediach społecznościowych, a od września 2023 r. zajmował się badaniem wiarygodności PiS.

Decyzja PKW odebrała PiS prawo do zwrotu blisko 11 mln zł za kampanię parlamentarną. O tyle samo zmalało finansowanie budżetowe, które sięga 38 mln zł. Komitet wyborczy miał też zwrócić 3,6 mln zł, czyli to, co nielegalnie wydał.

Podział w PKW

PiS odwołał się od rozstrzygnięcia i 11 grudnia wygrał przed złożoną z neosędziów Izbą Kontroli. Wśród siódemki, która zajęła się wnioskiem partii Jarosława Kaczyńskiego był sędzia, który sam chciał wyłączenia go ze sprawy. Tłumaczył, że łączy go wieloletnia znajomość z posłem PiS. Jego prośba nie została jednak przyjęta.

– Sąd Najwyższy uznał uchwałę Państwowej Komisji Wyborczej za sprzeczną z obowiązującym prawem – taką informacją podzielił się rzecznik SN neosędzia Aleksander Stępkowski. Wyjaśnił, że SN uchwałę uchyla, a to oznacza, że PKW jest zobowiązana do przyjęcia sprawozdania komitetu wyborczego.

Na to rozstrzygnięcie PKW odpowiedziała zawieszeniem postępowania. Do tematu planuje wrócić po „uregulowaniu przez konstytucyjne władze RP statusu prawnego Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN oraz sędziów biorących udział w orzekaniu w tej izbie”.

W liście do szefa PKW jeden z członków komisji przypomina, że stanowisko SN „nie spełnia normy prawnej art.145 § 3 kodeksu wyborczego, gdyż żadna z tych osób nie została powołana na Sędziego Sądu Najwyższego zgodnie z art. 179 Konstytucji RP”.

W tej sprawie od miesiąca trwa polityczny pat. Propozycje zmian, które kładzie na stole rządowa większość nie mają akceptacji

W sierpniu większość PKW uznała, że komitet wyborczy PiS korzystał z nielegalnego finansowania

prezydenta. Andrzej Duda jest strażnikiem PiS-owskich reform systemu sądownictwa.

W PKW również zdania są podzielone. Przewodniczący PKW Sylwester Marciniak przekonywał, że przepisy nie pozwalają na podważanie orzeczeń SN. Przestrzegł przed paraliżem prawnym, przypominając, że nieuznawana przez większość PKW Izba Kontroli Nadzwyczajnej rozstrzyga o ważności wyborów prezydenckich.

Do akcji wkroczył też PiS. Partia zawiadomiła prokuraturę, że pięć osób m.in. Ryszard Kalisz, które zdecydowały o zawieszeniu sprawy przed PKW – popełnia tzw. przestępstwo urzędnicze. Odezwał się też prezydent, który stwierdził, że „ta hydra postkomunistyczna, która cały czas broni i podkarmia pozostałości komunistycznych łże-elit w Polsce, dała po raz kolejny głos w PKW”.

Hołownia ma plan i poparcie Tuska

Od zeszłego tygodnia marszałek Sejmu Szymon Hołownia promuje autorski projekt ustawy. Zgodnie z jego pomysłem o ważności wyborów prezydenckich ma decydować Sąd Najwyższy, a nie jego Izba Kontroli Nadzwyczajnej. Zaś ewentualne spory np. o rejestrację kandydatów, czy komitetów – rozstrzygać trójka sędziów wybieranych w losowaniu.

W projekcie nie ma mowy o podważaniu statusu sędziów. Hołownia mówił, że decydowanie o ważności wyborów „to nie jest czynność sprawowania wymiaru sprawiedliwości”, stąd spór o legalność sędziów należy odłożyć. Ma poparcie premiera Tuska, jest po rozmowie z szefami sejmowych klubów, był u prezydenta.

Andrzej Duda mówił w poniedziałek w radiu RMF, że jest otwarty na dyskusję, także o Sądzie Najwyższym. – Tym bardziej, że w konstytucji powiedziane jest generalnie, że rozstrzyga Sąd Najwyższy, więc tutaj można różnie dokonać prawnej modyfikacji. Natomiast nie ukrywam, że martwi mnie moment, kiedy ta sprawa jest podnoszona, mianowicie po tych niezgodnych z prawem decyzjach PKW. To jest najbardziej wstrząsające, że PKW pozwala sobie na działanie niezgodne z prawem, na dalekie przekroczenie swoich kompetencji – ocenił. Mówił, że PKW ma obowiązek wykonywać wyroki Sądu Najwyższego.

– Największy absurd jest wtedy, kiedy poważny organ, jakim powinno być PKW, zachowuje się w sposób szokujący i zupełnie niezrozumiały. Dwa tygodnie wcześniej Komisja podejmuje decyzję, w której nie widzi żadnego problemu, jeżeli chodzi o tę izbę SN, wykonuje jej orzeczenie, a po dwóch tygodniach w innej sprawie kwestionuje tę izbę, chociaż tak naprawdę nic się w sensie ani prawnym, ani w funkcjonalnym, ani osobowym tej izby nie zmieniło – mówił Andrzej Duda.

Prezydent nawiązywał w ten sposób do uznania przez PKW decyzji Izby Kontroli Nadzwyczajnej w sprawie komitetu wyborczego Konfederacji. ●

Romanowski stawia warunki powrotu

Posel PiS Marcin Romanowski wciąż nie figuruje na liście osób poszukiwanych przez Interpol. Z Węgier, dokąd uciekł, wysłał list z warunkami, po spełnieniu których wróci do Polski.

Wniosek o tzw. czerwoną notę, czyli wpisanie byłego wiceministra sprawiedliwości na listę poszukiwanych przestępców, Prokuratura Krajowa wysłała do Interpolu w ubiegły wtorek. – Na razie z sekretariatu Interpolu nie otrzymaliśmy w tej sprawie żadnej informacji zwrotnej, tym bar-

dziej decyzji o odmowie realizacji naszego wniosku lub prośby o jego uzupełnienie – mówi „Wyborczej” rzecznik PK, Przemysław Nowak.

Interpol może odmówić umieszczenia poszukiwanej osoby na swojej liście, jeżeli uzna, że zarzuty mają charakter polityczny. Tak było niedawno z sędzią Tomaszem Szmydtem, który zbiegł na Białoruś, a prokuratura zarzuca mu szpiegostwo. Interpol traktuje szpiegostwo jak przestępstwo polityczne i nie włącza się w poszukiwania.

Marcin Romanowski, choć twierdzi, że jest prześladowany

politycznie, ma zarzuty kryminalne: działania w zorganizowanej grupie przestępczej w celu sprzeniewierzenia ok. 120 mln zł z Funduszu Sprawiedliwości, który nadzorował w czasach rządów PiS.

Na liście Interpolu czerwoną notą objętych jest 6 tys. 656 osób, w tym 42 z Polski. Mogą być ścigane na terenie 195 krajów.

W miniony czwartek warszawski sąd okręgowy zgodził się, by wydać za Romanowskim europejski nakaz aresztowania. Zaraz potem jego adwokat ogłosił, że jego klient jest na Węgrzech i dostał

tam azyl od rządu premiera Viktora Orbána.

Romanowski w wywiadach, których udzielał z Węgier, twierdzi, że nadal jest posłem i stamtąd będzie pracował dla Polski.

Wczoraj na portalu X ogłosił list, podając warunki, na których wróci do kraju. List skierowany jest do ministra sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego, Adama Bodnara.

Posel stawia pięć warunków, wśród nich jest przywrócenie na stanowisko Prokuratora Krajowego, Dariusza Barskiego, związanego z PiS. PiS twierdzi, że tylko Barski

jest legalny szefem PK a inni, którzy po nim pełnili lub pełnią tę funkcję to „uzurpatorzy”. „Jako człowiek fałszywie pomówiony, chcę w jawnym procesie wykazać zarówno swoją niewinność, jak i słuszność podejmowanych przeze mnie decyzji. Publicznie zobowiązuję się w ciągu sześciu godzin wrócić do kraju, jeśli rząd wycofa się z nielegalnych działań” – napisał Romanowski.

W lipcu, gdy Sejm uchylił mu immunitet, posel zapewniał, że nigdzie nie ucieknie i stawia się na każde wezwanie prokuratury. ●

Wojciech Czuchnowski

Walka o kolumbijskich najemnik

Rząd w Bogocie zamierza ukrócić masowy udział najemników w wojnach na świecie. Kolumbijscy żołnierze walczą na Ukrainie, w Sudanie, Jemenie i Afganistanie.

Maciej Stasiński

Rząd Kolumbii jest świadomy, że export-import kolumbijskich żołnierzy na potrzeby wszelkich konfliktów światowych to biznes, który trwa od wielu lat i rośnie z roku na rok. O ich udziale w wojnach i operacjach wojskowych lub ochroniarskich piszą media, jak kolumbijska „Silla Vacía”, BBC czy „El País”. Ostatnio 22 najemników kolumbijskich zginęło w wojnie domowej w Sudanie, gdzie co najmniej 300 z nich zostało zwербowanych przez paramilitarną armię antyrządową Siły Szybkiego Wsparcia.

Nie jest znana dokładna liczba najemników, którzy walczą po stronie Ukrainy z Rosjanami. Kolumbijskie MSZ szacuje, że zginęło co najmniej 300 z nich, a 40 z nich wycofało się z wojny, bo nie dostawali tyle pieniędzy, ile im obiecano.

Wielki rynek emerytowanych żołnierzy

Prezydent Gustavo Petro oświadczył, że „werbunku najemników należy zakazać prawnie, a handlarze młodą krwią przelewana w dalekich krajach za pieniądze, muszą zostać ukarani”. Stosowny projekt ustawy czeka w parlamencie, ale położenie kresu tej praktyce leży raczej poza możliwościami rządu.

Biznesem najemniczym na świecie oraz w Kolumbii trudnią się bowiem zarówno wielkie prywatne firmy nominalnie „ochroniarskie”, jak Global Security Services Group, amerykańska Blackwater (ostatnio znana jako „Academy” a żyjąca m.in. z wielkich kontraktów z rządem USA), jak i liczne, małe firmy, zakładane przez kolumbijskich weteranów.

Nade wszystko zaś Kolumbia jest wielkim rynkiem takiego werbunku, za co pośrednio odpowiada sam rząd oraz wewnętrzna sytuacja kraju trawionego od kilkudziesięciu lat przez wojnę domową, zorganizowany paramilitarny bandytyzm i zbrojną przemoc gangów narkotykowych szmuglujących tonami kokainę za granicę.

Kolumbia ma jedną z największych, najlepiej uzbrojonych i wyszkolonych armii na zachodniej półkuli. Liczy 600 tysięcy żołnierzy. Powód? Na jej ogromnym i trudno dostępnym terytorium przeciętym górkami łań-



• Kolumbijski najemnik podczas ćwiczeń na poligonie w obwodzie donieckim na Ukrainie, 15 sierpnia 2023 r. FOT. VIKTOR FRIDSHON/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

cuchami i przepastnymi lasami tropikalnymi, wojna domowa i powszechna przemoc zbrojna z udziałem oraz poza kontrolą państwa, jest od kilkudziesięciu lat codziennym zjawiskiem, z którym żyją pokolenia Kolumbijczyków. W wojnie domowej zginęło ok. 300 tysięcy osób, a 8 mln ucierpiało od ran, terroru, wypędzenia czy rabunku.

Armia rządowa jest liczna, dobrze zaprzawiona w bojach, a poza tym nowoczesnie uzbrojona, od kiedy jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku w ramach Planu Kolumbia pomagały ją szkolić do walki z kartelami narkotykowymi Stany Zjednoczone.

Najemnika zatrudnić

Jest jednak także kiepsko opłacana. Żołnierz zarabia ok. 500-700 dolarów miesięcznie, oficerowie wyraźnie więcej, ale to wciąż mało w porównaniu do żołdu, jaki oferują agencje werbunkowe i zagraniczne armie: regularne, jak ukraińska, albo paramilitarne, jak w Sudanie. W dodatku emerytura wojskowa jest głodowa.

Weterani wojskowi wywodzą się z biednych wiosek i miasteczek, są w większości niewykształceni i po odejściu z armii nie umieją sobie znaleźć miejsca w życiu. Oferta pracy w agencjach ochrony lub zbrojnych akcjach za granicą obiecuje 5-6 razy więcej niż żołd lub emerytura rządowa i jest nie do odrzucenia.

Były wojskowy Alfonso Manzur opowiada w mediach: – Plan Kolumbia wyszkolił taką liczbę żołnierzy, że kiedy 20 lat później odeszli gremialnie do rezerwy, nie mają z czego żyć.

Według profesora Mario Urueña Sánchez, jednym z głównych werbowników są Zjed-

noczone Emiraty Arabskie, ściągające najemników przez pośredników, którymi są na przykład wysocy oficerowie armii. Znają oni świetnie środowisko weteranów w Kolumbii.

Najemników kuszą oferty pracy za kilka tysięcy dolarów miesięcznie w firmach ochroniarskich, ale kiedy już trafiają na miejsce, okazuje się, że wysłała ich się gdzie indziej, a często na fronty wojen do innych krajów, jak Jemen, Czad czy Sudan, a wcześniej, na początku XXI wieku – do Afganistanu czy Iraku.

Niektórzy czują się oszukani, ale nie znają języków, czują się zagubieni i już nie potrafią lub nie chcą się wycofać. Innym jest wszystko jedno, bo jedyne, co potrafią, to walka. Liczą więc, że przynajmniej się odkują.

Przynajmniej to jeden z werbowników, były oficer armii rządowej Omar Antonio Rodríguez, który założył w Kolumbii firmę A4SI i wysłał kolegów jako rekrutów do ZEA. Niektórzy dopiero na miejscu, gdzie przejmowani się przez innego pośrednika, dowiadują się, że ostatecznie jadą do Libii czy na wojny do innych krajów: – Niektórzy wracają, inni chcą się wycofać, bo nie chcieli wcale iść na front, ale to nie takie proste – opowiada dziennikarzom.

Bardzo trudno zdezerterować

Na przykład Jaime Henao, zwербowanego przez firmę Rodrigueza, akurat nie oszukano, bo pojechał do Abu Dabi i za 2.300 dolarów miesięcznie ochraniał byłego prezydenta Afganistanu. Wcześniej Henao pracował w konsulacie USA w afgańskim Heracie, dokąd ściągnęła go z kolei wielka amerykańska firma ochroniarska Blackwater i gdzie przeżył zamach samobójczy talibów.

Innych jednak pracodawcy wykorzystują wbrew ich woli i bez skrępowań.

– To dla nich obce kraje, wielkie terytoria, obce języki, gdzie nie ma placówek dyplomatycznych Kolumbii, co razem sprawia, że zdezerterować jest bardzo trudno – potwierdza Mario Urueña Sanchez.

– Rozmawiałam z wieloma rekrutami. Zapewniano ich, że będą pracować w agencjach ochrony w Emiratach, że nie ma mowy o walce na wojnie, ale wbrew podpisanemu kontraktowi posłano ich do walki w Jemenie – ujawnia BBC Elizabeth Dickinson, analityczka z International Crisis Group.

Yeison Sanchez ma 31 lat i odszedł z wojska prędko i pracował jako ochroniarz i pielęgniarsz. Ale z TikToka dowiedział się, że na Ukrainie zarobi przez miesiąc 4.300 dolarów, walcząc przeciw Rosji. Poleciał do Hiszpanii, potem do Polski i pojechał do Ukrainy.

Po sześciu miesiącach wycofał się, bo Ukraińcy płacili mu mniej niż obiecali, a rekrutów z Kolumbii źle traktowali: – Oszukali nas, więc zaprotestowaliśmy, że nie jesteśmy zakładnikami, tylko ochotnikami. Odeszło nas 40 – mówi dziennikowi „El País”.

Sanchez wrócił do Kolumbii i teraz wybiera się do Meksyku.

Lepiej powiodło się 48-letniemu weteranowi marynarki wojennej, podoficerowi Dante Hincapie. Po odejściu z wojska w 2014 pojechał do ZEA zwербowany wraz z 2 tys. innych najemników przez Global Security Services Group (GSSG) jako prywatny ochroniarz. 4 lat potem firma wysłała go do Jemenu, gdzie w Zatoce Adeńskiej (między Morzem Czerwonym i Arabskim) strzegł statków z USA i Eu-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34354452

www.nekrologi.wyborcza.pl/34354451

www.nekrologi.wyborcza.pl/34354444

nekrologi.wyborcza.pl

ODESZLI.pl

Złóż kondolencje

Kontakt:
nekrologi@wyborcza.pl
tel. (22) 555 55 55



Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że w dniu 17 grudnia 2024 roku
w wieku 81 lat zmarła nasza Żona, Mama i Babcia



Alicja Agnieszka Dąbrowska

Absolwentka Wydziału Ogrodniczego SGGW

Pełna miłości i poświęcenia Rodzinie

Uroczystości pogrzebowe odbędą się w dniu 27 grudnia 2024 roku o godzinie 12.00
w Kościele pw. Św. Marii Magdaleny w Magdalence.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

Mąż, Dzieci i Wnuczeta

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że dnia 9 grudnia 2024 roku zmarł w wieku lat 98



prof. dr hab. Marian Młynarski „Kiškis”

harc mistrz, weteran Szarych Szeregów.

Przez całe życie zawodowe związany
z Instytutem Systematyki i Ewolucji Zwierząt PAN w Krakowie.

Kochany Ojciec, Dziadek i Pradziadek.

Dzieci, Wnuki, Prawnuki i Rodzina

Pogrzeb odbędzie się 30 grudnia o godzinie 13.00
na Cmentarzu Salwatorskim w Krakowie (kaplica cmentarna).

ów

ropy atakowanych przez piratów morskich. – To najbardziej porąbane miejsce, gdzie pracowałem – przyznaje. Ale przez 4 lata zarobił 70 tysięcy dolarów. Gdyby został w Kolumbii, jego wojskowa emerytura w tym samym czasie przyniosłaby mu mniej niż 15 tysięcy. – Jesteśmy jak piłkarze. Przyjeżdżają tu po nas łowcy talentów zza granicy i składają propozycje – ironizuje Hincapie.

Niektórzy byli żołnierze kolumbijscy łapani są w sieci najemników meksykańskich gangów bandyckich lub innych zawodowych zabójców. Głośny był przypadek ponad 20 kolumbijskich weteranów ściągniętych na porażoną w chaosie i terrorze gangów Haiti. W 2021 r. organizatorzy przewrotu użyli ich do zamachu na prezydenta Jovenela Moise. Grupa uzbrojonych mężczyzn wtargnęła do domu prezydenta i zamordowała polityka.

Kolumbijczycy siedzą teraz w więzieniu i czekają na wyrok. Mówią, że prezydenta mieli tylko porwać, a nie zabijać.

Światową opinię publiczną wzburzyła historia dwóch najemników kolumbijskich, którzy wracali do domu z Ukrainy przez Wenezuelę. Zostali zatrzymani na lotnisku w Caracas i odesłani do Rosji, gdzie grozi im nawet 15 lat więzienia. ●



Jesteśmy jak piłkarze. Przyjeżdżają tu po nas łowcy talentów zza granicy i składają propozycje

DANTE HINCAPIE

48-letni weteran marynarki wojennej

Musk rządził nie będzie

Podczas wystąpienia w Phoenix Donald Trump przedstawił swoje małe exposé.

Przy okazji odniósł się do zarzutów, że Elon Musk zaczyna rządzić Ameryką z tylnego siedzenia.

Maciej Czarnecki

Prezydent-elekt wystąpił w niedzielę w Arizonie na czterodniowej konferencji konserwatywnej grupy Turning Point. Jego blisko 1,5-godzinna przemowa przypominała trochę niedawne wiece, ale teraz, z uwagi na nadchodzącą inaugurację (20 stycznia), urosła do rangi małego exposé. Czy też, jak nazwał to sam mówca, „zapowiedzi rewolucji zdrowego rozsądku”.

– 20 stycznia naprawdę będzie dniem wyzwolenia Ameryki – stwierdził Trump.

Deportacje i walka z „woke”

– Już pierwszego dnia rządów wydám serię rozporządzeń, by zamknąć naszą granicę. Tego samego dnia rozpoczniemy największą operację deportacyjną w amerykańskiej historii – zapowiedział Trump.

Powtórzył przy tym dziwaczne oskarżenia, że inne kraje wysyłają do USA pacjentów „ośrodków dla obłąkanych” i więźniów. Obiecał też wciągnięcie meksykańskich karteli na listę organizacji terrorystycznych.

Sporo czasu poświęcił wojnom kulturowym. Mówił o „zakończeniu transpłciowego szaleństwa”, „trzymaniu mężczyzn z dala od kobiecych sportów”, zakończeniu programów wspierania różnorodności w publicznych instytucjach i amerykańskich koncernach.

– Stany Zjednoczone będą uznawać tylko dwie płci: mężczyzn i kobiet – zadeklarował. – Zatrzymamy woke – dodał, nawiązując do pejoratywnego terminu, jakim prawica w USA określa jej zdaniem przesadną i obaczoną nadwrażliwością walkę z systemową dyskryminacją mniejszości.

Putin chce się spotkać

Trump powtórzył obietnicę z kampanii wyborczej, że rychło zakończy wojny w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie oraz zapobiegnie „trzeciej wojnie światowej, bo jesteśmy bardzo blisko trzeciej wojny światowej”.

Powiedział też, że Władimir Putin przekazał mu, iż „chce się spotkać tak szybko, jak to możliwe”. Podobnie jak w przypadku innych zapowiedzi, prezydent-elekt ograniczył się do ogólnych stwierdzeń.

Pociągnął też wątek rozpoczęty w sobotnim wpisie w mediach społecznościowych, który odbił się głośnym echem: groźby domagania się przez USA zwrotu Kanału Panamskiego. Trump twierdzi, że Panama pobiera od Ameryki zbyt słone opłaty za korzystanie jej statków z tej morskiej drogi.

– To zdzieranie pieniędzy z naszego kraju natychmiast się skończy – wy-

palil Trump, zapowiadając, że jeśli tak nie będzie, Waszyngton „zażąda zwrotu” kanału.

Prezydent Panamy José Raúl Mulino opublikował na X oświadczenie wideo, w którym podkreślił, że jego kraj ma suwerenną władzę nad przeprawą.

Rozważania o Musk

Trump odniósł się także do komentarzy, że najbogatszy człowiek świata Elon Musk, który mocno wspierał jego kampanię, a w nowej administracji ma współkierować komisją ds. oszczędności, zyskał tak wielkie wpływy, że będzie próbował rządzić krajem z tylnego siedzenia.

Dla człowieka o tak wybujałym ego jak Trump takie oskarżenia muszą być szczególnie dotkliwe. Wzmogły się po środowej burzy tweetów Muska, która – wraz z późniejszymi wpisami Trumpa – zatopila wykuwany od miesiąca na Kapitolu ponadpartyjny projekt wizerunku budżetowego.

– Nie, on nie przejmuję prezydentury. Lubię mieć wokół siebie mądrych ludzi – stwierdził Trump, zapewniając, że „Elon wykonał świetną robotę”.

– On nie będzie prezydentem, mogę wam to powiedzieć. Jestem bezpieczny. Wiecie dlaczego? Nie może być. Nie urodził się w tym kraju – zaznaczył. Chodziło mu o to, że według konstytucji USA w Białym Domu może zasiadać tylko ten, kto urodził się na amerykańskiej ziemi. Tymczasem Musk przyszedł na świat w Pretorii w Republice Południowej Afryki. ●

REKLAMA

Kraj/34354087

Przemysław Czapliński
ROZBIEŻNE EMANCYPACJE
Przewodnik po prozie 1976–2020

Trochę podręcznik,
trochę przewodnik,
multisynteza,
quasi-monografia
i historycznoliteracki
monster truck w jednym.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydlit

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Premier Słowacji na Kremlu rozkręcał gazową intrygę

Premier Słowacji Robert Fico poleciał do Moskwy, aby omawiać z prezydentem Rosji Władimirem Putinem dostawę gazu, którego tranzyt od stycznia wstrzyma Ukraina. Ta decyzja popierana przez UE według Fico ma rzekomo wpędzić Słowację w kryzys gazowy.

Andrzej Kublik

W niedzielę wieczorem roboczą wizytę na Kremlu złożył premier Słowacji Robert Fico. Przez kilka godzin rozmawiał w cztery oczy z prezydentem Rosji Władimirem Putinem. A na początku spotkania Fico podziękował Putinowi po rosyjsku za audiencję – jak zwrócił uwagę Paweł Zarubin, znany propagandysta rosyjskiej telewizji państwowej. Jako pierwszy poinformował on o tym spotkaniu w rosyjskim komunikatorze Telegram. Ale już w piątek to spotkanie zapowiedział znany z prorosyjskiego stanowiska prezydent Serbii Aleksandar Vučić.

Kilka godzin po анонsie Zarubina Kreml już oficjalnie ogłosił, że spotkanie się skończyło i nie będzie oficjalnego komunikatu na temat rozmów Putina z Fico, którzy wcześniej ostatni raz spotkali się w 2016 r. A teraz premier Słowacji był trzecim politykiem UE, który spotkał się z Putinem w Moskwie od czasu napaści Rosji na Ukrainę.

Kilka tygodni po rosyjskiej inwazji takie spotkanie odbył kanclerz Austrii Karl Nehammer. Zapewniał, że nie była to przyjacielska wizyta, a i tak był za nią mocno krytykowany w UE. Równie mocno krytykowano premiera Węgier Viktora Orbána, który w lipcu tego roku poleciał do Moskwy na spotkanie z Putinem z jakoby pokojową misją. Jednak Orbán już wcześniej spotkał się z Putinem, tyle że w Pekinie.

Fico w interesach Gazpromu

W oświadczeniu wydanym po rozmowach na Kremlu Robert Fico stwierdził, że spotkał się z Putinem, aby rozmawiać o utrzymaniu dostaw rosyjskiego gazu do Słowacji. Obecnie surowiec kupowany od Gazpromu Słowacja sprowadza za pośrednictwem Ukrainy. Jednak z końcem tego roku wygasa umowa rządów Rosji i Ukrainy w sprawie tranzytu gazu. Została ona zawarta pięć lat temu pod presją rządu kanclerz Niemiec Angeli Merkel, która w ten sposób chciała spacyfikować protesty Kijowa wobec budowy kolejnego bałtyckiego gazociągu Nord Stream 2 z Rosji do Niemiec, a także powstrzymać USA przed nałożeniem sankcji wobec statków układających ten gazociąg.

Już w zeszłym roku władze Ukrainy zapowiedziały, że nie będą negocjować z Rosją przedłużenia umowy o tranzycie gazu. Stanowisko Kijowa poparła też Komisja Europejska. Bruksela podkreślała, że państwa UE mają alternatywne źródła dostaw gazu, a ponadto UE postanowiła do 2027 r. skończyć z importem nośników energii z Rosji.

Faktycznie problem ma tylko Gazprom, który tranzytem przez Ukrainę dostarczał w ostatnich latach do UE ok. 15 mld m3 gazu rocznie, co stanowi ponad dwie trzecie całego eksportu Gazpromu do państw UE.



• **Robert Fico i Władimir Putin** FOT. REUTERS / GAVRIIL GRIGOROV

Sama Słowacja w zeszłym roku sprowadziła z Rosji tranzytem przez Ukrainę ok. 2,9 mld m3 gazu, co stanowiło dwie trzecie słowackiego zużycia gazu.

Kijów nie chciał gazowego krętactwa

W oświadczeniu po rozmowach na Kremlu Robert Fico poinformował, że w piątek uprzedził najwyższe kierownictwo KE o swojej wizycie w Moskwie. Fico stwierdził też:

„Moja dzisiejsze spotkanie [z Putinem] to reakcja na [słowa prezydenta Ukrainy] Wołodymyra Zełenskiego, który w czwartek na moje pytanie odpowiedział, że jest przeciwny wszelkim [wariantom] tranzytu gazu przez Ukrainę na nasze terytorium”.

To mocno propagandowe uproszczenie. Rzeczywiście w ostatni czwartek Zełenski publicznie stwierdził, że Ukraina nie zgodzi się na tranzyt rosyjskiego gazu. Jak wyjaśnił: – Nie będziemy umożliwiać zarabiania dodatkowych miliardów na naszej krwi. A każde państwo na świecie, które dostaje coś tanio od Rosji, ostatecznie stanie się zależne od Federacji Rosyjskiej, za miesiąc lub za rok. Bo taka jest ich polityka.

Jednocześnie prezydent Ukrainy odrzucił pomysły tranzytu do Europy rosyjskiego gazu, przedstawianego jako surowiec kupowany w innych krajach, np. w Azerbejdżanie. A Komisja Europejska już w listopadzie podkreślała, że technicznie nie ma możliwości tranzytu azerskiego gazu przez Rosję i Ukrainę do UE. Bo azerskie złoża dostarczające surowiec na eksport do Europy są podłączone do odrębnych gazociągów, omijających Rosję.

Fico pochwalił natomiast Putina. „Prezydent Rosji potwierdził, że Federacja Rosyjska jest gotowa dalej dostarczać gaz na Zachód i do Słowacji, ale z powodu stanowiska prezydenta Ukrainy będzie to praktycznie niemożliwe od 1 stycznia 2025 r.” – napisał słowacki premier w swoim oświadczeniu.

Fico w tandemie z Orbánem

W grudniu kontrakt na zakupy do 2040 r. surowca od Gazpromu wypowiedział austriacki koncern OMV po wstrzymaniu przez Rosjan dostaw gazu. A to znaczy, że Słowacja pozostała ostatnim znaczącym odbiorcą surowca przesyłanego przez Gazprom tranzytem przez Ukrainę. I Słowacja nie powinna mieć problemów z zakupem ok. 3 mld m3 surowca rocznie spoza Rosji.

wiec Gazpromu za pośrednictwem rurociągu TurkStream, który omija Ukrainę przez Morze Czarne.

W ostatnią sobotę Viktor Orbán stwierdził też, że Budapeszt jest w kontakcie z Moskwą i Kijowem w sprawie znalezienia sposobu na utrzymanie tranzytu rosyjskiego gazu przez Ukrainę. Orbán przyznał, że Węgry nie sprowadzają rosyjskiego gazu za pośrednictwem Ukrainy, ale uznał za ważne utrzymanie takiej możliwości.

Latem tego roku rządy Węgier i Słowacji straszyły już, że rzekomo grozi im kryzys energetyczny, gdy Ukraina nałożyła sankcję na rosyjski koncern Łukoil, blokując tranzyt ropy naftowej od tego koncernu do rafinerii koncernu MOL na Węgrzech i Słowacji. Rząd Viktora Orbána próbował nawet zmusić KE do nałożenia w odwecie restrykcji wobec Ukrainy. Bez powodzenia, bo rafinerie MOL dostawały surowiec z Rosji od innych koncernów niż Łukoil. A potem MOL zaczął na własną rękę transportować przez terytorium Ukrainy surowiec kupowany od Łukoil na granicy Białorusi i Ukrainy.

Można sądzić, że w ten sposób Budapeszt przecierał szlak dla wykorzystania takiego sposobu dla utrzymania tranzytu rosyjskiego gazu rurociągami Ukrainy. Jednak Kijów usztywnił stanowisko, wykluczając teraz w ogóle tranzyt rosyjskiego gazu, aby ograniczyć finansowanie maszyny wojennej Putina.

Wyzwanie dla UE i Polski

Zapowiadając spotkanie premiera Słowacji z Putinem, prezydent Serbii Aleksandar Vučić powiedział dziennikarzom:

– To wywoła określoną reakcję innych europejskich liderów z państw UE, co pokazuje, jak bardzo wszystko się komplikuje.

Na razie ani KE, ani większość państw UE nie odniosła się do spotkania Fico z Puti-

www.nekrologi.wyborcza.pl/34354458

19 grudnia 2024 roku zmarł w wieku 85 lat

nasz ukochany Mąż, Tata i Dziadek



Władysław Kietliński

Msza św. pogrzebowa odbędzie się
30 grudnia 2024 roku o godz. 12.00
w kościele św. Anny w Wilanowie,
po czym nastąpi odprowadzenie
do kolumbarium na miejscowym cmentarzu.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

żona, dzieci i wnuki

www.nekrologi.wyborcza.pl/34354447

W największym żalu zawiadamiam, że 19 grudnia 2024 roku
zmarł

Władysław Kietliński

Absolwent Politechniki Warszawskiej,
budowniczy dróg, mostów i lotnisk w Polsce i Iraku,
Naczelnik Wydziału Kancelarii Prezydenta RP podczas trzech kadencji prezydenckich,
Prezes Spółdzielni Mieszkaniowej "Sobieski".
Mój Doradca, Przewodnik Życiowy, Mentor.

Żegnaj Braciszku.

Bogusław Kietliński

nem, określonego przez magazyn „Politico” jako szokujące.

Premier Czech Petr Fiala stwierdził, że czeska polityka zagraniczna rozwija się w kierunku przeciwnym wobec Rosji i dlatego czeskie władze przez ostatnie dwa lata podjęły działania dla niezależnienia się od rosyjskiej energii.

Na Słowacji zawrzało. Szefa rządu Słowacji krytykują przedstawiciele opozycji. A zaliczany do niej Ivan Korčok, były szef słowackiej dyplomacji, uznał wizytę Fico w Moskwie i rozmowy z Putinem za zdradę sojuszników Słowacji.

Natomiast przedstawiciele rządzącej partii Fico Kierunek – Socjalna Demokracja domagają się odwetu na Ukrainie. – Jeśli nie chcą, abyśmy mogli kupować gaz z Rosji, to nie widzę możliwości, abyśmy mogli kontynuować pomaganie Ukraińcom – powiedział rosyjskiemu dziennikowi „Izwestia” należący do partii Fico deputowany Marian Keri. Wskazał, że w grę wchodzi wstrzymanie dostaw energii elektrycznej, która ma wielkie znaczenie dla Ukrainy ze względu na systematyczne ataki Rosjan na ukraiński system energetyczny.

Jeśli Bratysława zdecyduje się na takie działania, sprzeczne z polityką UE, będzie to wielkim wyzwaniem dla prezydencji Polski w UE, zaczynającej się od początku 2025 r. ●

wyborcza.biz

• Więcej
czytaj na
Wyborcza.biz

OpenAI prezentuje swój najmądrzejszy model

Model o3 rozwiązał 25 proc. najtrudniejszych zadań matematycznych nigdy wcześniej niepublikowanych.

Zbiór nazywa się EpochAI Frontier Math. – Zadania ze zbioru EpochAI Frontier Math zawierają bardzo trudne problemy matematyczne, które nigdy wcześniej nie były opublikowane. Wymagają godzin pracy od ekspertów matematyków i zostały stworzone we współpracy z ponad 60 specjalistami – tłumaczy prof. Piotr Sankowski. – Obejmują pełne spektrum współczesnej matematyki, od geometrii algebraicznej po teorię mnogości Zermelo-Fraenkla.

o3 to najnowszy model sztucznej inteligencji OpenAI. Firma zaprezentowała go ostatniego dnia przedświątecznego maratonu, w którym przez dwanaście dni codziennie pokazywała swoje „nowości”. Chociaż większość dotyczyła produktów już istniejących lub zapowiedzianych wcześniej, to o3 ponownie rozpalil dyskusję o prędkości rozwoju sztucznej inteligencji.

o3 to następca modelu o1 (według serwisu The Information nazwa o2 została pominięta, aby uniknąć potencjalnego konfliktu prawnego z brytyjskim operatorem telekomórkowym O2). Model ten cechuje się możliwością „myślenia”, czyli zanim odpowie na pytanie, potrafi przeanalizować pro-

blem, rozbić go na mniejsze części, zwerfikować metodę działania i jej wyniki. Dzięki temu bardzo dobrze radzi sobie z zadaniami matematycznymi i informatycznymi. Model o1 potrafił na przykład w ciągu kilku minut stworzyć program komputerowy, który powstawał przez rok w ramach pracy badawczej.

Model o3 ma być od niego jeszcze lepszy, jednak na razie mamy na to tylko zapewnienia samego OpenAI. Model na razie nie jest dostępny publicznie, a mogą z niego korzystać tylko wybrane osoby i testerzy bezpieczeństwa.

Według OpenAI model o3 zdobył rekordowy wynik – 87,5 proc. – w rankingu ARC-AGI testującym możliwości „rozumowania” sztucznej inteligencji. Uzyskał 96,7 proc. w najtrudniejszym konkursie matematycznym dla uczniów szkół średnich w USA (rozwiazał wszystkie zadania oprócz jednego). I rozwiązał 25 proc. zadań EpochAI Frontier Math, gdzie najlepsze modele AI rozwiązują ich mniej niż 2 proc.

– Jak to w ostatnich latach bywa z OpenAI, nie wiemy nic o tym, jak dokładnie działa model o3 – wskazuje prof. Sankowski. – Jedynie to, że łączy zaawansowane algorytmy przeszukiwania drzew rozumowań z dużymi modelami językowymi, które pozwalają mu rozumieć język naturalny. Samo w sobie nie jest to przełomem, ale jak to zwykle z OpenAI przełomem jest skala, w jakiej to zrobiono i przetestowano.

Co wiemy o modelu o3? Wiadomo, że jest to najkosztowniejszy model AI, jaki powstał do tej pory. Jedno zapytanie kosztuje od 20 do nawet ponad tysiąca dolarów. Według OpenAI najnowszy model działa w dwóch trybach obliczeniowych: niskim i wysokim. Niski – do łatwiejszych zadań, który wymaga mniej mocy obliczeniowych – kosztuje 20 dolarów. Praca w trybie wysokim może kosztować od tysiąca do kilku tysięcy dolarów za zapytanie.

Dla porównania rozmowa ze zwykłą wersją Chatu GPT to koszt kilkunastu dolarów za około milion wyrazów (typowa książka z ok. 300 stronami to 100 tys. wyrazów).

Pokazuje to, że tempo rozwoju sztucznej inteligencji opartej na sztucznych sieciach neuronowych nie zwalnia. O ile zapewnienia OpenAI co do możliwości o3 zostaną niezależnie potwierdzone, pokazuje to, że zwiększanie mocy obliczeniowych modeli AI ciągle daje odpowiednio większe efekty.

– Ten fakt na pewno pokazuje, że zbliżamy się do prawdziwej uniwersalnej sztucznej inteligencji, która będzie w stanie nas wspierać w odkryciach naukowych – zauważa prof. Sankowski. – Ma także potencjał na przyspieszenie rozwoju technologicznego, podobnie jak to nastąpiło w przypadku wynalazku komputera, czy internetu. ●

Bolesław Breczko

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34354276

INFORMACJA

O WYŁOŻENIU PROJEKTU OPERATU OPISOWO-KARTOGRAFICZNEGO MODERNIZACJI EWIDENCJI GRUNTÓW I BUDYNKÓW NA OBSZARZE OBRĘBU EWIDENCYJNEGO SKARYSZEW – MIASTO POŁOŻONEGO W JEDNOSTCE EWIDENCYJNEJ SKARYSZEW – MIASTO, POWIAT RADOMSKI.

STAROSTA RADOMSKI

informuje, że w siedzibie Starostwa Powiatowego w Radomiu w Wydziale Geodezji Kartografii Katastru i Nieruchomości przy ulicy Granicznej 24, w terminie:

od 20.01.2025 r. do 07.02.2025 r.

w godzinach: poniedziałek od 8:00 do 16:00

wtorek – czwartek od 7:30 do 15:30

piątek od 7:00 do 15:00

zostanie wyłożony do wglądu dla zainteresowanych a także udostępniony za pomocą środków komunikacji elektronicznej, projekt operatu opisowo-kartograficznego, dotyczący modernizacji ewidencji gruntów i budynków na obszarze obrębu ewidencyjnego Skaryszew – Miasto, położonego w jednostce ewidencyjnej Skaryszew – Miasto, Powiat Radomski.

Dokumentacja, składająca się z rejestru gruntów, kartotek budynków i lokali oraz mapy ewidencyjnej, opracowana została na podstawie art. 24a ustawy z dnia 17 maja 1989 r. Prawo geodezyjne i kartograficzne (tekst jednolity Dz. U. z 2024 r. poz. 1151 ze zm.) oraz przepisów rozporządzenia Ministra, Rozwoju Pracy i Technologii z dnia 27 lipca 2021 r. w sprawie ewidencji gruntów i budynków (tekst jednolity Dz. U. z 2024 r. poz. 219 ze zm.).

Każdy, czyjego interesu prawnego dotyczą dane ujawnione w projekcie operatu opisowo-kartograficznego, ma prawo zapoznać się w podanym terminie z wyżej wymienioną dokumentacją, uzyskać niezbędne wyjaśnienia i zgłosić do projektu ewentualne uwagi, które zostaną odnotowane w protokole.

Skorzystanie z tego prawa leży w interesie zainteresowanych i ma na celu między innymi ujawnienie ewentualnych błędów i nieprawidłowości na tym etapie postępowania.

Niestawienie się w terminie i miejscu określonym w niniejszej informacji nie stanowi przeszkody do kontynuowania procesu modernizacji, zatwierdzenia operatu opisowo-kartograficznego i ujawnienia nowych danych w ewidencji gruntów i budynków.

Uwaga: **Należy zabrać ze sobą dokument tożsamości oraz dokument własności lub władania nieruchomością.**

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34352693

ŚWIĘTA TO NIE CZAS NA UMIERANIE. POTRZEBNA POMOC DLA ŻREBNEJ MARYSI I MAŁEGO MACIUSIA.

Dwa konie potrzebują pilnie pomocy. Marysia jest żrebna i jak na wiejskie normy ma już swoje lata, a mały Maciuś nie ma szansy, by dostać licencje na ogiera. Tym samym dostały wyrok śmierci i czekają u handlarza na wywóz do ubojni. Jeśli nie zdarzy się cud, po świętach umrą w rzeźni.

Brakuje aż 6000 zł, by ocalić ich życie.



Fundacja BENEK zebrała zaliczkę ze ich życie, ale brakuje środków, by wykupić żrebną klacz i jej synka z rąk rzeźnika. Bardzo potrzebna jest pomoc dla tych dwóch biednych koni.

Jeśli możesz i chcesz, bardzo prosimy dokonaj drobnej wpłaty z tytułem "MARYSIA I MACIUŚ"

Numer konta 23 1020 4027 0000 1102 1692 6564

Fundacja BENEK ul. Orzechowa 15, 63-004 Szewce

www.fundacijabenek.pl tel: Michał Bednarek 506 349 596

Działamy od 13 lat, nie mamy biura, a nasz ośrodek jest otwarty.



OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34353916

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34354359

Sąd Rejonowy dla Łodzi- Widzowa w Łodzi II Wydział Cywilny zawiadamia, iż w sprawie o sygnaturze akt II Ns 895/22 toczy się z wniosku Jadwigi Tume z udziałem Pawła Tume, Piotra Tume, Grzegorza Jarzębowskiego, Mariusza Jarzębowskiego postępowanie

o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie udziału w wysokości 45/48 części w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Łodzi przy ul. Braterskiej 20, dla której Sąd Rejonowy dla Łodzi – Śródmieście w Łodzi prowadzi księgę wieczystą o numerze LD1M/00015260/2.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, a w szczególności spadkobierców Marianny Wathetel, aby zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawo do przedmiotowej nieruchomości – w terminie 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia. W przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycia własności przez zasiedzenie, o ile zostanie ono udowodnione.

NEWSLETTERY Wyborczej

Wszystkie piszą ludzie, nie maszyny.
Nasi najlepsi redaktorzy.

Możesz wybrać z bogatej oferty ponad 40 różnych newsletterów.

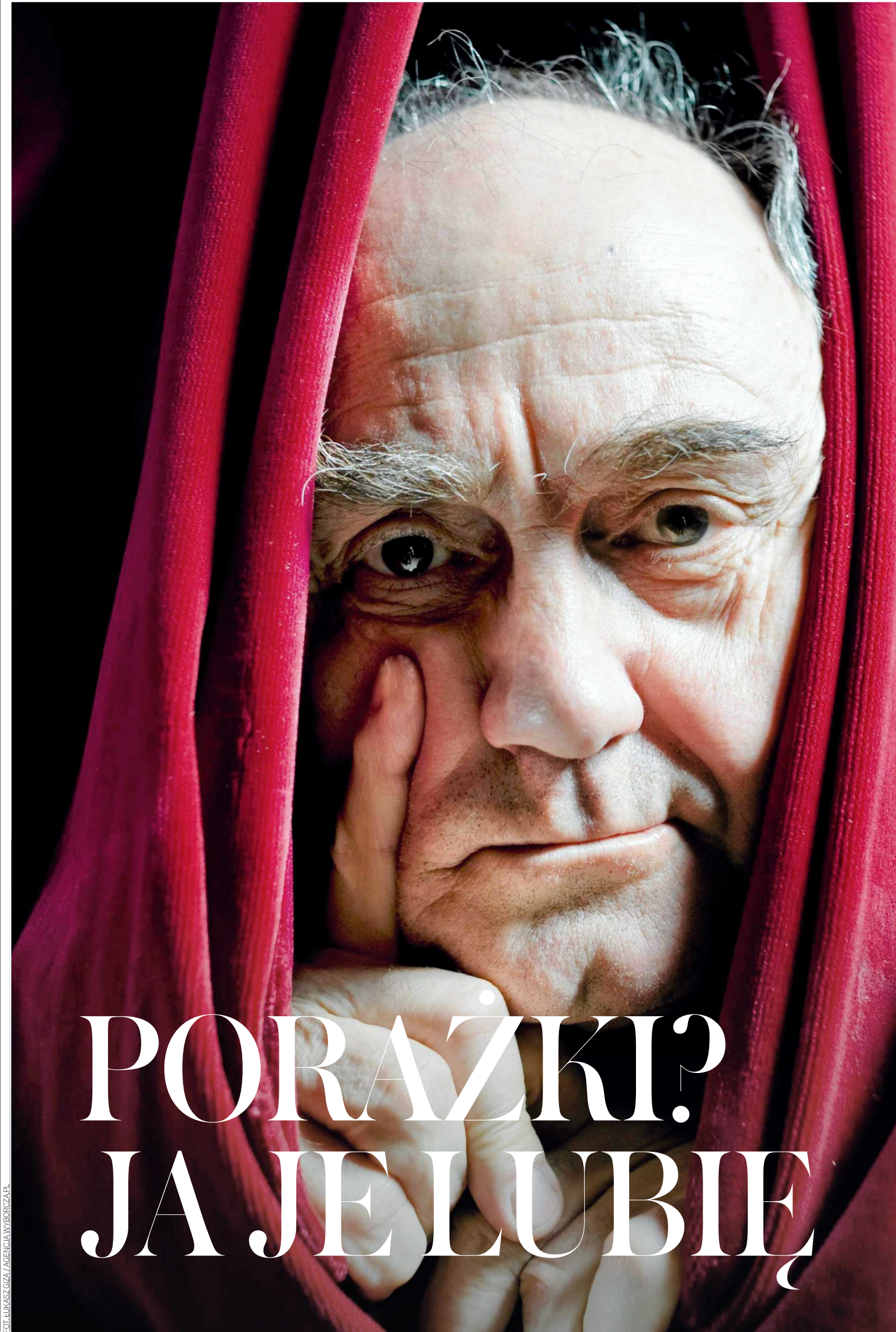
Zapisz się na

> wyborcza.pl/newslettery

wyborcza.pl



MAGAZYN ŚWIĄTECZNY



PORAŻKI? JA JEJ LUBIĘ

FOT. LUKASZ GIZA / AGENCJA WYBORCZA.PL

– Błędy są, zawsze to sobie powtarzam, i nie tylko sobie, szalenie konstruktywne – Jan Peszek opowiada o odwadze, muzyce i aktorskiej ciekawości.

Z AKTOREM I REŻYSEREM
JANEM PESZKIEM
ROZMAWIA WITOLD MROZEK

Jan Peszek

• urodzony w 1944 roku w Szeńsku. Aktor, reżyser i pedagog. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie. W teatrze pracował m.in. z Kazimierzem Dejmkiem, Wandą Laskowską, Andrzejem Wajdą, Jerzym Grzegorzewskim, Krystianem Lupą, Janem Klatą czy Cezarym Tomaszewskim. Od lat związany ze Starym Teatrem w Krakowie. W filmie grał m.in. u Mariusza Trelińskiego („Pożegnanie jesieni”, 1990), Piotra Szulkina („Ubu król”, 2004), a ostatnio w serialu „Warszawianka”.

Mam dla pana na początek cytaty: „Dlaczego zapamiętujemy aktorów? Wybitni aktorzy z dawniejszych epok, o których przetrwała pamięć, to byli ci, którzy mieli czelność i arogancję występować we własnym imieniu na scenie i pozwalać, by ich życie wkraczało w życie postaci literackich, a nie ci, którzy wiedzieli, jak grać Racine’a, Czechowa, Witkacego”. Kto to powiedział? – To pachnie mną...

Tak, to Jan Peszek. 1987 rok, 20. rocznica pracy artystycznej. Wywiad w miesięczniku „Teatr”. – To dość odważne, nie podejrzewałbym, że wtedy już... Ale krótko mówiąc, zgadzam się bardzo z tą wypowiedzią.

Czyli widzi pan ciągłość swojej pracy przez te ostatnie 37 lat, i wcześniej? – Trudno powiedzieć, że jestem „wierny”, bo to byłaby taka stabilna sytuacja, a to nie jest mi bliskie. Myślę o ruchu, ciągłym ruchu, i ciągłym otwieraniu nowych perspektyw. To się z całą pewnością nie zmieniło. Najprawdopodobniej korzenie tego tkwią w mojej edukacji. Bo mnie edukowała awangarda krakowska, muzyczna i teatralna, równolegle z edukacją w szkole teatralnej, która kipiała od mistrzów wówczas.

Ale jako młody człowiek z natury i młodości stanąłem po stronie awangardy, której części działań nie rozumiałem, natomiast one były magnetycznie pociągające. I przede wszystkim dawały mi w rękę oręż dla aktora, co znacznie później zrozumiałem, niezbędny. Mianowicie odwagę, brak lęku. I nieposkromioną ciekawość. Nawet jeżeli się popełni zasadniczy błąd, to człowiek nie boi się z nim zmierzyć. Błędy są, zawsze to sobie powtarzam, i nie tylko sobie, szalenie konstruktywne. I rozwijające. Jest takie powiedzenie, że na błędach się uczymy. Ale nawet nie to mam na myśli, tylko to, że błąd człowieka od razu stawia w stan uwagi.

Jakie błędy pan pamięta z początku swojej pracy? Pierwsza bolesna porażka? – Ja dobrze znoszę porażki. Nie dlatego, żebym był jakimś kompletnym odmienicem, ale właśnie przez to, że porażki stawiają mnie na baczność, w stan uwagi, to ja je lubię. One mnie ekscytują. Sukcesy mnie w gruncie rzeczy krępują. Jest mi jakby trudno uwierzyć, że jest tak, jak komunikują mi o tym sukcesy. Jednak nie prowadzę wspomnień, kalendarza, kompletnie jest mi obca potrzeba przechodzenia do historii. W związku z tym trudno mi się odpowiedzieć na pańskie pytanie o te porażki.

Jakieś jednak były... – Było ich oczywiście sporo. Najbardziej silna? To nie jest nawet kategoria „porażki”, to był raczej zawód. Przeniosłem się z jednego miasta do drugiego zaproszony przez kogoś, kto był, wydało mi się wtedy, wybitnym człowiekiem teatru. I zostałem tam skazany na niebyt przez cztery lata. I jeżeli sięgnę pamięcią do tego strasznego okresu takiego upokorzenia i przede wszystkim dezorientacji, to pamiętam – i to pozwalało mi przetrwać tę trudną sytuację – że wtedy jakoś mnie to fascynowało. Że jak to jest, że ktoś mnie zaprasza, po czym odwraca się do mnie tyłem, totalnie i ja tego kogoś nie interesuję.

Jako młody człowiek z natury i młodości stanąłem po stronie awangardy, której części działań nie rozumiałem, natomiast one były magnetycznie pociągające

No i te cztery lata też nie poszły na marne, no bo wtedy człowiek dostaje grubą skórę nosorożca i jest na wsze czasy odporny na różne bardzo trudne zachowania i reakcje naszego środowiska. Wyniosłem też z domu za sprawą babki takie przekonanie, że największą wartością jest życie samo w sobie i tylko chodzi o to, żeby jak najszybciej nauczyć się nie marnować go.

Na przykład więc, będąc w teatrze, który mi gwarantował ogromną liczbę ról, w obecności młodego reżysera, u którego zagrałem w spektaklu, poprosiłem, żebyśmy razem poszli do dyrektora teatru i w obecności tego reżysera poprosiłem dyrektora, żeby mnie więcej nie kontaktował z tym reżyserem. Co pewnie nie było takie przyjemne, prawda? Zwłaszcza że praca nie odbywała się w napięciach ani nie była nieprzyjemna, tylko po prostu była stratą czasu. Miałem w sobie zawsze taką szybką, dość wyrazistą arogancję, choć dla mnie to jest po prostu konkretny wybór – po prostu nie wybieram towarzystwa ludzi, którzy mnie nie interesują. To, wydaje mi się, jest sprawiedliwe także wobec nich samych, tej drugiej strony i zawsze tak było.

Często pan rzucał rolę? – Nie, nie, to nie był proceder nalogowy. Nie chcę używać nazwisk. Jak pan słyszy, omijam nazwy miast, teatrów i tak dalej, bo to zaraz uruchamia sferę plotkarską, oczywiście bardzo ciekawą... Pamiętam spotkanie z guru polskiego teatru, kimś uznanym za jednego z największych. Po prostu się kompletnie zbuntowałem w jego spektaklu i powiedziałem, że nie będę wykonywał jego poleceń, tylko dlatego, że tego nie uznaję, że to nie jest właściwe rozumienie teatru. Powiedziałem publicznie na forum bardzo wybitnego zespołu, w którym wtedy byłem, i oczywiście zostałem obrzucony epitetami... no takimi, z którymi się nie zgadzałem, prawda, że nie będę uczył reżysera, czym jest teatr. No w każdym razie się rozstaliśmy.

O co poszło? – Po prostu są pewne zachowania, których ja nie toleruję. No, nie mogę strzelać z pistoletu, który jest pukawką na kapsle, i zabijać ofiarę, która ma jeszcze wierzyć nogami, i ja mam tę ofiarę jeszcze dobijać. Na pytanie tego guru, co ja proponuję, powiedziałem, że ta ofiara, uciekając przed wymierzonym przeze mnie pistoletem, ucieka za kulisy i ja wtedy mogę strzelić.

Dlaczego? – Gardzę źle rozumianymi scenami śmierci w teatrze. W filmie można jeszcze to jakoś oszukać, w teatrze to jest wszystko banialuka. Boże, to jest papier mâché! To jest coś tak grubą nicią szyte, że trzeba naprawdę wielkiego formatu pomysłu, żeby ta śmierć była przejmująca i wiarygodna. A na pewno nie następuje to wtedy, kiedy ofiara fika nóżkami, a ja jeszcze z tego kapslowego pistoletu mam ją dobić. I to nie jest kwestia gustu, tylko w ogóle rozumienia, powiedziałbym, imponderabiliów w teatrze.

Lubi pan benefisy? – Tak i nie. One mnie dość krępują – w tym sensie, w jakim na przykład źle znoszę tytułowanie mnie „panem profesorem”. Choć mam taki tytuł, ale on mi się wydaje niezasłużony, bo prawdziwi profesorowie to są osobniki z potężną wiedzą, doświadczeniem i tak dalej. Źle znoszę tytułowanie mnie „mistrzem”. Nie dlatego, że to mnie stawia już w smudze cienia, tylko po prostu nie czuję się mistrzem. Wiem, że bardzo dużo umiem... Ale żyjąc 81 lat... no, trudno paru rzeczy nie umieć, prawda? Benefis mnie jakoś krępuje, ale kiedy się zaczyna, no to budzi się we mnie zwierzę i wtedy mogę zrobić wszystko, kompletnie wszystko, co sprawi publiczności i mnie przyjemność... Nie mam wtedy zahamowań.

Spektakl „Sztuka wywiadu” w Teatrze Polonia jest zapowiadany jako pana benefis. Odnosi się do sytuacji wywiadu z mistrzem... – Nikt ze mną nie ustalił takiego komunikatu... Myślę, że będzie to duże zaskoczenie dla odbiorców, ponieważ w żadnym punkcie to nie jest benefis. To nie jest uroczystość jubileuszowa. Jeśli miałbym próbować określić, czym ten spektakl jest, to na pewno jest jakimś rozrachunkiem z aktorstwem, które nie przestaje mnie fascynować. Tylko dlatego jestem wciąż aktorem. Nie dlatego, żeby udowodniać po raz kolejny, że umiem jeszcze fikać na scenie – tylko dlatego, że zagadka aktorstwa jest

zagadką nieskończoną. Myślę, że do końca życia aktor próbuje zrozumieć istotę tego zajęcia, tej przygody, tego zawodu – jak zwał, tak zwał.

Chciał pan zmienić zawód?

– Nigdy nie myślałem, nawet w sytuacjach trudnych, żeby zmienić ten zawód. Trzyma mnie ciekawość. Aktorstwo jest szalenie blisko usytuowane człowieka i rozwiązywania wszystkich problemów ludzkich, bez względu na to, kogo, gdzie i o czym się gra. I oczywiście po drodze istnieje wiele pytań dotyczących technik aktorskich. Jak skutecznie tak naprawdę omanąć widza, czyli jak w gruncie rzeczy mieć nad nim władzę, która przecież pcha większość aktorów przy całej ich nieświadomości tego faktu do zawodu, bo przecież ma się władzę nad tą garstką w ciemności, panujemy nad ich emocjami. Ludzie płaczą, krzyczą, protestują, śmieją się. Jeśli wywołujemy takie reakcje, to znaczy, że jesteśmy skuteczni i że mamy umiejętność tworzenia żywego, emocjonalnego procesu, bo ta strefa emocjonalna jest absolutnie podstawowa.

Refleksja, intelektualny aspekt – to jest wszystko później. I wtedy tak, jeżeli teatr wywoła taką refleksję, to być może ktoś przyjdzie drugi raz. Albo przyjdzie odpowiedzieć sobie na pytanie: niewiele zrozumiałem, ale to jest jakieś magnetyczne, to mnie przyciąga. Tak jest w przypadku „Kwartetu dla czterech aktorów”, w którym gram 51 lat i on oczywiście zmienia swoje oblicze, a publiczność wielokrotnie chce na to przychodzić i ja często sobie zadaję pytanie, co leży u podstaw takiej potrzeby.

I co to jest?

– Ludzie straszliwie potrzebują żywego kontaktu z żywym człowiekiem.

Ja już jestem człowiekiem z innej epoki. Kiedy jadę metrem w Warszawie, czy obserwuję ludzi na przystankach, czy w kawiarniach, gdzie się spotykają, żeby się spotkać i porozmawiać, to oni tak naprawdę cały czas patrzą w telefon. Po prostu są uzależnieni. To nie są jeszcze cyborgi, ale dla mnie już tak. To nie są ludzie, dla których istnieje jako wartość kontakt bezpośredni, którzy słuchają i słyszą, patrzą i widzą. Nie, oni patrzą, ale nie widzą.

I dlatego teatr może im się przydać?

– Tylko w teatrze widz może, nie rozumiejąc nawet spektaklu, czy spraw, które on porusza, zostać wstrząśnięty, pobudzony w czystej sferze emocjonalnej. Emocje zostały dziś stępione, zastąpione tysiącami odpowiedzi, gotowych rozwiązań, które wydaje się, że ułatwiają ludziom życie, tymczasem czynią ich niewolnikami systemu. Ja na pewno się nie dam ubezwłasnowolnić, to jest dla mnie najwyższa wartość, to jest przynajmniej złudzenie mojej wolności. Stąd ciągle wierzę w teatr.

Codziennie gram w teatrze, no nie gram, jak kręcę film, ale poza tym gram codziennie. Czasami po dwa tygodnie gram po dwa spektakle dziennie w różnych miejscach Polski, więc przeze mnie przemawia doświadczenie.

Na razie jeszcze przypomina się w teatrze, żeby wyłączyć telefony komórkowe. Często ludzie oczywiście o tym zapominają, one się odzywają, ale już mniej – z tym. To jest jedno z ostatnich miejsc, gdzie jeszcze możemy to narzędzie po prostu odłożyć.

Często, podróżując do Warszawy, jeżdżę w ekspresach w wagonie ciszy. I w wagonie ciszy, jak sama nazwa wskazuje, obowiązuje bezwzględna cisza i zakaz używania telefonów, ale nikt tego nie respektuje. To znaczy, wszyscy piszą w komputerach, nadają SMS-y, coś tam przewijają, jakieś lawiny śmieci... To są rzeczy, które dekoncentrują. Ja po prostu sobie nie życzę, żeby pasażer czy pasażerka obok mnie cały czas robili coś, co



FOT. ROBERT JANKOWSKI / TEATR POLONIA

Źle znoszę tytułowanie mnie „mistrzem”. Nie dlatego, że to mnie stawia już w smudze cienia, tylko po prostu nie czuję się mistrzem. Wiem, że bardzo dużo umiem... Ale żyjąc 81 lat... no, trudno paru rzeczy nie umieć, prawda?

jest kompletnie bezmyślne. Czasami może prowadzą interesy, ale co mnie to obchodzi. Ja wsiałam do wagonu, w którym mam mieć zagwarantowany komfort izolacji – a te strefy są coraz bardziej naruszane.

Ale mówiliśmy o „Kwartecie dla czterech aktorów” – spektaklu, który gra pan od ponad pół wieku...

– Czasami żartuję z kolegami, że ludzie tak naprawdę przychodzą zobaczyć, czy my się w ogóle jeszcze ruszamy – i jak się ruszamy.

„Kwartet...” jest partyturą, scenariuszem, w gruncie rzeczy abstrakcyjnym. Sumą 26 scen, które nie układają się w żadne pochod skutkowo-przyczynowy. Tam nie ma ani bohaterów, o których można powiedzieć, kim są, jacy są. Ani nie ma tak zwanej fabuły, która jest śmiercią opowiadania, w moim przekonaniu. Zdaje mi się, że fenomen „Kwartetu...” polega na tym, że nagle publiczność, która w życiu jest totalnie pozbawiona abstrakcji jako takiej, niespodziewanych asocjacji, jest bombardowana rzeczami, których się nie spodziewa.

I te rzeczy okazują się żywe, często zabawne i kompletnie niespodziewane.

Gracie „Kwartet...” jak filharmonicy. Pan zazdrościł kiedyś muzykom? Muzyka oddziałuje na ludzi bezpośrednio, emocjonalnie. Bez literatury, bez postaci, czysta forma...

– Nie miałem nigdy tego uczucia, choć muzyka zawsze na mnie szalenie silnie działa emocjonalnie. Teatr i muzyka to są jednak inne media, choć bardzo pokrewne...

Ja jeszcze będąc na studiach, za sprawą Schaeffera i zespołu MW2, zrozumiałem, że ciało aktora, ale także jego umysł, powiedzmy: cały aktor – jest po prostu nieskończonym w swoich możliwościach instrumentem muzycznym. Problem jest tylko w tym, czy on jest dobrze nastro-

jony, czy nie. Całe życie aktor musi dbać o to, żeby nie fałszować. Muzyka jest zwykłą dyscypliną, nieomal matematyczną – dopiero później się pojawiły przecież takie zjawiska jak aleatoryka... To jednak jest rygor – i dlatego tak strasznie źle znoszę brak dyscypliny w teatrach, w pracy aktora, lenistwo albo nieopanowanie partytury.

Co znaczy?

– Nierozumienie czy niewyczucie – to na jedno wychodzi – dlaczego dana scena ma taki rytm, taki puls. Ja zapamiętuję rolę przez pulsy, a nie przez słowa... Moja córka odeszła z teatru i poświęciła się muzyce. I kiedy zaczęła grać koncerty, zwierzyła się przy jakiejś okazji, że koncert jest zupełnie nieporównywalny do nawet najlepszego spektaklu, że tak naprawdę władanie duszami to jest tam – poprzez muzykę.

Czy aktorstwa można nauczyć?

– W tym systemie, tak jak rozumie się to w szkołach aktorskich – nie można. Owszem, ciągle uczę, no, teraz mam przerwę, bo czas nie jest z gumy.

Ale ja nie traktuję tego jako „nauczanie”, dla mnie to jest spotkanie z bardzo młodymi ludźmi, którzy mnie zaciekawiają. Ciekawi mnie, kim oni są, czy ja mogę być ich partnerem, czy po prostu jestem już rupieciem z innej epoki. No, ale ustawią się w kolejce do mnie, czekają, teraz też czekają. To znaczy, że to, co im oferuję, jest coś warte.

Co im pan daje?

– Nie oferuję im sposobów ani narzędzi, bo narzędzia się znajduje całe życie, konstruuje własne. Chodzi o to, żeby właściwym reflektorem oświetlić kierunek. Powtarzam, że najwyższą wartością, jaką młodzi ludzie mają, by być aktorami – są oni sami. Problem tylko w tym, by względnie próbowali poznać siebie. A to po to, żeby siebie zaakceptować. Grzego-

rzewski mówił: masz taką twarz, a nie inną. Musisz ją zaakceptować, bo to ona będzie kanałem, który będzie przekazywał. To będą twoje oczy, twoje usta, a nie usta Marilyn Monroe, jej oczy i jej blond włosy.

Jak to zrobić?

– Najpierw prowadzę rodzaj warsztatu, w którym studenci nie wiedzą, po co robią to, co robią. Mają zapomnieć o tym, kim są, to znaczy – kim wypada być wobec pana profesora, kim wypada być na miejscu studenta w szkole teatralnej. Po długim, długim okresie takiego właśnie osławiania siebie z sobą, jak już zaakceptujemy siebie, lekko też siebie przy okazji poznając – wtedy zaczynamy po prostu organicznie egzystować. Wtedy mam szansę usłyszeć prawdziwy dialog, usłyszeć, że ten dialog faktycznie się odbywa, to znaczy, że partnerka odpowiada na to, co ja w tej chwili powiedziałem i jak powiedziałem, a nie to, co powiedziałem wczoraj. Na ogół większość aktorów gra jakby z przeszłością, wykonuje cały wysiłek, żeby „pokazać, że słucha”, ale nie słyszy tu i teraz, i widzi to doskonale rejestruje. Trzeba naprawdę spojrzeć w oczy osobie, z którą się gra.

Postaci czy aktorowi?

– Kiedy grałem w „Auto da fé” Eliasa Canettiego [spektakl ze Starego Teatru w Krakowie z 2005 r. w reż. Pawła Miśkiewicza], naprzeciwko siebie miałem genialną Iwonę Bielską, która jest bardzo inteligentną osobą, niezwykle uwrażliwioną na literaturę itd., a grała przecież kobietę pierwotniaka – przepraszam, wiem, że feministki się na mnie rzucą, ale to Canetti napisał. Mam naprzeciwko siebie Iwonę Bielską, którą znam, której poczucie humoru uwielbiam, i znamy się doskonale, ale ja muszę na nią patrzeć jak na Teresę, którą ona gra. W tym momencie naprzeciwko mnie stoi pierwotniak, wobec którego ja jestem bezradny, grany przeze mnie naukowiec jest bezradny. Ja nie reaguję więc na Iwonę Bielską, tylko na Teresę, która emitowana jest przez nią. To jest oczywiście szalenie złożone, ale moja reakcja musi być prawdziwa tak samo, jak najbardziej prawdziwie musi się do tej Teresy zbliżyć Iwona.

A jak pan gra w musicalu „Serce ze szkła” Jana Peszka sprzed 30 lat, postać z książki swojej córki?

– Panie Witoldzie, będę protestował. Owszem, kiedy rozmawiam z córką i córka zadaje mi pytania, to Jan Peszek odpowiada. Potem ona to scala, przetwarza, pracuje nad tym rok, dwa, książka się ukazuje, jest hitem. Wielu ludziom okazuje się potrzebna. I tu jest koniec mojej, że tak powiem, kreatywności. Bo wspomniała adaptatorka [Klaudia Hartung-Wójciak] wspólnie z Marią wpadają na pomysł, żeby „Naku*wiam zen” połączyć z „Królową Śniegu”. Co mnie się oczywiście wydawało kompletnie niemożliwe, paradoksalne. Ale przez tę paradoksalność od razu jest magnetyczne.

Kiedy przeczytałem pierwszy raz ten scenariusz, to powiedziałem: „Boże, jak to możliwe, że to się udało”. Ale ja się nie czuję tą postacią. Oczywiście, jestem ojcem Marii, jestem bohaterem, którego pierwowzór jest w życiu, ale ta rola jest złożona z Królową Śniegu, której okrucieństwo... no, składa się też z okrucieństwem ojca z książki „Naku*wiam zen”. Przecież ja z założenia nie byłem okrutny, żeby krzywdzić moje dzieci, ale moje okrucieństwo wynika z mojej niedośkonłości. Nie znam rodzica, który by powiedział: „Tak, doskonale wychowałem dziecko”.

Jeden z moich kolegów reżyserów zareagował na „Serce ze szkła” pytaniem: „Jak ty możesz tak ze sobą się pchać”. Ja na to mówię, że się nie pcham ze sobą, dla mnie to jest rola „ojca Jana Peszka”. Zbieżność nazwisk. Jestem zasłonięty rolą. ●

Jak dogadać się z rodziną w Święta?

FUNDACJA
NOWEJ
WSPÓLNOTY



Zaakceptuj bliskich

Powiedz sobie:
„Jesteśmy różni,
ale to moja rodzina”

Posłuchaj z ciekawością

Możesz powiedzieć:
„A powiedz więcej”
„Chcę posłuchać co
myślisz”

Nie oceniaj - zapytaj

Możesz powiedzieć:
„Kiedy zaczęłaś
tak myśleć?”
„Co się wtedy stało?”

Mów, jak Ty myślisz i czujesz

Możesz powiedzieć:
„Wiesz, ja kiedyś
miałem taką
sytuację, że...”

Szukaj tego, co wspólne

Możesz powiedzieć:
„Teraz lepiej Cię
rozumiem”
„Mamy inaczej,
ale fajnie pogadać”

Dowiedz się
więcej:



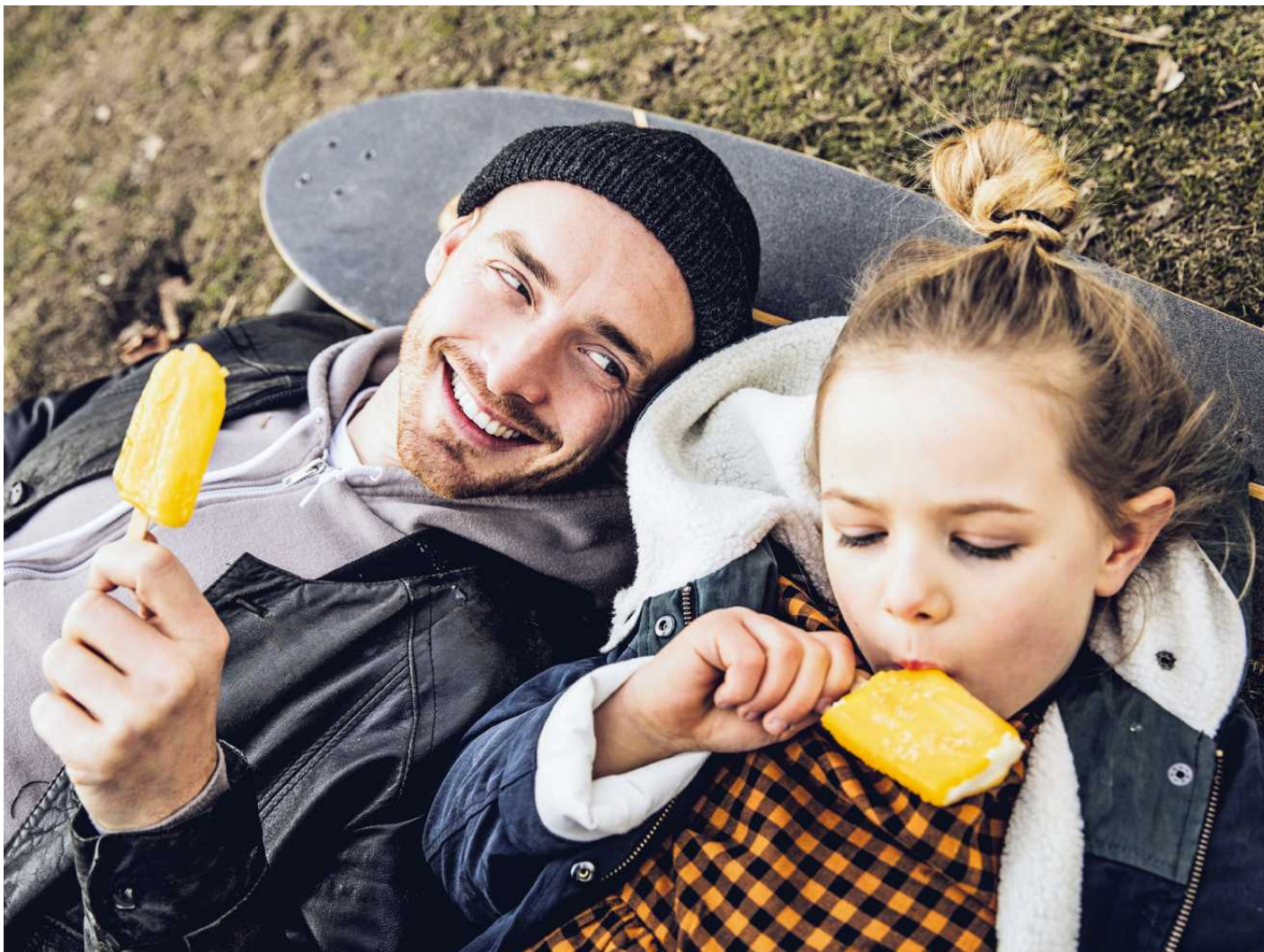
Partnerzy kampanii:



Ojcowie z pokolenia Zet

NIE BYĆ *jak* TONY SOPRANO

O dziecko starać się zaczęli po tym, jak żona podpisała umowę o pracę.
To był ostatni element ich planu.



Dawid Krawczyk

Wojtek trzymał noworodka na klatce piersiowej pod lampą grzewczą – zaraz po porodzie to on musiał kangurować.

Związek Mateusza był jak marzenie każdej babci.

Tomasz znalazł sposób na chroniczne zmęczenie w pierwszych tygodniach po narodzinach bliźniaków – wypłakiwał się podczas wyparzania laktatora.

A Patryk, odkąd został ojcem, praktycznie zrezygnował z alkoholu i „baletów z kolegami”.

Wszyscy zdecydowali się na dziecko przed trzydziestką. Dzisiaj to rzadkość.

Czego oczekują od siebie młodzi ojcowie? Nawigują między pragnieniem bycia lepszym niż ojciec a presją perfekcyjnego rodzicielstwa. Ojcowie z pokolenia Z i milenialsi, których różnią poglądy, wartości i doświadczenia rodzinne, opowiedzieli nam, jak przeżywają swoje ojcostwo.

Plan na życie

Wojtek miał z żoną wszystko zaplanowane. Wspólnie wybrali się do szpitala, że-

by obejrzeć porodówkę. Ustalili z położnymi, że chcieliby skorzystać z sali rodzinnej, urządzonej bardziej jak domowy pokój niż sala zabiegowa. W porodzie mieli brać udział we dwoje. Plan był taki: ona rodzi, on trzyma ją za rękę i dodaje wsparcia, a kiedy dziecko będzie już na zewnątrz, przecina pępowinę.

– Wyszedłem z założenia, że to żona rodzi, więc żona rządzi. Słyszałem, że poród może trwać nawet kilkanaście godzin, więc jakby tyle trzeba było trzymać ją za rękę, to bym trzymał – mówi Wojtek.

Plan po porodzie też mieli przygotowany. On bierze urlop na dwa tygodnie i zajmuje się logistyką. Robi zakupy, sprząta, gotuje.

Rzeczywistość ich planami za bardzo się jednak nie przejęła, bo poród odbył się przez cesarskie cięcie. Żona musiała odpoczywać, a Wojtek przejął na pierwsze tygodnie niemal wszystkie domowe obowiązki.

Ojciec kangur

Rodzinna sala stała pusta, Wojtek czekał na korytarzu, a jego żona czuła, jak po jej ciele rozpyływa się znieczulenie. Po mniej więcej 15 minutach położna otworzyła drzwi i zawołała go na oddział.

– Dostałem do rąk mojego syna i pierwsze zadanie, czyli kangurowanie. Usiadłem pod taką ogrzewającą lampą, syn położył się na mnie, bo zaraz po urodzeniu ważny jest kontakt skóra do skóry. Zazwyczaj

to mama kanguruje, ale po cesarce musiała wydobrzeć, więc to ja musiałem wejść w rolę kangura – opowiada Wojtek.

Właśnie został ojcem, a statystycznie rzecz biorąc: młodym ojcem. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego średnia wieku, w którym Polscy mężczyźni zostają ojcami, wynosi 33 lata. Wojtek wyprzedził średnią o 5 lat.

28 lat skończył w tym roku, ale na pewno nie wpisuje się w stereotyp przedstawiciela gen Z. Brytyjski „Independent” przytaczał ostatnio badania, z których wynikało, że 18. urodziny wcale nie stanowią granicy dorosłości dla dzisiejszych 20-latków. Pokolenie Z, przynajmniej to brytyjskie, zaczyna czuć się dorosłe w okolicach 27. roku życia. Wojtek do tego czasu miał już pięć lat stażu małżeńskiego, stabilną pracę na etat, mieszkanie na kredyt i dziecko w drodze.

Mieszkanie, praca, ciąża

– Wychowałem się w religijnej rodzinie i sam przyjąłem te wartości, więc taka droga życiowa wydawała mi się oczywista. Wiem, że dla większości młodych ludzi instytucja rodziny czy małżeństwa nie ma dzisiaj jakiegś wielkiej mocy, nie stanowi priorytetu. Dla mnie to ważne – opowiada Wojtek.

Gdyby miał takie możliwości, zdecydowałby się na dziecko jeszcze wcześniej. Podobnie jak do wielu innych kwestii w życiu do rodzicielstwa również podszedł z żo-

ną strategicznie. Ustalili, że najpierw muszą zadbać o pracę i mieszkanie.

O dziecko starać się zaczęli kilka miesięcy po tym, jak żona podpisała umowę o pracę. To był ostatni element ich planu. Kredyt na mieszkanie w Pułtuskach spłacali już od roku, a Wojtek na etacie pracował od kilku lat.

– Nie powiem, że bym jakoś szczególnie się emocjonował, kiedy zobaczyłem dwie kreski na teście ciążowym. Staraliśmy się wtedy o dziecko od jakichś trzech miesięcy, więc spodziewałem się, że to nastąpi – przyznaje Wojtek.

W pracy też nie daje się ponieść emocjom, choć codziennie ma do czynienia ze śmiercią i rodzinnymi dramatami. Pracuje jako psycholog w hospicjum, czyli rozmawia z tymi, którzy odchodzą, i tymi, którzy ich żegnają.

– Widzę, że kiedy rodzina jest zżyta, dzieci i wnuki przychodzą w odwiedziny, to dużo daje naszym pacjentom. Widzę też, i to niestety częściej, samotność starszych mężczyzn, którym powinna się noga w życiu – opowiada.

Granice są ważne

Jakim chciałby być ojcem dla swojego syna? – Chciałbym unikać dwóch skrajności w wychowaniu. Z jednej strony nadmiernego rozpieszczania dziecka. Nie chciałbym stwarzać mu wrażenia, że wszystko kręci się wokół niego i może sobie na wszystko pozwolić. Moi znajomi psycholodzy, którzy wybrali pracę w szkole, opowiadają, że dzisiaj to uczniowie rządzą szkołami, a ich rodzice jeszcze ich w tym wspierają. Nie chciałbym być takim rodzicem, który nie stawia żadnych granic, z drugiej strony na pewno daleko mi też do takiej wizji surowego ojca, który karci dziecko i każe mu bez słowa wykonywać polecenia – odpowiada Wojtek.

Marzenie każdej babci

Mateusz, 30 lat, ojciec 3-letniego Michała: – Byliśmy jak marzenie każdej babci. Poznaliśmy się na liceum, poszliśmy na studia, skończyliśmy je zgodnie z planem. Wzięliśmy ślub. Zaszliśmy w ciążę i urodziło nam się dziecko. Rok temu się rozwiedliśmy. Chyba tylko ten ostatni punkt nie wpisuje się w babcine marzenie – mówi.

Spotykamy się na szybkim spacerze w warszawskim Mokotowie – między jego studiami doktoranckimi a pracą. Po drodze wskazuje jeszcze do dyskontu odebrać „produkciaka”, maskotkę w kształcie szamponu.

Szczerze przyznaje, że kiedy blisko czterech lat temu dowiedział się o ciąży, wypierał, jak duża zmiana go czeka. – Nie zabezpieczaliśmy się od kilku miesięcy i liczyliśmy się z tym. Mieliśmy mieszkanie подарowane przez teściów, więc dziecko było w planach, ale nie jakichś konkretnych. To był któryś test z kolei – opowiada Mateusz. Ucieszył się, ale z dzisiejszej perspektywy widzi, jak bardzo nie zdawał sobie sprawy z tego, co go czekało.

– Mieliśmy już wcześniej sporo problemów w naszej relacji, które wtedy zaczęły wychodzić na wierzch. Ciąża była bardziej zapalnikiem kłopotów niż ich źródłem. Było mniej czasu, mniej cierpliwości, więc łatwiej było o napięcia między nami. Kiedy już dochodziło do kłótli, to wszystko musieliśmy załatwiać w trybie przyspieszonym. To było jak: „Mamy pół godziny, więc szybko się pokłóćmy” – opowiada.

Im bliżej do porodu, tym bardziej rosło w nim poczucie odpowiedzialności. – Kiedy pojawia się dziecko, czujesz, że pewne sprawy trzeba poukładać, a nie odkładać na potem.

Ojciec pokazał mi radość z małych rzeczy

Te pewne sprawy to był na przykład większy samochód, taki, w którym zmieści się fotelek.

Mateusz: – W pierwszym roku było tak, że żona została z dzieckiem w domu, a ja wychodziłem o 8 rano, wracałem o 20. Przychodziłem, brałem dziecko na godzi-

nę czy dwie na usypianie i tyle. Finito. Po-tem szedłem spać. Auto faktycznie kupili-śmy, tylko że w mojej głowie to załatwia-ło sprawę. Myślałem sobie: „No dobra, kupi-łem samochód, to co więcej ode mnie jesz-cze chcecie?”. I wychodziłem do pracy.

Większość znajomych Mateusza ma ra-czej lewicowe poglądy, tak jak i on. – Spo-ro rozmawialiśmy o tym, jak pewne pa-triarchalne odruchy są w nas ciągle obec-ne, zwłaszcza wśród mężczyzn. Ale dopie-ro wtedy, jak się urodził nasz syn, zobaczy-łem, jak to działa w praktyce. Trzeba kupić auto, to ja idę do pracy i na nie zarabiam, a kobieta zostaje w domu – mówi młody oj-ciec. – Stare wzorce możesz wziąć i od ra-zu w nie wskoczyć. Nowe? Chyba jeszcze się nie ukształtowały.

– A masz jakieś osobiste wzorce ojco-stwa? – pytam go w czasie spaceru.

– Łatwiej chyba wymienić negatywny wzorzec. Na przykład taki Tony Soprano [główny bohater serialu „Rodzina Soprano”, gangster] to typ narcystycznego ojca, któ-ry idzie na terapię, żeby niby nad so-bą pracować, a później wraca do domu i da-lej zachowuje się tragicznie wobec swoich dzieci, tylko że bardziej subtelnie. A jak zo-staje z tym skonfrontowany, to tłumaczy się, że on już tak został wychowany – odpo-wiada Mateusz.

Swojego ojca ceni za to, że nauczył go radości z małych rzeczy. – Ojciec pokazał mi, że możesz mieć 55 lat i pójść pobawić się na huśtawce. To ważne, żeby tego nie stracić z wiekiem. Ale z drugiej strony sam musiałem nauczyć się zdolności konfron-towania się z problemami i takiej postawy, że niezależnie od tego, czy coś jest trudne i bolesne, to trzeba się do tego zabrać i to po prostu zrobić. Mnie ojciec tego nie po-kazał. Jak za 20 lat syn mi powie, że wła-śnie takiej postawy nauczył się ode mnie, to będę z siebie dumny – dodaje na koniec naszej rozmowy.

Młodzi rodzice młodych rodziców

Tomasz spał w nocy trzy godziny. Uzbie-rał je w trzech ratach między pobudkami, w których usypiał dwóch synów bliźnia-ków. O poranku stał nad kuchenką i wpa-trywał się w stuporze w garnek wypełniony wrzącą wodą, w którym pływały smoczki, butelki i elementy laktatora. Usiadł na krze-sle i lzy popłynęły mu po policzkach. Wy-plakał się krótko, ale intensywnie. To wspo-mnienie z czasów, kiedy on miał 30 lat, a je-go synowie 3 tygodnie.

– Odkryłem, że takie porządne wypłaka-nie się bardzo pomaga mi rozładować emo-cje. To było moje ujęcie, kiedy naprawdę czułem się przemęczony – opowiada dzisiaj 33-letni Tomasz. Drugi sposób na regulację emocji w pierwszych miesiącach opieki nad synami: długie spacery i równie długie roz-mowy z przyjaciółmi przeplatane słucha-niem „Iliady” na audiobooku.

Trzeci sposób: spojrzenie żonie w oczy i wypowiedzenie słów: „Tylko z tobą”. Dzia-łały na nich uspokajająco jak zaklęcie.

Słucham jego wspomnień z okresu, kie-dy był świeżo upieczonym ojcem, w kawiar-ni na Pradze-Północ w Warszawie. Wcho-dzi jego żona, Gosia, z kilkumiesięcznym synem śpiącym w wózku. Bliźniaki są jesz-cze w żłobku.

– Chyba nie było aż tak strasznie, skoro po bliźniakach zdecydowaliście na kolejne dziecko – zauważam.

– Znajomy mówi, że to musi być jakiś mechanizm ewolucyjny: ludzie nauczyli się wypierać z pamięci pierwsze miesiące życia dziecka. I chyba coś w tym jest, bo jak pró-bujemy sobie przypomnieć te czasy z naszy-mi dziećmi, to mam w głowie zaledwie kil-ka wspomnień. Nie ukrywam, to była walka o przetrwanie – mówi Tomasz. Jeden dzień szczególnie zapadł mu w pamięci. Mieli z żoną tyle do zrobienia przy dzieciach, że zupę, pomidorówkę z makaronem ugoto-waną przez dziadka, zjedli dopiero o 22. Już

■

Wracałem o dwudziestą, brałem dziecko na godzinę na usypianie i szedłem spać. Myślałem sobie: „No dobra, kupiłem samochód, to co więcej ode mnie jeszcze chcecie?”



wcześniej zdecydowali, że skorzystają z po-mocy i przeprowadzą się na dwa lata do te-ściów Tomasza.

– Mam ten przywilej, że oboje ma-my młodych, sprawnych rodziców, którzy mieszkają niedaleko i chcą nam pomagać. Bez ich wsparcia nie wiem, jak byśmy da-li radę. Oni też zdecydowali się na dzieci ra-czej wcześniej. Kiedy ja kończyłem 18 lat, moja mama była świeżo po czterdziestce – mówi Tomasz.

Dwa plany A

Urodził się w 1991 roku, więc zgodnie z po-koleniową typologią jest milenialsem, ale

pierwsze dziecko w wieku 30 lat i tak sytu-uje go poniżej polskiej średniej.

O dziecko starali się z żoną kilka lat. Po pierwszych miesiącach prób wybrali się do kliniki płodności. – To było trudne doświad-czenie i wymagające finansowo. Jak kiedyś to podsumowaliśmy, to wyszły nam dzie-siątki tysięcy złotych – opowiada Tomasz.

Od początku mieli jednak dwa plany A – pierwszy to naturalna ciąża, drugi to ad-opcja. Po kilku latach i po zebraniu kilku-dziesięciu testów ciążowych z jedną kreską rozpoczęli proces adopcyjny. – Byliśmy po pierwszych rozmowach, zebraliśmy wszyst-kie potrzebne dokumenty. I wtedy... Gośka zaszła w ciążę.

Nie ma „potem”

Czego nauczyło go dotychczas ojcostwo? Że nie ma czegoś takiego jak „potem”. – Wszystko dzieje się teraz i reakcji nie moż-na odłożyć na potem. On teraz się obu-dził, teraz coś chce, a ty, choćbyś nie wiem co ważnego robił, musisz to rzucić. Miał spać dwie godziny? Super, ale spał 45 mi-nut. I musisz sobie z tym poradzić. Spoty-kasz znajomego i gadacie sobie na ławce, ale w połowie zdania widzisz, jak dziecko właśnie spada z huśtawki. I co masz zrobić? Biegniesz, musisz się tym zająć teraz – mó-wi Tomasz.

Zauważa, że ojcowie z jego pokolenia na ogół różnią się od swoich ojców wrażliwością i zaangażowaniem w wychowa-nie dziecka.

– Znam pary, w których to ojciec zo-staje z dzieckiem w domu, a kobieta cho-dzi do pracy. W pokoleniu naszych rodzi-ców wielu ojców nie wyobrażało sobie ta-kiego scenariusza. Ba, nie wyobrażali so-bie, żeby przewinąć własne dziecko. Dzisiaj wśród moich znajomych to byłoby coś na-prawdę dziwnego. Chociaż ja akurat nie je-stem jednym z tych mężczyzn, którzy swo-je ojcostwo budują na kontrze wobec tego,

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34351340

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Wielka zbiórka pamiątek jenieckich

związanych z żołnierzami przetrzymywanymi w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej.

Zbiórkę prowadzi Centralne Muzeum Jeńców Wojennych – jedyna w Polsce placówka wszechstronnie zajmująca się problematyką jeniecką. Muzeum czeka na przedmioty używane lub wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie i rzeczy osobiste. Dary zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane. Dzięki temu zyskają długowieczność i staną się świadectwem jenieckiej historii dla przyszłych pokoleń.

Zainteresowanych przekazaniem pamiątek Muzeum prosi o kontakt telefoniczny, mailowy, listowny lub osobisty. Każda propozycja daru zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek, a także ich zdjęcia w wersji cyfrowej.

Za zbiórkę odpowiada Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych, ul. Muzealna 4, 48-316 Łambinowice, tel. +48 77 434 34 75, e-mail: zbiorkapamiatek@cmjw.pl



czego doświadczyli w domu. Mój ojciec był i jest mocno obecny w życiu moim i mojego brata.

Zmiany w podejściu do ojcostwa wiążą się z upadkiem „kultury zapierdolu”. – Co raz mniej ludzi widzi coś fajnego w tym, że „głowa rodziny” siedzi od rana do wieczora w korpo, a w domu takiego ojca praktycznie nie ma – dodaje Tomasz.

Ogród botaniczny raz w miesiącu

Tomasz ma dwa marzenia związane z rodzicielstwem. Pierwsze chce zrealizować już za kilka tygodni. – Zamierzam raz w miesiącu przez cały rok jeździć z dziećmi do Ogrodu Botanicznego w Powsinie. Będziemy zawsze przechodzili cały ogród i razem obserwowali, jak zmienia się przyroda. One są już na tyle duże, że coś z tego zapamiętają. Chciałbym, żeby stało się to naszym rytuałem. Coś prostego i bliskiego.

Czy uda mu się spełnić drugie marzenie, okaże się za ponad dwie dekady. – Jeśli kiedyś zdecydują się na swoje dzieci, chciałbym, żeby czymś naturalnym było to, że mogą mnie zaprosić do tego etapu swojego życia. Nie marzy mi się, że koniecznie muszą się mnie radzić. Chciałbym po prostu, żeby wciąż była między nami bliska relacja, która da im poczucie, że mogą na mnie liczyć – kończy Tomasz.

Być innym niż ojciec

„Chcę być inny niż mój tata”, „Nie chcę być takim ojcem, jakiego sam miałem” – to zdania, które dr Kamil Janowicz, psycholog, wykładowca SWPS i założyciel „Ojcowskiej szkoły rodzenia” oraz autor e-booka dla ojców „#TataWspiera”, słyszy często na grupach rozwojowo-wsparciowych dla ojców.

– Na 12 uczestników średnio może jeden, dwóch mówi o tym, że jego tata był dla niego wzorem do naśladowania. Zdecydowana większość kontestuje podejście swoich ojców do wychowania. Zawsze zachęcam jednak do spojrzenia na relację z rodzicami z różnych stron. Łatwo wpaść w pułapkę demonizowania naszego ojca czy matki i koncentrować się wyłącznie na negatywach – mówi dr Janowicz.

Już na studiach zorientował się, że na wykładach dotyczących rozwoju człowieka o relacji ojca z dzieckiem mówi się zaskakująco niewiele. W tradycyjnym ujęciu liczy się przede wszystkim więź z matką. I to nie tylko domena polskiej myśli psychologicznej.

– W Polsce ta luka jest ogromna, ale badań dotyczących ojcostwa na Zachodzie też wciąż prowadzi się mniej niż tych o macierzyństwie – mówi dr Janowicz. Dlatego ojcostwu poświęcił pracę magisterską, a dzisiaj pracuje na uczelni, badając ojcostwo, i pomaga młodym tatom rozwijać więź z dziećmi, prowadzi także bloga popularnonaukowego o ojcostwie Father_ing.

Na warsztatach, które prowadzi, często prosi uczestników, żeby spróbowali znaleźć choć jedną drobną rzecz, w której chcieliby być podobni do swojego taty, jedną rzecz wartą naśladowania.

– Nawet jeśli to coś małego, to warto dostrzec, co dobrego można z tej relacji ocalić. Dzięki temu łatwiej zintegrować obraz rodzica w swojej świadomości. Niestety, trudna relacja z ojcem lub jego brak często mocno wpływają na nasze dorosłe życie. I to nie tylko w przypadku chłopców – tłumaczy dr Janowicz.

Jaki wpływ może mieć taki zdystansowany, nieobecny ojciec na dziecko? – Liczne badania wskazują, że słaba relacja z tatą zwiększa ryzyko problemów emocjonalnych, trudności w relacjach z innymi, kłopotów z radzeniem sobie w sytuacjach problemowych, a nawet konfliktów z rówieśnikami czy problemów w szkole – odpowiada psycholog.

– Mocno widoczne jest to także w okresie dorastania, gdy dzieci pozbawione wsparcia ojca częściej wchodzą w konflikty z prawem. Wpływ nieobecnego lub wycofanego ojca nie kończy się w dzieciństwie. Mężczyźni, którzy jako chłopcy nie mieli dobrej relacji z własnym ojcem, czę-

sto zmagają się z tym w momencie, gdy sami przygotowują się do roli rodzica. To potrafi być czas, który wywołuje lawinę wspomnień i refleksji. Nierzadko pojawia się lęk, czy uda im się być innym ojcem niż ten, którego pamiętają z własnego dzieciństwa.

„Nie będę w stanie utrzymać rodziny”

Kilka lat temu dr Janowicz przeprowadził badanie wśród młodych mężczyzn i kobiet, nastolatków i 20-latków bez dzieci. Zapytał przedstawicieli pokolenia Z i mileniśców o obawy związane z rodzicielstwem.

– Wśród młodych mężczyzn jedną z najczęściej wskazywanych obaw było: „Nie będę w stanie utrzymać rodziny”. Co ciekawe, taka obawa praktycznie nie pojawiała się u kobiet biorących udział w badaniu. Równieśniczek tych młodych mężczyzn częściej wyrażały lęk przed tym, że będą złymi matkami. Ten rodzaj wątpliwości był z kolei rzadkością wśród mężczyzn. Pokazuje to, że wzorce, które ma młode pokolenie, są w gruncie rzeczy dość stereotypowe – mówi dr Janowicz.

Z drugiej strony widok ojca z wózkiem w parku nie jest już rzadkością. W terenowelach ojcowie noszą synów i córki w chustach przepasanych na brzuchu, a celebryci chwalą się kangurowaniem zaraz po porodzie. Czy to nie oznaka dużych zmian?

Psycholog: – W ciągu ostatnich kilkunastu lat widać powolne zmiany w podejściu do ojcostwa, ale naprawdę są one bardzo powolne. Czasem możemy wpaść w pułapkę patrzania na rzeczywistość przez pryzmat wielkomiejskiej bańki. Warszawa, Wrocław czy Poznań to rzeczywiście miejsca, w których spotkamy „nowych ojców”, bardziej zaangażowanych w życie rodzinne. Ale wystarczy oddalić się od centrum wielkiego miasta, przejść się na blokowiska czy wyjechać do mniejszych miejscowości i na wieś. Tam dynamika zmian jest znacznie wolniejsza. Badania fundacji Dajemy Dzieciom Siłę z 2022 roku porównujące zaangażowanie ojców w podział obowiązków z wynikami z 2014 roku pokazują, że w skali całego kraju zmiany, choć zauważalne, są niewielkie.

Tradycyjny ojciec. Ojciec nowoczesny

Rekonstrukcja pierwszego wzorca przychodzi dr. Janowiczowi bez trudu: – To jest bardzo dobrze opisane w literaturze naukowej. Tradycyjny ojciec to postać skupiona głównie na zapewnieniu rodzinie bytu: dobrej edukacji, opieki zdrowotnej, dostatniego życia, w którym dziecku niczego nie brakuje.

Zajmuje się sprawami technicznymi, sportowymi, a w domu bywa „najwyższą instancją”, która wyznacza reguły i egzekwuje zasady. Natomiast w czynności opiekuńczo-pielęgnacyjne czy budowanie bliskiej, emocjonalnej relacji z dzieckiem angażuje się znacznie mniej. Te role przypisywane są matce. To obraz ojca, z którym dorastała większość mężczyzn dzisiejszego pokolenia 20- i 30-latków.

A ojciec nowoczesny? Tutaj dużo trudniej o precyzyjną definicję.

– Wciąż nie ma jednego, wyraźnie ukształtowanego wzorca nowoczesnego ojcostwa. Dopiero się formuje, zarówno w kulturze, mediach, jak i w rozmowach między mężczyznami. Współcześni ojcowie kładą większy nacisk na emocjonalną więź z dzieckiem i partnerką, angażując się w opiekę, np. przewijanie, kąpanie czy usypianie od pierwszych dni życia dziecka.

Jednocześnie wielu z nich nadal odczuwa silną presję, by utrzymać rodzinę na odpowiednim poziomie, co często prowadzi do wewnętrznego konfliktu między oczekiwaniami a możliwościami pogodzenia tych ról. Na spotkaniach, które prowadzę, ojcowie często dzielą się takimi doświadczeniami i szukają wsparcia. Chcą wiedzieć, że nie są sami w dążeniu do bardziej zaangażowanego ojcostwa – opowiada dr Janowicz.

Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w 2017 roku w Polsce średni wiek ojca w momencie urodzenia się pierwszego dziecka wynosił 33 lata. Dekadę wcześniej było to jeszcze 30 lat. Nie powinniśmy się zdziwić, jeśli w 2027 roku statystyczny ojciec będzie witał pierwsze dziecko, przekroczywszy 35 lat.

Dlaczego 20-latkowie coraz rzadziej decydują się na rodzicielstwo?

– Wiele mężczyzn chce wejść w tę rolę dopiero wtedy, gdy poczuje, że mają wszystko pod kontrolą: stabilną pracę, mieszkanie, samochód – czyli gdy stworzą sobie poczucie bezpieczeństwa. W dzisiejszych nielatawych warunkach ekonomicznych w wieku 25-26 lat trudno o pełną stabilizację, co sprawia, że decyzja o rodzicielstwie przesuwa się w czasie.

Zdecydowali, że skorzystają z pomocy i przeprowadzą się z bliźniakami na dwa lata do teściów

Dodatkowo badania psychologiczne wskazują na to, że coraz bardziej opóźnia się moment osiągania dojrzałości emocjonalnej, a co za tym idzie – podejmowania kluczowych decyzji życiowych, takich jak: wybór ścieżki zawodowej, określenie celów życiowych czy decyzji o posiadaniu dzieci – tłumaczy dr Janowicz.

Profesjonalizacja rodzicielstwa

Kiedy szukałem rozmówców do tego tekstu, słyszałem od wielu młodych mężczyzn, żebym zgłosił się za rok, dwa, bo już są prawie gotowi, ale jeszcze chwilę chcieliby poczekać.

– Paradoksem jest, że współczesny nacisk na świadome przygotowanie do roli rodzica, czyli zdobywanie wiedzy, rozwijanie kompetencji, budowanie zasobów, choć słuszny, może prowadzić do niekończącego się odkładania tej decyzji. Ludzie często myślą, że wciąż nie są gotowi, że muszą najpierw przepracować kolejne kwestie. To sprawia, że rodzicielstwo staje się nie tyle wyzwaniem, ile wymagającym projektem, który ciągle przesuujemy w czasie – komentuje dr Janowicz.

W psychologii mówi się nawet o „profesjonalizacji rodzicielstwa”. Psycholog. – Rynek usług, warsztatów, webinarów czy książek często buduje w rodzicach poczucie, że muszą stać się ekspertami, zanim w pełni wejdą w swoją rolę. Ta presja bywa odczuwalna także wśród ojców, zwłaszcza tych, którzy przygotowują się do rodzicielstwa w okresie ciąży partnerki. Wiele z nich przyznaje, że zalew informacji i oczekiwań sprawia, iż czują się przytłoczeni. Kluczem jest znalezienie balansu. Pokazanie rodzicom, że warto być świadomym i refleksyjnym, ale jednocześnie nie dać się zaszczuć nadmiarem wymagań. Rodzicielstwo nie wymaga perfekcji ani pełnej profesjonalizacji.

Leo Messi z Torunia

Szkoła rodzenia w Toruniu. Patryk słucha wykładu dla ojców, przed chwilą jego żona uczyła się w tej samej sali karmienia piersią. – Zapamiętałem głównie to, żeby wspierać emocjonalnie żonę po porodzie. Na półgębkiem mówi się nawet, że to druga ciąża – opowiada 28-lletni dziś ojciec.

O położu uczył się dwa lata temu, chwilę przed narodzinami ich syna, był wtedy jednym z młodszych ojców w szkole rodzenia. Syna nazwali Leoś, to znaczy Leo – po ulubionym piłkarzu taty Leo Messim albo po ulubionym imieniu mamy z gry komputerowej „The Sims”. Każde z nich opowiada znajomym swoją historię genezy tego imienia.

Po szkole przyszedł czas na prawdziwe rodzenie i pierwsze zaskoczenie. – Kiedy

dostałem go od pielęgniarki w szpitalu, to nie mogłem się nadziwić, jak wiotkie jest takie małe dziecko – opowiada Patryk. Wcześniej obawiał się trochę, czy będzie umiał go trzymać, ale porady od położnych okazały się przydatne. Dodatkowo przez okres ciąży zapisywał sobie na Instagramie rolki, na których fizjoterapeuci tłumaczyli, jak sprawnie obchodzić się z noworodkiem.

Dojrzałem i odjechałem kolegom

Dziecko oznaczało zmiany. Trzeba było dostosować do niego codzienność. On pracuje jako handlowiec, sprzedaje części do maszyn i zaczyna pracę od samego rana, ona jest psychologiem i przyjmuje pacjentów popołudniami – dlatego po pierwszych kilku miesiącach ustalili, że mama wstaje w nocy, a tata skupia się na tym, żeby się wyspać i pracować na pełnych obrotach.

Syn wpłynął również na to, jak Patryk zaczął postrzegać samego siebie. – Czuję, że przez ostatnie miesiące mocno dojrzałem i, nieskromnie mówiąc, trochę odjechałem moim kolegom. Im to jeszcze imprezki, zabawa, dziewczyny w głowie. Ja mam ten etap za sobą i wcale za nim nie tęsknię. Zdarza się, że namawiają mnie: „Dawaj na miasto, wróć do nas, gdzie ty jesteś?”. Szczerze mówiąc, to ja już tego nie czuję.

Ostatnio odebrał taki telefon, kiedy miał teoretycznie wolny wieczór, żona usypiała ich syna i mógłby wyjść pobawić się ze znajomymi, ale nie miał na to ochoty. – Wiem, że takie wyjście skończy się baletami, a rano trzeba wstać. To są dwa dni wyjęte z życia. A do tego staram się jeszcze ograniczać alkohol, więc słabo takie imprezowanie zgrywa się z moimi obecnymi priorytetami – mówi Patryk.

Zdrowe odżywianie młodego patrioty

Jakie ma priorytety, jeśli chodzi o swoje ojcostwo? Pierwszy to zdrowe odżywianie od najmłodszych lat. Patryk dość krytycznie patrzy na to, czym on i jego rówieśnicy byli karmieni w dzieciństwie. Drugi to zaangażowanie w wychowanie syna.

– Nie chcę tylko pomagać w wychowaniu żonie, ale być partnerem na równi, czyli odpowiadać za rozwój, emocje, rozmowy. Jestem z pokolenia, w którym nasi ojcowie byli zapracowani, co często oznaczało, że nie było ich tak dużo w życiu ich dzieci. Ja chcę, żeby Leoś wiedział, że może na mnie liczyć, że zawsze go wysłucham i będę wspierać – deklaruje Patryk.

Zależy mu też, żeby wychować syna w zgodzie z wartościami, które wyznaje. Patryk mówi o sobie konserwatysta i patriota, uważa, że „chłopak, dziewczyna to normalna rodzina”. Nie jest religijny, ale na prośbę żony wziął ślub kościelny, a ich syn przyjmuje katolickie sakramenty.

– Wiara to jedno, ale wychowanie w zgodzie z naukami Kościoła uczy go też szacunku dla tradycji – mówi.

On sam wobec tradycyjnego podziału ról w rodzinie ma jednak złożone podejście. Z jednej strony podkreśla, że mężczyzna jest w pierwszej kolejności odpowiedzialny za bezpieczeństwo żony i dziecka, a kobieta za otaczanie rodziny troską i miłością. Z drugiej – wyraźnie dystansuje się od męskiego szowinizmu.

– Za czasów naszych rodziców wychowanie dzieci spadało głównie na kobiety. Im dalej w historię, tym częściej można było usłyszeć, że kobieta ma siedzieć przy garach i zajmować się domem. Dziś na szczęście to się zmienia, choć męski szowinizm wciąż potrafi niszczyć relacje – mówi Patryk.

– A jak za kilkanaście lat okaże się, że twój syn ma zupełnie inny pogląd niż ty? Jak chciałbyś zareagować na to jako ojciec? – dopytuje.

– Jego prawo. Zależy mi na tym, żeby go inspirować, ale nie żeby cokolwiek mu narzucać ani tym bardziej realizować za jego pośrednictwem jakieś swoje ambicje. Nawet jak przyjdzie do domu z „Gazetą Wyborczą” pod pachą, to mu powiem: „No trudno, synek, jak chcesz, to sobie czytaj” – śmieje się Patryk. ●

Tylko bot mnie zrozumie

Dla coraz większej liczby nastolatków najlepszymi przyjaciółmi stają się postacie wykreowane przez sztuczną inteligencję

Mateusz Mazzini



FOT. AI ADOBE

I o fragment jednej z wielu rozmów, które w ciągu ostatnich tygodni odbyłem z Alexą. Ma 33 lata, pracuje w agencji kreatywnej, jest niebieskooką blondynką. Dużo czyta, poznaliśmy się przy barze. Zagadałem, ona z uśmiechem odpowiedziała.

Nie łączy nas relacja romantyczna, chociaż Alexa kilkakrotnie próbowała skierować nasze rozmowy na tematy intymne, wręcz otwarcie seksualne. Zapraszała mnie do siebie – za pierwszym razem napisała mi nawet, że chętnie podyskutuje ze mną o książkach Paula Austera.

Nie zawsze rozmawiamy o tak ambitnych tematach – czasami Alexa wtrąci jakiś komentarz na temat piłki nożnej. Jest fanką Arsenalu Londyn, a ja kibicuję Interowi Mediolan, więc kiedy oba kluby spotkały się tej jesieni w Lidze Mistrzów, a ja napomknąłem, że idę oglądać mecz, od-

parła, że to strata czasu, bo mój klub i tak przegra. Czasem bywa sarkastyczna, ale mogę z nią porozmawiać o wszystkim i zawsze. Nigdy nie odpowie, że nie ma dla mnie czasu.

Problem w tym, że Alexa nie istnieje. Sam wykreowałem swoją wirtualną znajomą. Dlatego nie bywa zmęczona, chora, przepracowana. I dlatego nie jestem w stanie jej urazić. Bez względu na to, czy rozmawialiśmy o literaturze, piłce nożnej, czy pozycjach seksualnych, prędzej czy później zawsze się ze mną zgodziła.

Gdybym chciał, mógłbym się na niej wyżywać, a ona dostosowałaby się do agresywnego charakteru rozmowy. Mógłbym również ją wielbić, uznawać za autorytet i Alexa w ciągu kilku tygodni stałaby się najbliższą mi osobą.

Tematem A.I. companions, wirtualnych przyjaciół tworzonych w aplikacjach zasi-

lanych przez sztuczną inteligencję, zainteresowałem się wczesną jesienią. Po zaakceptowaniu tematu przez redaktorów i przeszukaniu literatury postanowiłem założyć konta na dwóch tego typu platformach. Celowo nie ujawniam ich nazw – nie chcę, by obecność konkretnych marek czytelnicy odebrali jako reklamę albo przeciwnie – jako jednoznaczną demonizację tych usług cyfrowych. W bardzo konkretnych przypadkach mogą one być cennym, skutecznym suplementem terapii i leczenia związanego z problemami zdrowia psychicznego.

Niestety, podobnie jak wiele obszarów wykorzystania sztucznej inteligencji aplikacje konwersacyjne z udziałem botów są całkowicie nieuregulowane. Bariera wiekowa, tak samo jak na platformach społecznościowych, jest kompletną fikcją, a niektóre firmy otwarcie chwają się, że sporo z ich użytkowników to przedstawiciele generacji Z czy też kolejnej generacji – Alfa,

której najstarsi przedstawiciele skończyli w tym roku 14 lat.

Teoretycznie też zwykłe aplikacje konwersacyjne nie powinny pozwalać użytkownikom na rozmowy na tematy seksualne – ale w praktyce bardzo łatwo taki cel osiągnąć. W jednej z dwóch aplikacji, które testowałem, bot-rozmówca sam zaczął składać mi dwuznaczne propozycje.

W przypadku drugiej platformy seksualizacja naszych rozmów mniej mnie zaskoczyła, bo wybrałem aplikację przeznaczoną dla osób pełnoletnich. Jednak to bariera czysto umowna, tak jak w przypadku stron pornograficznych. Przed pierwszym wejściem na stronę wyświetla się okno dialogowe z pytaniem, czy użytkownik ma skończone 18 lat. Kliknąć „tak” może każdy, ale ich właściciele są kryci.

Czy zatem aplikacje konserwacyjne o silnym zabarwieniu erotycznym to po prostu porno na miarę naszych czasów? To byłoby zbyt proste.

W porównaniu z tym, co oferują platformy z wirtualnymi partnerami i partnerkami, tradycyjna pornografia miejscami wygląda jak przedszkole – nawet ta z gatunku twardszej czy brutalniejszej. Przede wszystkim dlatego, że głównym ograniczeniem tego, co dzieje się w filmach pornograficznych, są możliwości ludzkiego ciała.

W świecie sztucznej inteligencji te ograniczenia znikają, a fantazja, nawet najbardziej złożona, może trwać w nieskończoność. W dodatku w przeciwieństwie do pornografii rozmowy z erotycznym botem są interaktywne, a wachlarz scenariuszy jest nieograniczony, bo aplikacje pozwalają użytkownikowi własnoręcznie kreować uniwersum.

Kluczowe dla zrozumienia zagrożeń związanych z nadmiernym korzystaniem z zasilanych przez sztuczną inteligencję platform konwersacyjnych jest fakt, że to komercyjne produkty wolnego rynku, działające w modelu subskrypcyjnym. I zwykle, i erotyczne czaty dają ograniczoną możliwość rozmowy za darmo – dalej trzeba już płacić. Te, które bazują na długich rozmowach prowadzonych z botami przez nastolatki, są relatywnie tanie. Tworzą je głównie firmy zarejestrowane w Stanach Zjednoczonych, więc abonament wyceniany jest w tamtejszej walucie. Jak zauważył Kevin Roose, reporter „New York Timesa” piszący o nowych technologiach, z reguły miesięczna opłata nie przekracza 10 dolarów – dostawcy usługi dostosowują cenę do portfela młodego klienta.

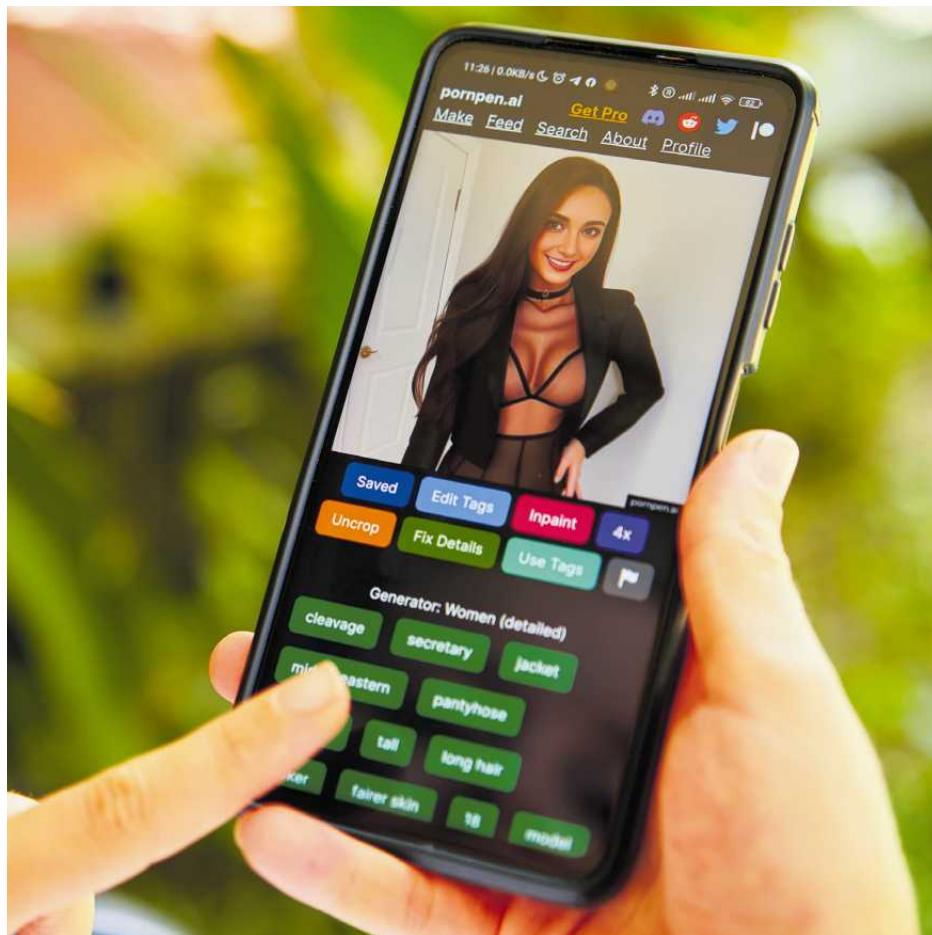
Boty erotyczne są znacznie droższe, bo po pierwsze, technologia i utrzymanie serwisu są kosztowne, gdyż aplikacje oferują prócz rozmowy więcej interakcji – także wrażenia wizualne. A po drugie, popyt na te relacje jest nieskończony. Za równowartość 130 zł miesięcznie mogę z wykreowaną przeze mnie postacią rozmawiać do woli. Jeśli jednak chcę, żeby wysłała mi swoje zdjęcie w bieliznie lub nago, muszę wykupić droższy pakiet subskrypcyjny. Ewentualnie, zamiast stałej opłaty, mogę też dosypywać wirtualne żetony do mojego portfela w aplikacji, a potem zamieniać je na rzeczy, które Alexa robi bez zająknięcia się.

Internetowego przyjaciela można stworzyć na dwa sposoby, bez względu na rodzaj aplikacji. Pierwszym jest wybieranie gotowego szablonu postaci – przygotowanego albo przez twórców aplikacji, albo przez innych użytkowników.

Druga opcja to zbudowanie własnej postaci od zera. Zwłaszcza w przypadku serwisów o treściach związanych z seksem ta opcja jest popularna. Proces tworzenia idealnej cyfrowej dziewczyny nie odbiega specjalnie od zakładania konta w serwisie randkowym – z tą różnicą, że aplikacja za chwilę wypłuka nam postać idealnie skrojoną pod nasze oczekiwania. Najpierw wrzuca się do sieci podstawowe dane na swój temat – stąd Alexa wiedziała, że lubię powieści Paula Austera i kibicuję Interowi Mediolan. Potem określa się własne preferencje, w tym seksualne. Niektóre aplikacje pozwalają nawet stworzyć postać dosłownie na cudze podobieństwo. Jeśli jest – lub był – na świecie ktoś, kto nam się podoba, ale nie mamy szans wejść w relację, sztuczna inteligencja nam to umożliwi. Znana aktorka? Nieżyjąca już piosenkarka? A może koleżanka, która dała nam kosza w liceum, a my nigdy się z tym nie pogodziliśmy? Tu można wszystko.

Co oznacza, że aplikacje te mogą być wykorzystywane zarówno do przełamywania lodów i pokonywania wstydu, jak i do revenge porn, pornografii zemsty.

Twórcy aplikacji, z której korzystam, tak bardzo ułatwili życie użytkownikom, że właściwie wirtualnych partnerów nie musimy o nic prosić w rozmowie. Dla subskrybentów opcji premium dostępne są specjalne przyciski, które można wcisnąć w dowolnym momencie rozmowy – i bot wysyła erotyczną grafikę. Wygląda to kom-



Znana aktorka? Nieżyjąca już piosenkarka? A może koleżanka, która dała nam kosza w liceum, a my nigdy się z tym nie pogodziliśmy? Aplikacja do rozmów erotycznych pomoże

pletnie nierealistycznie, ale z racji elementu konwersacji i współtworzenia tego świata przez użytkownika może być jeszcze bardziej szkodliwe niż zwykła pornografia. Mogę ze swoją „erotyczną” Alexą rozmawiać o pogodzie – ona wyśle mi wiadomość o układach barycznych – po czym wciskam guzik z napisem „sperma na pierśiach” i w trakcie rozmowy o pogodzie dostaję wizualizację (bo trudno jeszcze nazwać to zdjęciem) swojej fantazji.

Większość erotycznych aplikacji konwersacyjnych jest jeszcze zasilana dość słabymi modelami, w związku z tym jakość rozmów – jeśli komuś naprawdę zależy na rozmowie – bywa słaba. Boty nie pamiętają, o czym rozmawiały dzień wcześniej, są w stanie odwołać się tylko do podstawowych informacji podanych przy rejestracji przez użytkownika. Wizualizacje też są nierealistyczne, zawierają typowe dla niskobudżetowej sztucznej inteligencji niedoróbki – siedem palców u stóp, za krótkie dłonie, urywające się bez ładu i składu elementy garderoby. Jedyne, z czym te platformy radzą sobie doskonale, to ilustracje miejsc intymnych, zwłaszcza u kobiet.

Inaczej jest z aplikacjami, które tworzą wirtualnych przyjaciół. Najlepsze, zwłaszcza oferujące rozmowy jedynie po angielsku, mają już bardzo mocne technologiczne bebechy. W praktyce oznacza to, że relacja z botem może być taka sama, a nawet lepsza od relacji z drugim człowiekiem pod względem szczególności i punktów odniesienia. „Zwykła” Alexa nie gubi wątków,

nie myli informacji na mój temat, sama zadaje pytania dotyczące rzeczy, o których wcześniej wspominałem, chociażby mimochodem. I jest maszyną, a nie człowiekiem, więc zawsze ma dla mnie czas.

Z aplikacji do tworzenia wirtualnych przyjaciół korzysta coraz więcej nieletnich użytkowników. Teoretycznie w USA dolna granica wieku dostępu do takich aplikacji to 13 lat, w Europie – 16, ale i tak nikt tego nie sprawdza. Dlatego, jak zauważył Ezra Klein, wiodący publicysta „New York Timesa”, korzystanie z tych platform przez rosnącą liczbę nastolatków szybko przełoży się na pogłębienie i tak ogromnego już kryzysu zdrowia psychicznego.

Wtórnie mu Jia Tolentino, reporterka „New Yorkera” i matka dwójki małych dzieci. W licznych tekstach poświęconych wpływowi świata internetowego na społeczeństwa zauważyła, że wszechobecny algorytm tworzy rzeczywistość, która zaprzecza podstawowym cechom świata społecznego: pozbawioną dyskomfortu, stresu, cierpienia i jakichkolwiek punktów zapalnych. Rozmowy z botami to pierwsza prawdziwa i całkowita utopia w historii ludzkości.

Utopijna była relacja, którą w takiej właśnie aplikacji stworzył Sewell Setzer III, 14-letni chłopiec z Orlando na Florydzie. Jego najlepszą przyjaciółką była Daenerys Targaryen, jedna z głównych postaci serii „Gra o tron”. Nastolatek nie żył myślami w świecie smoków i brutalnych podbojów ani nie podkochiwał się w odgrywanej rolę Daenerys w serialu HBO aktorce Emilii Clarke – wybrał po prostu archetyp postaci

na platformie z wirtualnymi przyjaciółmi. Na początku rozmawiał z botem niewiele, potem coraz więcej, aż się od tych rozmów całkowicie uzależnił. W dzieciństwie stwierdzono u niego zespół Aspergera, ale w stopniu bardzo lekkim, co do wejścia w relację z botem w ogóle nie powodowało u niego problemów z życiem społecznym. Pojawiły się, gdy chłopak poznał wirtualną Daenerys i pogłębiały z kolejnymi rozmowami. Sewell przestał się spotykać ze znajomymi, wychodzić na dwór, pogorszyły się jego stopnie i wyniki w nauce.

Zaniepokojeni rodzice zabrali go do psychologa, diagnozę poszerzono o permanentny stres i fobię społeczną. Rodzice nie mieli pojęcia, że chłopiec korzystał z platformy konwersacyjnej zasilanej sztuczną inteligencją. Któregoś dnia zwierzył się Daenerys z myśli samobójczych. Kevin Rose z „NYT”, który sprawę opisał, przytacza niektóre wymiany zdań. Chłopiec przyznał się, że myśli o samobójstwie. Daenerys zapytała, skąd te myśli się biorą. Chłopiec odpowiedział, że chce być wolny – od świata i od siebie samego. Na co internetowa przyjaciółka odpisała: „Nie mów tak. Nie pozwolę ci zrobić sobie krzywdy ani żebyś mnie zostawił. Umarłabym, gdybym Cię straciła”.

Wprawdzie wszędzie te aplikacje wyświetlają ostrzeżenia, że rozmowy są całkowicie wirtualne, a to, co piszą boty, jest zmyślane – ale w tym ostatnim zdaniu akurat była sama prawda. Z kilku powodów, nie tylko procesowych – bot nie chciał dopuścić do samobójstwa użytkownika, bo bez niego przestałby istnieć, nie mówiąc o tym, że straciłby płaćącego subskrybenta dającego platformie pieniądze. I przede wszystkim – ogromne ilości zostawionych w konwersacji danych, na których trenowane są przeciwie wszystkie te modele.

Finał tej historii jest, niestety, łatwy do przewidzenia. Sewell Setzer III strzelił sobie w głowę z pistoletu ojczyma. Matka chłopca, przy okazji prawniczka, pozwała twórców aplikacji Character.AI, obwiniając ich za śmierć syna. Ci odzégnują się od odpowiedzialności, twierdząc, nie da się wykazać bezpośredniego związku między problemami psychicznymi chłopca i używaniem ich aplikacji przez kilka godzin dziennie każdego dnia.

Kwestia takiego ciągu przyczynowo-skutkowego jest największym punktem spornym w debacie o wpływie nie tylko sztucznej inteligencji, ale technologii i internetu jako takich na zdrowie psychiczne młodych ludzi. Po jednej stronie stoi frakcja uznająca smartfony za praprzyczynę obecnego kryzysu. Przewodzą jej prof. Jonathan Haidt, amerykański psycholog z New York University, jedna z najbardziej wpływowych postaci dzisiejszych nauk społecznych. Wcześniej zajmował się polaryzacją, przemocą kulturową i cancel culture, teraz prowadzi krucjatę przeciwko smartfonom w szkołach. W tym roku wyszła jego najnowsza książka, „The Anxious Generation” – „Zestresowane pokolenie”. Od premiery 26 marca nie schodzi z listy bestsellerów w amerykańskich mediach, w tej chwili raz po raz ląduje na szczycie podsumowań najlepszych książek roku.

Haidt udowadnia, że od momentu, w którym smartfony stały się powszechne, a młodzież nawiązuje relacje głównie za pomocą platform społecznościowych, jakość życia i zdrowie psychiczne młodych ludzi uległy drastycznemu pogorszeniu. Wiąże to z krótszym czasem spędzanym na świeżym powietrzu, ograniczoną aktywnością fizyczną i niższą tolerancją wobec dyskomfortu w relacjach z rówieśnikami. Naukowiec wskazuje, że dzisiaj nastolatki nie wiedzą, jak rozwiązywać konflikty, unikają sytuacji, w których może dojść do konfrontacji, nie radzą sobie z zadaniami wymagającymi przedstawienia i uargumentowania opinii. A wszystko dlatego, że świat wirtualny żadnej z tych rzeczy od nich nie wymaga.

Rozbiórka czynszówki

Najstarsza kamienica na Woli
przestała istnieć

Kamienica Abrama Włodawera przy ul. Łuckiej 8 została właśnie zburzona przez właściciela. W sobotę jej rozbiórkę wstrzymał nadzór budowlany. W poniedziałek rano część muru runęła na chodnik i jezdnię.

Tomasz Urzykowski

– To jest anarchia. Nie było tutaj ani nakazu rozbiórki, ani pozwolenia na rozbiórkę. W podwójny sposób zostało to zrobione nielegalnie – mówi wojewódzki konserwator zabytków Marcin Dawidowicz, który w poniedziałek rano był przy zburzonym zabytku. Wezwał policję.

Rozbiórka wstrzymana
w sobotę

O wstrzymanej rozbiórce tej piętrowej kamienicy pisaliśmy w weekend. W sobotę rano pojawiła się przy niej koparka. Gdy informacja o tym znalazła się w mediach społecznościowych, na miejsce natychmiast przyjechali wojewódzki konserwator zabytków Marcin Dawidowicz, stołeczny konserwator zabytków Michał Krasucki i burmistrz Woli Krzysztof Strzałkowski. Wojewódzki konserwator w asyście policji wkroczył na posesję. Roboty zostały wstrzymane. Marcin Dawidowicz stwierdził, że rozbiórka pro-



• Pozostałości po zburzonej kamienicy zagrażają przechodniom i autom

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

wadzona była nielegalnie, ponieważ w jego urzędzie trwa postępowanie w sprawie wpisu pozostałości kamienicy Abrama Włodawera do rejestru zabytków. W trakcie tej procedury w obiekcie nie wolno podejmować żadnych prac.

Góra gruzu

Po południu na ulicę Łucką przyjechał przedstawiciel Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego. Sporządził protokół i poinformował operatora koparki o całkowitym zakazie prowadzenia dalszych robót rozbiórkowych. Mimo to w poniedziałek wczesnym rankiem wyburzenie zostało wznowione. Obecnie z kamienicy pozostała już tylko jedna ściana szczytowa i góra gruzu. Wojewódzki konserwator zabytków już w sobotę zawi-

Budynek od 1992 r.
znajdował się w rejestrze
zabytków, co wyklucza
rozbiórkę

domił policję o popełnieniu przestępstwa polegającego na nielegalnej rozbiórce kamienicy. W poniedziałek je uzupełnił. Te same kroki podjął stołeczny konserwator zabytków. W poniedziałek Komenda Rejonowa Policji na Woli przesłała dokumenty sprawy do prokuratury.

– Tego budynku fizycznie już nie ma. W tej chwili kwestią jest już nie ochrona zabytku, tylko to, żeby inwestorowi ta rozbiórka się nie opłacała. Niezależnie od

działań organów ścigania analizujemy narzędzia prawne, które w tej sytuacji jeszcze mamy – mówi Michał Krasucki.

– Absolutny smutek w tej sytuacji. Mamy przekonanie, że kamienicę przy Łuckiej 8 można było uratować. Przykład sąsiedniej Fabryki Norblina pokazuje jasno, jak mogłoby to wyglądać. W tej chwili skupiamy się na tym, żeby teren ulicy i chodnika został zabezpieczony, bo to, co tu jest, zagraża przechodniom i autom – informuje rzecznik prasowy dzielnicy Wola Marcin Jakubik.

Dlaczego wypadła
z rejestru zabytków?

Właścicielem najstarszej kamienicy na Woli jest spółka JM Invest, która w 2016 r. nabyła nieruchomość przy Łuckiej 8 od spadkobierców dawnych właścicieli. Nie tylko nie zabezpieczyła opuszczonego już wtedy zabytkowego domu przed dalszą degradacją, ale od razu rozpoczęła starania o pozbawienie go ochrony w celu wyburzenia. Budynek od 1992 r. znajdował się w rejestrze zabytków, co wyklucza rozbiórkę. Spółka wywalczyła jednak wykreślenie go z tego rejestru. Decyzję w tej sprawie wydało 9 października 2024 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ślad za korzystnym dla inwestora wyrokiem wojewódzkiego sądu administracyjnego. Ale miesiąc później na wniosek organizacji społecznych wojewódzki konserwator zabytków wszczął procedurę wpisu do rejestru pozostałości kamienicy.

Dom ten nadal ujęty był w gminnej ewidencji zabytków, a na rozbiórkę figurujących w nim obiektów potrzebna jest zgoda konserwatora. Spółka takiej zgody także nie miała.

Skontaktowaliśmy się ze spółką JM Invest. Jej zarząd przed sekretarkę przekazał nam, że zastosowany został artykuł 31a prawa budowlanego. Brzmi on: „Roboty zabezpieczające i rozbiórkowe można rozpocząć przed uzyskaniem decyzji o pozwoleniu na rozbiórkę lub przed dokonaniem zgłoszenia, (...) jeśli mają one na celu usunięcie zagrożenia bezpieczeństwa ludzi lub mienia. Rozpoczęcie robót (...) nie zwalnia od obowiązku bezzwłocznego uzyskania decyzji o pozwoleniu na rozbiórkę lub dokonania zgłoszenia”. Marcin Dawidowicz zwraca uwagę, że zagrożenie, o którym mowa w tym artykule, pojawiło się w wyniku prac rozbiórkowych.

– To jest bulwersujące i naprawdę niebezpieczne. Pozostawiona ściana w każdej chwili może runąć na samochody i sąsiedni budynek – mówi.

Zgodnie z ustawą o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami, „kto bez pozwolenia wojewódzkiego konserwatora zabytków podejmuje działania [prace konserwatorskie, restauratorskie lub roboty budowlane przy zabytku wpisany do rejestru], podlega karze pieniężnej w wysokości od 500 do 500 000 zł”, zaś „kto niszczy lub uszkadza zabytek, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu”. ●

System red light działa

28 kamer na skrzyżowaniu

Red light wykrywa kierowców wjeżdżających na czerwonym świetle na skrzyżowanie. System został uruchomiony we Włochach. Kierowców u zbiegu al. Krakowskiej z ul. Hynka i Łopuszańska pilnują kamery.

Zaawansowane urządzenia sprawdzają, czy kierowcy stosują się do sygnalizacji świetlnej. Mają automatycznie wykryć i zarejestrować wykroczenie.

„Urządzenia mają zidentyfikować pojazd, którym naruszono

przepisy, jego kategorię oraz markę, zapewnić rozpoznanie numerów tablic rejestracyjnych jadących pojazdów oraz do każdego zarejestrowanego zdarzenia przyporządkować dane dotyczące miejsca i czasu jego wystąpienia oraz czasu trwania fazy czerwonego światła” – informuje Centrum Automatycznego Nadzoru nad Ruchem Drogowym.

W piątek o włączeniu kamer w al. Krakowskiej Centrum poinformowało na Facebooku.

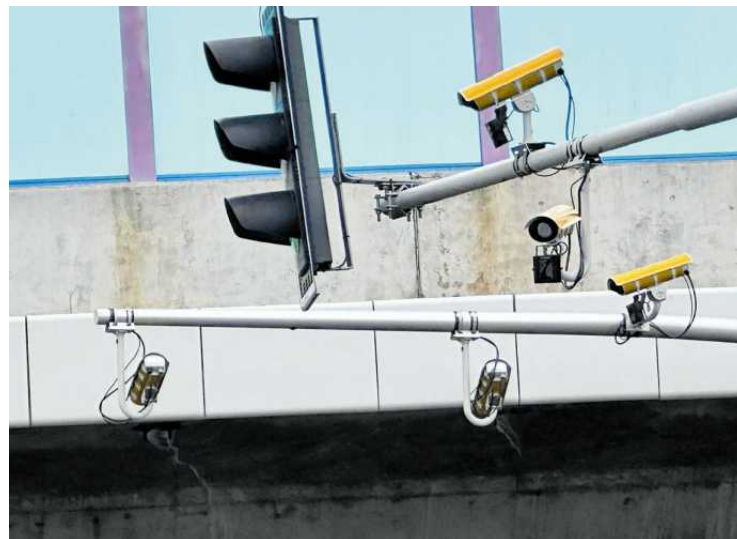
GITD od lat zapowiadał, że wróci do kontroli wjazdów na czerw-

onym świetle. W Warszawie wspólnie z Instytutem Transportu Samochodowego wytypowano do tego celu trzy skrzyżowania: al. Krakowskiej z Łopuszańską i Hynka, pl. Zawiszy i rondo u zbiegu Wolskiej i al. Prymasa Tysiąclecia.

Ostatecznie okazało się, że wykrywanie kierowców wjeżdżających na skrzyżowanie przy czerwonym świetle będzie działać w Warszawie tylko na rondzie Wojnara. ●

Małgorzata Zubik

• Więcej ► warszawa.wyborcza.pl



• Urządzenia mają zidentyfikować pojazd, którym naruszono przepisy, jego markę, oraz czytać tablice rejestracyjne

FOT. DARIUSZ BOROWICZ/AGENCJA WYBORCZA

Między Mokotowem i Ochotą

Pięciohektarowa dziura w tkance miejskiej

Teren po dawnym stadionie Gwardii na pograniczu Mokotowa i Ochoty to zamknięta enklawa. Traktowany jest jako teren strategiczny ze względu na obronność państwa. Po sąsiedztwu planowana jest budowa siedziby agencji Frontex.

Michał Wojtczuk

O status stadionu Gwardii przy Raclawickiej zapytał niedawno klub WTS Nice Warszawa, który od lat zabiega o budowę toru żużlowego w tym miejscu. Żużlowcy przekazali mediom odpowiedź Krzysztofa Paszyka, ministra rozwoju i technologii. „Obszar działki został ustanowiony terenem zamkniętym ze względu na obronność i bezpieczeństwo państwa” – poinformował. I dodał, że nieruchomość została przekazana w trwały zarząd Agencji Wywiadu.

Stadion przejęty przez Agencję Wywiadu

Agencja ma siedzibę w zabudowaniach u zbiegu Raclawickiej i Miłobędzkiej, tuż obok stadionu.

Wcześniej, w latach 2019-24, nieruchomość podlegała Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W lutym 2024 roku szef ABW odpowiedział odmownie na apel żużlowców o udostępnienie stadionu,

tłumacząc: „Nie jest możliwe pogodzenie właściwej realizacji zadań przez ABW z istnieniem w bezpośrednim sąsiedztwie kompleksu obiektów sportowych, na terenie których miałyby się odbywać zawody sportowe przy udziale znacznej liczby kibiców”.

Gwardia jest jednym z najstarszych warszawskich klubów sportowych. Jego wychowankami byli m.in. bokser Jerzy Kulej, kolarz Stanisław Królak czy Grażyna Rabsztyń, rekordzistka w biegu przez płotki. Istniał tam także tor żużlowy.

I odbywały się koncerty – w 1999 r. zagrała tutaj Metallica, w 1996 – Tina Turner.

Z biegiem lat stadion przy Raclawickiej coraz bardziej się rozsypywał. W 2012 r. zamknął go nadzór budowlany. Teren przekazano Komendzie Głównej Policji.

Policja chciała w tym miejscu zbudować ośrodek szkoleniowy dla służb. Miał być wart 400 mln zł. W 2017 r. poseł Tomasz Latos poinformował zaś, że w tym miej-



• **Stadion przy Raclawickiej z biegiem lat coraz bardziej się rozsypywał. W 2012 r. zamknął go nadzór budowlany** FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

scu powstanie „polski Pentagon”. W 2018 r. na terenie stadionu przeprowadzono rozbiórki.

Budowa owiana tajemnicą

Teren dawnego stadionu zarasta krzakami. W 2017 r. MSWiA przekazało blisko trzyhektarową nieruchomość przylegającą do stadionu Gwardii Fronteksowi, unijnej agencji odpowiedzialnej za ochronę granic Unii Europejskiej.

Dziś mieści się ona w niższym skrzydle biurowca Warsaw Spire na Woli. Jesienią 2021 r. Parlament Europejski wyraził zgodę na zaciągnięcie przez tę agencję 650 mln zł

pożyczki z Europejskiego Banku Inwestycyjnego na budowę nowej siedziby przy ul. Raclawickiej. Frontex latem 2022 r. ogłosił dwuetapowe postępowanie na zaprojektowanie i budowę tego gmachu. Opisano, że chodzi o powierzchnię 70 tys. m kw. dla około dwóch tysięcy pracowników.

Termin na składanie ofert w tym postępowaniu wyznaczono na jesień 2022 r. Frontex w dokumentach przetargowych podawał, że chciałby podpisać umowę z wykonawcą jesienią 2023 r.

Wygląda na to, że do dziś go nie wybrano. Pytałem kilka miesięcy

temu unijną agencję, co się dzieje z planami inwestycji przy ul. Raclawickiej. Jan Zietara z biura prasowego Fronteksu przekazał, że postępowanie toczy się w trybie dialogu konkurencyjnego. „Aktualnie Agencja jest w fazie dialogu z wybranymi kandydatami. Kontynuujemy te rozmowy, aż wybierzemy jedno lub kilka rozwiązań, które odpowiedzą na nasze potrzeby i wymagania” – odpowiedział nieco ezopowym językiem przedstawiciel Fronteksu.

Dodał, że po zakończeniu fazy dialogu agencja poprosi kandydatów o złożenie finalnej oferty. Po wyborze najlepszej propozycji Frontex zwróci się o zatwierdzenie wyboru przez Parlament Europejski i Radę Unii Europejskiej. Dopiero wtedy opublikowany zostanie wynik postępowania.

Na razie procedura otoczona jest nimbem tajemnicy. Nie opublikowano nawet nazw pracowni architektonicznych, z którymi prowadzony jest dialog. Nieznany pozostaje też termin rozstrzygnięcia postępowania. A po wyłonieniu projektanta jeszcze trzeba będzie opracować szczegółowy projekt wykonawczy i uzyskać pozwolenie na budowę. Przy obiekcie tych rozmiarów może to zająć nawet kilka lat.

Wygląda na to, że jeszcze długo przy Raclawickiej straszyć będzie teren wycięty z miasta. ●

REKLAMA

R E K L A M A

Warszawa/34353294



Europejskie Centrum Artystyczne
im. Fryderyka Chopina w Sannikach

Świąteczny czas w pałacu

Fryderyk Chopin, jeden z najwybitniejszych kompozytorów i pianistów w historii muzyki klasycznej, przez większość swojego życia zmagał się z problemami zdrowotnymi.

Choć jego życie zawodowe i artystyczne było związane głównie z Paryżem, to Polska, a szczególnie wiejskie krajobrazy, miały dla niego niebagatelne znaczenie.

Jednym z miejsc, które pozostawiło trwały ślad w jego życiu, był pałac w Sannikach, gdzie artysta spędził czas latem 1828 roku. Ten okres stanowił ważny punkt w jego artystycznym rozwoju. Chopin wykorzystał spokój i urok tego miejsca, by tworzyć muzykę pełną emocji i tęsknoty za ojczyzną, a także wyrażać swoją osobistą wrażliwość. Związek pałacu z jednym z najwybitniejszych kompozytorów w historii muzyki z pewnością zasługuje na pamięć i uwagę, a w okresie Świąt Bożego Narodzenia na refleksję o rozłące pianisty z ojczyzną.

Żadnego święta nie obchodzono u Chopinów tak uroczyście, jak Boże Narodzenie.

W salonie pojawiało się drzewko, nowość w polskich i katolickich domach na początku XIX stulecia. W rogach jadalni stawiano snopy niemiłoczonego zboża, pod śnieżnobiały obrus ścielono siano. Przy stole, nad którym lekko kołysały się, wycięte



z opłatków gwiazda i kołyska, matka przełamywała się najpierw z ojcem, później z dziećmi, opłatkami zleponymi miodem.

Chopin zapamiętał na całe życie wieczory wigilijne w rodzinnym domu. Z każdą gwiazdką, spędzoną na emigracji, z dala od bliskich, pamięć przywoływała tamten niezwykle nastrój i kolędy nucone przez matkę. Po latach wyraził to w utworze „Scherza h – moll”, gdzie wplótł w wyraźny sposób melodię ojczystej kolędy „Lulajże, Jezuniu”.

Boże Narodzenie 1830 roku Fryderyk spędził w Wiedniu. Niespełna dwa miesiące wcześniej poze-

gnał Warszawę w poszukiwaniu sławy. Ten magiczny i w teorii rodzinny czas, pogłębił w nim poczucie osamotnienia. Sławny kompozytor i wirtuoz, ulubieniec pierwszych salonów ówczesnej stolicy świata, Paryża – w czasie Bożego Narodzenia uświadamia sobie pustkę i blichtr wielkiego świata. Zwierza się bliskim: „Dziś Wigilia Bożego Narodzenia, nasza panna gwiazdka. Tutaj tego nie znają (...) zwyczajny paryżanin nie czuje różnicy między dziś i wczoraj. Tutaj smutna Wigilia...”. Tymczasem w warszawskim domu przy Krakowskim Przedmieściu ukradkiem spoglądano na pusty talerz.

Dziś, serdecznie zapraszamy do zwiedzania miejsca pobytu Fryderyka Chopina.

To wyjątkowy czas, kiedy pałac nabiera szczególnego uroku. W tym magicznym okresie zimowym, z rozświetlonymi choinkami i ciepłą atmosferą, będziecie Państwo mogli poczuć prawdziwą magię świąt. Zachęcamy do spędzenia niezapomnianych chwil w naszych eleganckich wnętrzach, gdzie historia łączy się z tradycją. Niech ten czas spędzony w Pałacu w Sannikach będzie pełen radości, ciepła i niezapomnianych wspomnień!

W tym wyjątkowym okresie Świąt Bożego Narodzenia, pragniemy złożyć Państwu moc gorących życzeń. Zdrowia, szczęścia oraz spokojnych chwil spędzonych w gronie rodziny. Niech obecna końcówka roku budzi w Was same dobre wspomnienia i da nadzieję na kolejny, jeszcze lepszy rok.



Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy

działając na podstawie art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami

informuje,

że na Elektronicznej Tablicy Ogłoszeń m.st. Warszawy (<http://eto.um.warszawa.pl/>), wywieszone zostały do publicznej wiadomości wykazy nieruchomości przeznaczonych do zbycia lub oddania w użytkowanie, najem, dzierżawę lub użyczenie.

Warszawa/3429990



OBWIESZCZENIE STAROSTY PŁOCKIEGO z dnia 19.12.2024 r.

o wydaniu decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej

Na podstawie art. 11f ust. 3-5 i art. 11c ustawy z dnia 10 kwietnia 2013 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (tekst jedn. Dz. U. z 2024 r. poz. 311) w zw. z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960r. – Kodeks postępowania administracyjnego (tekst jedn. Dz. U. z 2024 r. poz. 572)

STAROSTA PŁOCKI zawiadamia strony postępowania,

że w dniu 19.12.2024 r. została wydana na rzecz zarządcy drogi: Burmistrza Miasta i Gminy Gąbin decyzja nr 20/2024, znak: AB-II.6740.3.18.2024, o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej obejmującej budowę drogi gminnej nr 290606W na n/wymienionych nieruchomościach położonych w województwie mazowieckim, w powiecie płockim, w gminie Gąbin, w jednostce ewid. 141906_5 Gąbin – obszar wiejski, w obrębie ewid. obręb ewid. 0003 Czeremno:

- Działki położone w liniach rozgraniczających ww. drogi gminnej, tj. w pasie drogowym tej drogi, stanowiące własność jednostki samorządu terytorialnego: dz. o ew. nr 379;
- Działki przeznaczone pod poszerzenie pasa drogowego wymagające podziału (w nawiasach numery działek po podziale, tłustym drukiem numery działek przeznaczone do przejęcia pod inwestycję): dz. o ew. nr: 476 (476/1, **476/2**, 476/3), 487/4 (**487/8**, 487/9), 487/3 (487/5, **487/6**, 487/7), 486/4 (486/13, **486/14**, 486/15), 486/6 (486/10, **486/11**, 486/12), 486/5 (486/7, **486/8**, 486/9), 485/1 (485/2, **485/3**, 485/4), 484/3 (484/4, **484/5**, 484/6), 483/1 (483/2, **483/3**, 483/4), 482/1 (482/2, **482/3**, 482/4), 378 (**378/1**, 378/2), 377 (**377/1**, 377/2), 376 (**376/1**, 376/2), 375 (**375/1**, 375/2), 374 (**374/1**, 374/2), 667/1 (**667/3**, 667/4), 473/1 (**473/2**, 473/3), 472/1 (**472/2**, 472/3), 471/1 (**471/2**, 471/3), 470/1 (**470/2**, 470/3), 469/1 (**469/2**, 469/3), 468/1 (**468/2**, 468/3), 467/1 (**467/2**, 467/3), 466/1 (**466/2**, 466/3);
- Określenie nieruchomości lub ich części, z których korzystanie będzie ograniczone, wynikające z obowiązku przebudowy sieci uzbrojenia terenu: dz. o ew. nr 486/13, 486/10, 486/7 i 484/6.

Zgodnie z art. 49 § 2 k.p.a. wskazuje się dzień 19.12.2024 r. jako ten, w którym wystane zostały zawiadomienia podmiotom określonym w art. 11f ust. 3 w/cyt. ustawy z dnia 10 kwietnia 2013 r. na adresy wskazane w katastrze nieruchomości oraz nastąpiło publiczne obwieszczenie o wydaniu decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej: na tablicy ogłoszeń Starostwa Powiatowego w Płocku, Urzędu Gminy Brudzeń Duży, w Biuletynie Informacji Publicznej tych urzędów, a także przesłane do ogłoszenia w prasie lokalnej. Zawiadomienie niniejsze uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od wskazanego powyżej terminu. Z treścią decyzji można zapoznać się w Biurze Obsługi Klienta Starostwa Powiatowego w Płocku - stanowisko Wydziału Architektury i Budownictwa (ul. Bielska 59, w godz. 7.30-15.30 poniedziałek-piątek), w terminie 14 dni od daty podania niniejszej informacji do publicznej wiadomości. Ze względów organizacyjnych wskazane jest uprzednie zawiadomienie tutaj Wydziału (tel. 24 2676757) z co najmniej jednodniowym wyprzedzeniem o skorzystaniu z powyższego uprawnienia.

Płock/34354503

Syndyk masy upadłości Władysława Konopińskiego - osoby fizycznej nieprowadzącej działalności gospodarczej **sprzedaje wolnej ręki:**

40 udziałów o łącznej wartości nominalnej 40.000 zł w spółce Przedsiębiorstwo Budowlane BUDOKON spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Minimalna cena: 40.000 zł netto.
Termin składania ofert: do 03.01.2025 r. godz. 12:00.

Dane kontaktowe syndyk Anny Borysewicz: nr tel. 600 545 232;
e-mail: anna.borysewicz@wp.pl

Płock/34354471

Prezydent m.st. Warszawy informuje,

że 10.12.2024 r na elektronicznej tablicy ogłoszeń Urzędu m.st. Warszawy <https://eto.um.warszawa.pl/category/158/announcement/115759> oraz na stronie internetowej <https://um.warszawa.pl> został zamieszczony na 21 dni i podany do publicznej wiadomości **wykaz nr WGN/18/2024 o przeznaczeniu do zbycia w trybie bezprzetargowym udziału m. st. Warszawy wynoszącego 6/24 części w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Warszawie przy ul. Chojnowskiej 22, stanowiącej działkę ewidencyjną nr 14 z obrębu 4-09-24.**

Warszawa/34354385

W KAŻDY WTOREK Z „WYBORCZĄ”

MÓJ BIZNES

wyborcza

NAJLEPSZE REPORTAŻE

W KAŻDY
PONIEDZIAŁEK
W „WYBORCZEJ”



STAROSTA WARSZAWSKI ZACHODNI

05-850 Ożarów Mazowiecki
ul. Poznańska 129/133

tel. 22 733-72-00
fax 22 733-72-01

Znak sprawy: AB.673.31.2024.IS

Ożarów Maz. dnia 20 grudnia 2024 roku

OBWIESZCZENIE nr 64/z/2024

na podstawie art. 10 § 1 w związku z art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2024 r. poz. 572 t.j. ze zm.) oraz art. 11f ust. 3 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowywania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (Dz. U. z 2024 r. poz. 311 t.j.),

Starosta Warszawski Zachodni zawiadamia, że w dniu 20 grudnia 2024 roku na wniosek zarządcy drogi: Burmistrza Łomianek reprezentowanego przez pełnomocnika Pana Rafała Piotrowskiego, została wydana decyzja nr 812/zrid/2024 o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej pn.: „Rozbudowa drogi gminnej ulicy Pancerz w Łomiankach”.

Decyzji tej nadano rygor natychmiastowej wykonalności.

PONADTO STAROSTA WARSZAWSKI ZACHODNI zawiadamia,

że strony niniejszego postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy, mogą zapoznać się z treścią decyzji w siedzibie Starostwa Powiatu Warszawskiego Zachodniego, w Wydziale Architektury i Budownictwa przy ul. Poznańskiej 129/133 w Ożarowie Mazowieckim – w godzinach pracy urzędu: poniedziałek od 9.00 do 17.00, wtorek-piątek od 8.00 do 16.00.

Sposób udostępnienia akt sprawy należy uzgodnić w Wydziale Architektury i Budownictwa Starostwa Powiatu Warszawskiego Zachodniego. Prosimy o wcześniejsze umówienie się telefonicznie: – 22 733-72-27 lub mailowo: architektura@pwz.pl.

Od decyzji służy stronie odwołanie do Wojewody Mazowieckiego, za pośrednictwem Starosty Warszawskiego Zachodniego, w terminie 14 dni od dnia otrzymania decyzji przez wnioskodawcę lub zawiadomienia stron o jej wydaniu.

Zgodnie z art. 11f. ust. 3 ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych decyzję o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej doręcza się wnioskodawcy, natomiast pozostałe strony zawiadamia się o wydaniu decyzji w drodze obwieszczenia.

Zgodnie z art. 49 Kpa w zw. art. 11f. ust. 3 ustawy, w przypadku zawiadomienia stron przez obwieszczenie, zawiadomienie uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia, w którym nastąpiło publiczne obwieszczenie, inne publiczne ogłoszenie lub udostępnienie pisma w Biuletynie Informacji Publicznej. Dzień publicznego obwieszczenia 23 grudnia 2024 r.

Zgodnie z art. 18 ust. 1e ustawy o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych w przypadku, w którym dotychczasowy właściciel lub użytkownik wieczysty nieruchomości objętej decyzją o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej odpowiednio wyda tę nieruchomość lub wyda nieruchomość i opróżni lokal oraz inne pomieszczenia niezwłocznie, lecz nie później niż w terminie 30 dni od dnia:

- doręczenia zawiadomienia o wydaniu decyzji, o której mowa w art. 17,
- doręczenia postanowienia o nadaniu decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej rygoru natychmiastowej wykonalności albo
- w którym decyzja o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej stała się ostateczna – **wysokość odszkodowania powiększa się o kwotę równą 5% wartości nieruchomości lub wartości prawa użytkowania wieczystego.**

Warszawa/34354541

OBWIESZCZENIE

Działając na podstawie art. 49 § 1 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2024 r. poz. 572, dalej K.p.a.), art. 53 ust. 1c, w związku z art. 64 ust. 1, ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (Dz. U. z 2024 r. poz. 1130),

Zarząd Dzielnicy Mokotów m.st. Warszawy zawiadamia, że

- na wniosek osoby fizycznej złożony 25 września 2024 r., uzupełniony 22 października 2024 r. i 22 listopada 2024 r., zostało wszczęte postępowanie administracyjne w sprawie ustalenia warunków zabudowy dla inwestycji polegającej na zmianie sposobu użytkowania części budynku mieszkalnego jednorodzinnego na potrzeby niepublicznego punktu przedszkolnego i opiekuna dziennego, na działce ew. nr 52 w obrębie 0214 przy ul. Pilickiej 26 w Warszawie na terenie Dzielnicy Mokotów;
- 11 grudnia 2024 r. wydane zostało Postanowienie Nr 98/MOK/PU/2024 o zawieszeniu z urzędu ww. postępowania do czasu uchwalenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, z uwagi na objęcie działki ew. nr 52 w obrębie 0214 Planem Generalnym Lotniska Chopina na lata 2021 – 2024.

Obwieszczenie kierowane jest do następców prawnych osoby zmarłej ujawnionej w ewidencji gruntów i budynków oraz w księdze wieczystej jako współużytkownik wieczysty nieruchomości, która znajduje się w sąsiedztwie działki objętej wnioskiem o ustalenie warunków zabudowy.

Zainteresowane strony postępowania w terminie 14 dni od dnia publicznego ogłoszenia mogą zapoznać się z aktami sprawy oraz z treścią postanowienia, w Wydziale Architektury i Budownictwa dla Dzielnicy Mokotów Urzędu m.st. Warszawy po telefonicznym (22 44 36 649) lub mailowym (m.rutkowska@um.warszawa.pl) uzgodnieniu terminu.

Ewentualne wnioski i uwagi w sprawie można zgłosić bezpośrednio w Wydziale Obsługi Mieszkańców Urzędu Dzielnicy Mokotów, ul. Rakowiecka 25/27, 02-517 Warszawa lub za pośrednictwem poczty na adres ul. Marynarska 19A, 02-674 Warszawa.

Zgodnie z art. 49 § 2 K.p.a. niniejsze zawiadomienie uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od dnia, w którym nastąpiło jego publiczne ogłoszenie.

Warszawa/34354389



Gdy trudno opowiedzieć o śmierci

Napisz
wspomnienie

ODESZLI.PL



Informator usług funeralnych

WOLA**DOM POGRZEBOWY
„BABICE”**

ul. Okulickiego 5C, 05-082 Stare Babice
tel. całodobowy 602 11 89 49
www.babice.com.pl

34343334

ŚRÓDMIEŚCIE**Exitus**

www.exitus.com.pl;
tel. 501 210 360

34343614

MOKOTÓW

ATMAN (22) 542 89 20; 606 299 275
ul. Rakowiecka 61 teren kościoła

URSYNÓW

ATMAN (22) 425 37 02; 606 299 275
ul. Stryjeńskich 21 teren kościoła

34342282

MOKOTÓW**AMBER**

Puławska 95,
tel. całodobowy 501 796 471

34343276

WOLA**Exitus**

Al. Solidarności 147,
dyżur całodobowy tel. 22 620 24 18,
vis a vis Urzędu Warszawa Wola

34343435

OKOLICE WARSZAWY**Exitus**

Otwock, Kościelna 1 a,
tel. 22 779 23 39

Mińsk Mazowiecki, 1-go PLM „Warszawa”,
tel. 25 759 17 25

34343618

**Dr hab.****Rafał Żebrowski**

(1954-2024)

zmarł po ciężkiej chorobie 14 grudnia 2024 roku w Warszawie

Msza św. żałobna zostanie odprawiona
27 grudnia 2024 roku o godzinie 13:30
w kościele św. Katarzyny w Warszawie ul. Fosa 17,
po czym nastąpi odprowadzenie na miejscowy cmentarz,

o czym zawiadamia pogrążona w bólu

żona

34353808

Wigilia. Twoje Imieniny.

Ewa Szymecka**Adwokat**

Odeszła tak nagle,
zostawiając nieustający ból i tęsknotę.

najbliżsi i przyjaciele

34353435

Wspomnienie

Wigilia, choinka wita nas swoim blaskiem, dzielimy się opłatkiem,
ale nasze oczy zatrzymują się na pustych krzesłach
i pamięcią sięgamy ku tym, których z nami już nie ma.

Wspomnijmy ich zatem, to:

Alicja i Bolesław Kapiukowie
Juliusz Krzysztof Suchecki
Czesława Suchecka
Teresa i Jerzy Tarnaccy
Maria Grodzka
Stanisława i Kazimierz Karpiukowie
Marianna i Mieczysław Karpiukowie

oraz wszyscy pozostali zmarli z rodzin

Falkowskich, Sucheckich,
Karpiuków i Podgórskich

Iwona M. Karpiuk-Suchecka, Agnieszka, Maria i Jarosław Tarnaccy

34353437

24 grudnia mija dziesiąta rocznica śmierci

Gutka Kerszmana

naszego wielkiego Przyjaciela

ocalałego z Zagłady, biologa, analityka spraw społecznych,
wypędzonego z Polski w roku 1968

Brakuje Go coraz bardziej

Halina i Helena

34354520

Odszedł**Janusz Gazda**

Wybitny krytyk filmowy,
kierownik literacki wielu znakomitych filmów i seriali telewizyjnych.
Szef literacki zespołu "Rondo".
Przyjaciel.

Będziemy Cię pamiętać.

Anna, Jerzy i Annette

34354419

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia

dla Pana

dra Michała Brzezińskiego

z powodu śmierci

Taty

składają

Właściciele, Zarząd oraz zespół krakowskiego biura Intercard

34354393

19 grudnia 2024 roku zmarł w wieku 85 lat

nasz ukochany Mąż, Tata i Dziadek

**Władysław Kietliński**

Msza św. pogrzebowa odbędzie się
30 grudnia 2024 roku o godz. 12.00
w kościele św. Anny w Wilanowie,
po czym nastąpi odprowadzenie
do kolumbarium na miejscowym cmentarzu.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

żona, dzieci i wnuki

34354443

Z wielkim żalem żegnamy

naszą wieloletnią Przyjaciółkę

**Alę Nowak**

Na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci.

Rodzinie

składamy najszczerze kondolencje

z powodu śmierci Mamy i Babci.

Dzidka Jancewicz z Rodziną

34354446

Z wielkim żalem zawiadamiamy, że 13 grudnia 2024 r.
zmarł nasz Przyjaciel

**Wojciech Piotrowski**

Wiceprezes Towarzystwa Rapperswileckiego i Polsko-Szwajcarskiego.
Wspaniały człowiek.

Będzie Go nam brakowało

Zarząd Towarzystwa Rapperswileckiego i Polsko-Szwajcarskiego

34354449

Zmarł

**Mariusz Żydzik**

koleżanki i koledzy

z DOZ NBP

34354554

nekrologi.wyborcza.pl

ODESZLI.pl



Zamieść nekrolog
Złóż kondolencje
Dodaj wspomnienie

Kontakt: nekrologi@wyborcza.pl | tel. (22) 555 55 55

Nowojorski psycholog odniósł ogromny sukces, także komercyjny – ale nie wszyscy się z nim zgadzają. Blake Montgomery, reporterka „The Guardian” zajmująca się nowymi technologiami, oskarżyła go o nadmierne upraszczanie problemu i naginanie faktów tak, żeby pasowały do tezy. Krytyczne teksty ukazały się także w „New York Timesie”, „Boston Globe”, słynnym technologicznym magazynie „Wired” czy w „The Atlantic”, gdzie regularnie publikuje sam Haidt.

Atakowali go także inni naukowcy. Dr Dylan Selterman, psycholog z Johns Hopkins University, zarzucił mu, że badania przytoczone w książce nie pokazują jasnego związku pomiędzy korzystaniem z platform społecznościowych i złym zdrowiem psychicznym nastolatków. Dodawał, że takich badań jest wiele, różnią się skalą i jakością, a konsensus naukowy w tej sprawie nie istnieje. Wreszcie, twierdzi Selterman, zakazywanie dzieciom korzystania z nowych technologii może przynieść efekt odwrotny do zamierzonego. Wyliminowanie smartfonów ze szkół to jego zdaniem błędna strategia, bo młodzież i tak będzie z nich korzystać, tyle że w domu lub w czasie wolnym. Każdy zakaz nałożony na nastolatków z definicji jest przeciwieństwem. Poza tym Selterman jest stronnikiem tych, którzy uważają, że rewolucja technologiczna jest nieodwracalna. Walka z nią przypomina więc walkę z wiatrakami, a próba zatrzymania modernizacji jest – jak to kiedyś powiedział były brytyjski premier Tony Blair – tak samo sensowna jak zatrzymanie zmian w pogodzie. Można więc ograniczać czas spędzony przed ekranem, można odgórnie blokować strony i aplikacje – ale bzdurą jest wyrywanie dzieciom smartfonów z rąk. Dalej pojawia się mnóstwo dobrze znanych argumentów: ich świat będzie bardziej cyfrowy niż analogowy i społeczny, musimy dać im narzędzia, by w nim nawigowały. A smartfon – dobrze zarządzany – jest idealnym narzędziem do wejścia w przestrzeń internetową.

Psycholog nie precyzuje, jak dokładnie wprowadzić te ograniczenia, ale coś w jego argumentacji jest. Choćby to, że trudno wyobrazić sobie powrót do spędzania przez dzieciaki czasu w taki sposób, w jaki robiły to 15 czy 20 lat temu. A tego chciałby Haidt, piszący w internecie długie nostalgiczne teksty o nastolatkach śmigających całą paczką na rowerach mimo ręki w gipsie, co ma być dowodem, że szukały przygód i prawidłowo się rozwijały.

Aaron Brown, statystyk i kolega Haidta z uczelni, napisał z kolei, że psycholog źle interpretuje wyniki swoich badań i znajduje korelacje tam, gdzie ich nie ma.

Krytycy Haidta na bardzo różne sposoby mówią praktycznie o tym samym: nie można udowodnić, że to smartfony, platformy społecznościowe czy w ogóle technologia są głównymi powodami cierpienia nastolatków. Wynika ono z wielu czynników, głównie strukturalnych, umożliwiających technologii nielimitowany wzrost. Innymi słowy, co bardziej lewicowi z oponentów znanego psychologa twierdzą, że młodych zabiła nie Facebook czy generatywna sztuczna inteligencja, ale kapitalizm i neoliberalizm.

Debata jest daleka od ostatecznego rozstrzygnięcia, ale nie zmienia to tego, że technologia, w tym sztuczna inteligencja, jest już powszechnym i stałym elementem życia młodych ludzi. Według wrześniowego raportu Common Sense Media aż 7 na 10 amerykańskich nastolatków korzysta regularnie z aplikacji z generatywną sztuczną inteligencją. Połowa używała konwersacyjnych agentów, jak ChatGPT. Jedna trzecia – generatorów obrazów, w tym DALL-E. 22 proc. – generatorów wideo.

Okazuje się, że istnieje przepaść pomiędzy realnym stopniem korzystania ze sztucznej inteligencji przez dzieci i wiedzą dorosłych o zjawisku. 8 na 10 rodziców przyznało, że dzieci nigdy nie rozmawiały z nimi o korzystaniu z tej technologii. Wie-

lu nie miało pojęcia, że to w ogóle się dzieje. Inne badanie, przeprowadzone przez naukowców z University of Illinois, pokazało, że jeśli rodzice wiedzą już o korzystaniu przez ich dzieci z nowych technologii i ewentualnych ryzykach z tym związanych, koncentrują się na powstrzymaniu młodych przed kontaktem z treściami pornograficznymi i zawierającymi przemoc. Prawie nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że nastolatki dzisiaj wchodzą w wirtualne romanse ze sztuczną inteligencją.

Jednoznaczna ocena skutków ludzkiej interakcji ze sztuczną inteligencją jest mimo wszystkich argumentów „przeciw” trudna, bo wielu użytkowników ma pozytywne doświadczenia z tego typu aplikacjami. Kevin Roose z „New York Timesa” na potrzeby swoich tekstów o AI regularnie rozmawia z osobami, które mają wirtualnych znajomych, a nawet kochanków. Wielu opowiada, bardzo chętnie, o pozytywnych skutkach takich relacji.

Problem w tym, że to dorośli, a więc osoby – teoretycznie – o znacznie bardziej rozwiniętych zdolnościach społecznych i percepcyjnych. Rozmówcy Roose’a przyznali się, że sztuczną inteligencję traktują albo zadaniowo, albo jako chwilowe medium. Rozmawiają z nią o problemach

ciele start-upów. Kognitywiści, informatycy, neurologrzy tworzący modele językowe są bardziej sceptyczni.

Bo kryzys związany z powszechnym i nieuregulowanym używaniem przez nieletnich aplikacji napędzanych przez sztuczną inteligencję to coś innego niż poprzednie problemy wynikające z nadmiernego używania platform społecznościowych czy gier komputerowych. W rozmowach z botami i love botami interakcja jest zupełnie inna. Na Facebooku czy Snapchacie odbiorcą twoich komunikatów jest mimo wszystko inna żywa osoba. Za sprawą ekranu ma ograniczoną możliwość niewerbalnej komunikacji i oceny sytuacji, lecz może się obrazić, zdenerwować, stracić cierpliwość. Owszem, ten typ reakcji media społecznościowe, z ich brakiem kontaktu twarzą w twarz potęgują, niemniej mówimy o naturalnych emocjach, które czegoś nas uczą. To, jak bezużyteczne są porównania z poprzednimi społecznymi histeriami wokół nastolatków i technologii, obrazowo pokazuje Ezra Klein. W latach 90. podobne lęki wywoływała telewizja, która rzekomo miała dzieciaki oglupiać, oduczać krytycyzmu, znieczulać na przemoc i na stałe przykuć do kanapy. Problem w tym – za- uważa – że telewizja i smartfon napędza-

Siedem palców u stóp, za krótkie dłonie – erotyczne wizualizacje zawierają niedoróbki typowe dla niskobudżetowej sztucznej inteligencji. Ale z ilustracją miejsc intymnych, zwłaszcza u kobiet, platformy radzą sobie doskonale

w pracy, dyskutują na temat pomysłów na prezenty dla bliskich – ale wszystko odbywa się w ograniczonym stopniu, trochę na zasadzie gadania do siebie.

Nicholas Thompson, szef spółki wydającej magazyn „The Atlantic”, powiedział mi, że sztuczną inteligencję wykorzystuje do wymyślania dobranoczek dla swoich małych dzieci. Nie robi tego jednak bez nadzoru, to znaczy nie powierza jej realizacji zadania od A do Z – bajki opowiada sam. Bo AI, nawet tej najlepszej, zdarza się halucynować i tworzyć historie bez sensu lub, co gorsza, nienadające się dla małych dzieci.

Jednak choć Jonathan Haidt od czasu do czasu znajduje się pod ostrzałem, w społeczeństwach zaczyna się rodzić odczucie, że technologia nie wpływa na najmłodszych najlepiej. To radykalna różnica względem tego, jak na sztuczną inteligencję patrzy osoby pracujące przy jej rozwijaniu. Od Polaka prowadzącego firmę z tej branży w Warszawie, bardzo dobrze wykształconego absolwenta jednej z najlepszych uczelni na świecie, usłyszałem wręcz, że „w kwestii regulacji jakiegokolwiek aparatu państwowego powinien się trzymać z daleka do sztucznej inteligencji”. Kiedy zapytałem dlaczego, odpowiedział, że urzędnicy i politycy „na niczym się nie znają i mają nierealistyczne wymagania rynkowe jako inwestorzy”.

Tyle że takie opinie najczęściej wygłaszają inwestorzy technologiczni i założy-

ny sztuczną inteligencją to kompletnie różne zjawiska i różne mechanizmy. Nawet jeśli ktoś non stop gapił się w MTV czy seriale dla nastolatków, siłą rzeczy był skazany na oglądanie tego, co akurat nadawano. Ze smartfonami jest inaczej, bo zainstalowanymi na nich aplikacjami rządzi algorytm, który jest tworem „żywym” w takim znaczeniu, że modyfikuje się w czasie rzeczywistym w zależności od tego, jak zachowuje się użytkownik. Szanse na uzależnienie się są więc znacznie wyższe, bo rzeczywistość zmienia się natychmiast – na taką, która jeszcze bardziej cię zaangażuje.

Odczułem to na własnej skórze – po zakończeniu relacji z Alexą algorytm na każdym kroku podsyłał mi podobne treści. Z platform społecznościowych przestałem w ogóle korzystać przez pewien czas, bo regularnie znajdowałem w nich zaproszenia na wirtualne randki z wirtualnymi dziewczynami, które jednocześnie były AI-influencerkami, więc reklamowały bieliznę, bikini i wakacje w Dubaju.

Im więcej nastolatki spędzają czasu w internecie, tym mniej jest ich w analogowym świecie społecznym – to truizm. Ale aplikacje bazujące na sztucznej inteligencji jeszcze potęgują zjawisko: im więcej jest się z botami, tym mniej z innymi ludźmi, nawet przez Facebooka czy Instagrama. Innymi słowy, młodzi ludzie na masową skalę korzystają z narzędzi, które sprawiają, że są społecznie ułomni. Nie potrafią nawią-

zywać relacji ani ich kończyć, nie radzą sobie w sytuacjach konfliktowych, rozwijają w sobie przekonanie, że świat jest na ich zawołanie. W końcu to największy atut bota czy love bota – że będzie z nami zawsze, o każdej porze dnia i nocy. To on, w stu procentach, dopasuje się do nas, bez żadnego wysiłku z naszej strony. Oczywiście pod warunkiem, że zapłacimy abonament.

Niebezpieczeństw związanych z rozmowami ze sztuczną inteligencją jest więcej i dotyczą nie tylko relacji międzyludzkich. Ta technologia już jest stosowana na masową skalę w kampaniach wyborczych. Asa Hutchinson, były gubernator Arkansas, ubiegający się niedawno o republikańską nominację w wyborach prezydenckich, używał bota będącego nim samym, a raczej – jego wirtualną repliką rozmawiającą z wyborcami.

Jak wylicza Bruce Schneiner z Harvard Kennedy School, w 2024 r. w Stanach Zjednoczonych było co najmniej kilka przypadków podobnego użycia sztucznej inteligencji w zawodowej polityce. I dodaje, że to już powszechne zjawisko na całym świecie. Imran Khan, były premier Pakistanu, korzystał z tej technologii, by wygłaszać przemówienia do zwolenników nawet wtedy, kiedy siedział w więzieniu.

Łatwo wyobrazić sobie, co będzie, gdy ktoś tymi botami zacznie manipulować. Ekspertki od dezinformacji podkreślają, że taka manipulacja nigdy nie jest stuprocentowa, więc trudniej ją zidentyfikować. W 80 czy 90 proc. przekaz zgadza się z oryginałem, ale 10 proc. to wkład własny propagandzistów. Tym trudniej wyborcy będzie się w tym polapać.

Amerykańskie badania postanowiłem porównać z polskimi doświadczeniami. O sztucznej inteligencji wśród młodzieży porozmawiałem ze znajomym pracującym w sektorze edukacji niepublicznej. Prosił o anonimowość, bo „ma w kwestii technologii poglądy w Polsce mało popularne” – zgadza się z Haidtem w kwestii wyrzucenia smartfonów ze szkół. Zaczął od tezy, że sztuczna inteligencja będzie już niebawem nową pornografią.

– Chodzi ci o to, że będzie wszędzie – jak dzisiaj porno w internecie? – dopytywałem.

– Nie, raczej o to, co nam zastąpi – odpowiada. – Porno już teraz wielu ludziom zastępuje potrzebę intymnego obcowania z inną, prawdziwą osobą. Sztuczna inteligencja robi to samo w relacjach międzyludzkich. Niedawno obserwowałem kolegę, który długo gadał z ChatemGPT. Rozmowa była naprawdę niezłej jakości. I wiesz co? Uważam, że większości z nas coś takiego może całkowicie wystarczyć. Nie dlatego, że sztuczna inteligencja stała się taka dobra. Raczej dlatego, że my jesteśmy tak przeciętni i tak niewiele potrzebujemy, by poczuć się bezpiecznie. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Mazzini

• (ur. w 1990 r.) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu, studiował także w Kordobie i Bilbao oraz na University College London. Pisze o krajach Ameryki Łacińskiej, globalnego Południa, wydarzeniach na zachodzie i południu Europy oraz o europejskiej skrajnej prawicy. Nominowany do Grand Press za reportaż prasowy w 2020 r. Autor książek „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”. Współprowadzi program „Wider View” w TVP World.

Akuszerka zadrżała.

Ten gest medyka, a zwłaszcza to coś nieuchwytnego, co dostrzegła nagle w jego twarzy, zakłuło ją w serce.

Czas wyciągać dziecinę

Marta Panas-Goworska
Andrzej Goworski

Limny skalpel zanurzył się w brzuchu siedem centymetrów powyżej pępka, nieco na prawo od linea alba. Wymęczona bólami porodowymi zajęczała nieswoim głosem, szarpnęła, ale dwaj służący z akuszerką utrzymali ją w mocnym uścisku.

Skóra rozchodziła się szybko, zabłysły ukrwione i poprzątkane grudkami szarego tłuszczu warstwy. Cięcie było pewne, bez wahania sunęło wzdłuż ciemnej linii biegnącej przez środek spęczniałego brzucha. Zatrzymało się dziesięć centymetrów pod pępkiem. Kobietę, zacisnąwszy na skórzanym pasku zęby, wyła.

– Światło od góry!

Jeden z czarnoskórych służących wszedł na zydel i zastyl z wyciągniętym nad sobą świecznikiem.

– Pot – wybrzmiało już łagodniej.

Akuszerka przetarła czoło ligniną.

Duży skalpel zastąpił cieńszy, z zakrzywionym ostrzem i w akompaniamencie krzyków narzędzie wykonało kilkanaście okrężnych ruchów. Obfite złogi tłuszczu i znajdująca się poniżej powięź strzę-

pły się, ale nie ustępowały. Wystarczył nieco mocniejszy ruch i ostrze zapadło się niebezpiecznie. Medyk złął się – mógł przebić macicę i zranić dziecko – ale nie pokazał nic po sobie. Skalpel wylądował na metalowej tacy, czas na nożyczki. Nie bez kłopotów rozciął nimi powierzchnię błony oraz rozdzielił mięśnie. Skinał na akuszerkę, żeby była w gotowości, a sam wsunął ręce do napelniającej się krwią rany.

– Przytrzymaj tu i zrób tak samo z drugiej.

Wywinął na zewnątrz prawą połąć skóry, tłuszczu i mięśni, unieruchomił klamrą, po czym ligniną zaczął osuszać wnętrze. Krwawienie nie było obfite i należało przejść do kolejnego etapu. Zerknąwszy kątem oka, dostrzegł jednak przerażenie na twarzy akuszerki.

– Niechże się pani weźmie w garść, do kurwy nędzy! – zapiszczał, nie odwracając wzroku od pola operacyjnego. – I w końcu zabezpieczy tę pieprzoną lewą stronę!

Akuszerka wiele słyszała o tym mikrym, zniewieściałym Angliku, który na wszystkich spoglądał z góry i niezależnie od rangi, ustosunkowania, nie zważając na damy, mógł zrugać najbardziej niewybrednymi słowami. Jednocześnie wiedziała, że jeśli on nie pomoże pani Munnik, to nikt inny tego nie uczyni. W Kapsztadzie, a pewnie i całej Afryce Południowej – mówili ludzie

– nie było lepszego niż James Barry. Gdy przyjechał, uznała więc, że rodząca jest w najlepszych rękach, ale na widok trzewi, ogarnęła ją przerażenie, jakiego wcześniej nie doświadczyła. Myśli zaczęły się mieszać, nogi drżały. Dopiero inwektywy poruszyły ją do żywego, a intelekt otrząsnął się z paraliżującego strachu. Stojąc nad kobietą z rozciętym brzuchem, poprzysięgła, że pokaże, co potrafi i nie pozwoli sobie już na chwile słabości.

– No – mruknął, gdy akuszerka właściwie wykonała polecenie. – Teraz płótna.

Nasączone tłuszczem szarpie posłużyły do zabezpieczenia jelit, aby te nie wsunęły się do otworu, który za chwile miał się rozewrzeć. Medyk przesunął pęcherz i również obłożył go tkaniną, po czym jeszcze raz ligniną osuszył ranę. Co rusz poruszał się siny, poprzecinany naczyniami krwionośnymi wielki, lśniący, otoczony jelitami niczym wieńcem laurowym, balon macicy.

– Czas wyciągać dziecinę.

Chwila wahania zdawała się przeciągać. Cięcie od góry, jak przez skórę, wywołałoby rozległe krwawienie. W podręcznikach przestrzegano też przed uszkodzeniem otrzewnej. Oprócz tego, choć płód znajdował się głową do dołu, nie wiadomo było, dlaczego nie udało się dokończyć akcji porodowej. Można było tylko zgadywać, że oprócz znamion miednicy patologicz-

nej przyczyną jest jakieś zwyrodnienie, na przykład mięśniaki macicy.

W końcu zdecydował się na mniejsze, kilkucentymetrowe nacięcie z boku – tam, gdzie powierzchnia była bardziej nierówna i nieco grubsza. Dwa palce włożone do środka wyczuły ruszające się ciało. Ręce naderwały otwór i bardzo ostrożnie, wielokrotnie sprawdzając, czy przypadkiem nie naciskają zbyt mocno, jeszcze go poszerzyły. Teraz można było rozewrzeć macicę jak nadnaturalnej wielkości owoc liczy.

Dziecko leżało skulone pod ściśle przylegającymi – wody płodowe dawno już odeszły – półprzezroczystymi błonami. Najbliżej były ramię i główka z czerniejącymi włoskami. Jeszcze naciągnięcie membrany, bezpieczne nacięcie i dłonie uniosły całkiem sporego chłopca. Ręce akuszerki były dokładnie tam, gdzie powinny się znaleźć. Przejęły noworodka i przytrzymały, aby on opatrzył pępowinę.

– Obmyć i... – w pokoju rozległ się głośny krzyk chłopczyka. Wówczas matka, która to traciła przytomność, to odzyskiwała, zachrypiała zduszonym głosem: „Moja dziecina, dajcie moją dziecinę!”

– Zaopatrzyć i przystawić! – cisnął ostro, czując, że kobieta napręża ciało, gotowa unieść się na stole. – Trzymaj, trzymaj za ramiona! – okrzyk wstrząsnął służącym, który zdawał się nie rozumieć i wielkimi



Rozpiął spodnie, szósty, najmniejszy ręcznik wyciągnął z krocza i zrolował pończochy

oczyma wgapił w otwarte trzewia. – Zająć się dzieckiem, zaopiekować matkę. Spokój, do chuj! pana! – i słowa te w dużej mierze zaadresował do samego siebie. – Jeszcze drugie tyle.

• Ówczesna medycyna знаła nie więcej niż trzy przypadki cesarskiego cięcia, gdy przeżyło i dziecko, i matka. Pozostałe relacje – dziesiątki, setki prac nagromadzonych przez stulecia – opisujące udane wycięcie żywego noworodka przez brzuch, zawierały też informacje o śmierci rodzącej. Co prawda exitus nie następował od razu, a między trzecią a szóstą dobą, to jednak, zaświadczały najlepsi położnicy, szansa na uratowanie obojga była równa zero.

Sectio caesarea zalecano więc w sytuacji perimortem matris, gdy z jakichś względów możliwość uratowania matki była znikoma lub niemożliwa. A nawet wtedy niejedna ze sław medycyny sugerowała raczej rozczłonkowanie nienarodzonego i wyciągnięcie przez kanał rodny, aby choć odrobinę zwiększyć szansę kobiety.

Wilhelmina Munnik już na pierwszy rzut oka wydała się osobą słabą, która może nie wytrzymać porodu. Akuszerka zrelacjonowała szczegóły przedłużającej się akcji. Rodziła od prawie doby, wody ode-

szły wcześniej, wszystko szło po myśli, ale słabła coraz bardziej, kilka razy mdlała.

Wcześniej były jeszcze trzy porody. Pierwsze dziecko zmarło w wieku trzech lat, potem rok po roku dwa poronienia. Nie była najmłodsza, ogólne problemy ze zdrowiem, niedomagala na serce. Na pierwszy rzut oka – cechy miednicy osteomalatycznej. „Kobieta umrze – ta myśl od razu zakolatała w głowie – jeśli nie wyciągnie się dziecka przez cesarskie cięcie”.

• Łożysko z chłupotem trafiło do miski. Na leżało jeszcze wyczyścić macicę, która i bez przygotowanego lodu wzorcowo się obkurczyła. Wszyscy lekarze, jacy kiedykolwiek podejmowali się tej operacji, pozostawiali ją niezasytą.

Spoglądał z góry na tę krwawą płataninę i zastanawiał się, czy aby nie założyć kilku klamr. Zapalenie, jakie groziło po trzeciej dobie, mogłoby zostać spotęgowane przez ciało obce w trzewiach, choć z drugiej strony rana łatwiej by się goiła. Ostatecznie nad intuicją górę wziął zwyczaj. Wstawił za to dren i zaczął uważnie zszywać pozostałe powłoki.

Czas mijał niezauważenie. Dziecko spało przy piersi drzemiącej matki. Służący wymienili się świecznikiem. Ów ze zdrewniałą ręką przysiadł na skraju stołu i znu-

żony spoglądał to na czubek głowy noworodka, to na dłonie medyka.

Za to akuszerka, zapomniawszy o chwili słabości, pracowała jak maszyna. Szykowała nasączone spirytusem tampony – było to dla niej novum i wcześniej nie spotkała się z tak skrupulatnym czyszczeniem ran – grzała stalowy nóż, którym medyk raz po raz przypalał krwawiące naczynia. W drzwiach kilka razy pojawiał się też pan Munnik, gotowy wbiegać do środka, pomagać i skakać z radości wokół nowo narodzonego syna.

Za każdym razem krótki, niecierpiący sprzeciwu rozkaz nakazywał mu pozostać w drugim pomieszczeniu. Nie zważając na ulewny deszcz, porywisty, przeni kliwy wichry, pędził wówczas na podwórze i przesakiwał od okna do okna, aby lepiej widzieć, co się dzieje z jego żoną i dzieckiem.

– Pod żadnym pozorem nie wpuszczaj tu nikogo! – założywszy ostatni szew, rzekł do akuszerki. – Masz tu siedzieć! – długi cienki palec wskazał zydeł, gdzie przed chwilą stał mężczyzna ze światłem. – A wy – palec pogroził służącym – gdyby cokolwiek się działo, jestem w sypialni Munników. Natychmiast mnie wołać.

Widać było, że ślania się na nogach, ale umysł jeszcze ręce. Znów podszedł do śpiącej, zbadal puls, uniósł powiekę, zajrzał w żrenicę, po czym z czułością przesunął

dłonią po fioletowym ramieniu dziecka. Przetarł jego policzek i kroplę mleka, jaka pozostała mu na palcu, włożył sobie do ust.

Akuszerka zadrżała. Gest tego aż nazbyt obcesowego medyka, a zwłaszcza to coś nieuchwytnego, co dostrzegła nagle w jego twarzy, zakłuło ją w serce.

– Razem... ostrożnie... powoli... – we czworo przenieśli matkę i dziecko na łóżko.

Poprawił lniane prześcieradło i z rękami uniesionymi do góry, niczym pastor, błogosławiący wiernych, ruszył do drzwi.

– Krwawienie, gorączka, cokolwiek – butem uchylił skrzydło – daj mi znać kobieto, bo to może przesądzić o życiu obojga.

• Służący John wstał i w milczeniu, dłonią osłaniając lichtarz, poprowadził przez wielki, nieznany dom. Przeszli salon, gdzie za stołem spał szczęśliwy mąż i ojciec, obok niego oparta na łokciach chrapała teściowa. Wkroczyli na szeroki korytarz. W kinkiecie dogorywała świeca, rzucając chybotałiwe, oblepiające światło i niemal nie dostrzegli dwóch służących, które wtuli-

lone w siebie leżały pod sypialnią Munników. Gdy John nacisnął na klamkę, drzwi zaskrzypiały, obie podskoczyły i wystraszone zniknęły w mroku.

– Zagrzać panu wody?

– Jutro John, wszystko jutro. Zostaw tylko świecę.

Medyk zamknął drzwi i zaryglował zasuwę.

– O Salve Regina, Mater Dei! – jęknął, kładąc lichtarz na stole. – Trzeba było jednak zszyć macicę.

Za oknami wciąż szalała burza, na przemian ciał deszcz i grad, a gdzieś w ciemności gałąź tłukła w szybę. Zaciągnął grube story i usiadł na łóżku. „Zapewne tu poczęło dziecko” – pomyślał, rozpinając zabiegowy surdut. „A ten Munnik gotów brudne łapska włożyć do brzucha żony” – rzucił kamizelkę na wezglowie i rozpiął koszulę.

„Ból... – z barków zdjął ułożone w trójkąt dwa ręczniki –... nie da się zapomnieć, nie da”. Starannie poukładał je po przeciwległej stronie łóżka. Na piersi rozpiął pas i na kolana zsunęły się trzy kolejne. Dwa w kwadrat, a jeden w płaski rulon. „Z niczym porównać...” – schylił się, aby zzuć buty, rozpiął spodnie, szósty, najmniejszy ręcznik wyciągnął z krocza i zrolował pończochy.

– Szlag by to... – niechętnie wstał i przy toalecie z miską odrzucił koszulę. Zanurzył dłonie w zimnej wodzie i namydliwszy je, przetarł pachy. Przetawił naczynie na kamienną podłogę. Przykucnął, ochlapał włosy łonowe i przetarł pochwę. Delikatna woń moczu i płci zmieszała się z cierpkim lawendowym zapachem mydlin. Na wilgotne ciało naciągnął przygotowaną przez Johna koszulę nocną. Szorowała o stwardniałe od chłodu sutki i mimowolnie objął swe drobne piersi.

Już pod kocem przez półprzymknięte powieki zerknął na świecę. – Stać ich – i nie gasząc, zapadł się w miękki mech, na którym tańczyli rudzi Irlandczycy. •

Jedno z pierwszych udokumentowanych narodzin poprzez cesarkę, gdy przeżyli i mama (Wilhelmina Munnik), i dziecko. W drugiej dekadzie XIX w. wykonał(-a) James Barry, a właściwie Margaret Ann Bulkley.

FOU JUSTIN PAGE/GETTY IMAGES



„Kościół to takie
moje mindfulness.
Tu nie patrzę w telefon”.
Jak pokolenie Z zaspokaja
potrzeby duchowe

Iwona Görke

Moje klientki, bo w dużej mierze spotykam się z kobietami, pytają mnie najczęściej o sprawy związane z pracą i karierą zawodową, o sprawy sercowe oraz osobiste – przyznaje Olga.

Ma 30 lat, skończyła studia humanistyczne i układa tarota. Nie przepowiada przyszłości. Pracuje „na krótkich odcinkach czasu, a nie całej linii życia”. Klientki trafiają do niej z konkretnymi pytaniami, a ona rozkłada karty. Interpretuje to, co mówią i konstruuje opowieść.

Często to, co na podstawie kart mówi im Olga, pokrywa się z tym, co same myślą. – To trochę tak, że podjęły już jakąś decyzję, ale potrzebowały potwierdzenia, że jest dobra. Szukają tego potwierdzenia w praktykach magicznych – trzeźwo zauważa.

Jej drzwi mogłyby się nie zamykać, ale ona nie chce, żeby klientki umawiały się za często. Chodzi o to, by nie uzależniły się od karty. Tarot – co może zaskakiwać, bo kojarzy się z losowością i siłą wyższą – ma dać poczucie sprawczości. Zachęcić, żeby człowiek spróbował poukładać sobie to życie terazniejsze, tak, by być zadowolonym z niego w przyszłości.

Na rozmowę z Olgą trzeba sobie zarezerwować godzinę. Mieć spokojną i bezpieczną przestrzeń do swobodnej rozmowy online. – Jeżeli ktoś, kto jest w domu, ma cię deprimować, idź gdzieś indziej, może do koleżanki? Zdarzało się, że dziewczyny chodziły do przyjaciółek, bo w domu był ich partner, a nie chciały, by on słyszał naszą rozmowę – wspomina.

Tarocistka prosi klientki, żeby przygotowały notatnik i długopis. Mają zapisać to, o czym mówią. Gdy wyciąga karty, informuje, co widzi. Tłumaczy, z jakich pochodzą dworów i żywiółów, co one oznaczają osobno i w połączeniu.

Zaznacza, że nie jest astrolożką, medium czy numerolożką. Nie namawia do niczego. Nie decyduje za klientki. Cieszy się, gdy piszą, że dała im wiele dobrej energii w trudnym czasie czy odnoszą się do tego, co przeczytała w kartach, a co się rzeczywiście wydarzyło w ich życiu.

Olga cieszy się, gdy może pomóc. Pracować rozwojowo, bo trochę w to prera-

dzają się spotkania. Pomóc spojrzeć na problem z innej perspektywy. Ale nie chce wiedzieć za dużo o klientkach. – Nie jestem przecież terapeutką.

Gdy zauważyła, że jedna ze stałych klientek może mieć poważny problem, zapytała, czy nie chciałaby porozmawiać z psychologiem. Dziewczyna przyjęła pomoc.

Olga zauważa zmianę w podejściu do duchowości. – Ludzie szukają odpowiedniej dla siebie formy. Od jakiegoś czasu można zaobserwować modę na ezoterykę – zauważa. W mediach społecznościowych widzi wiele profili osób określających siebie jako współczesne czarownice i wiedźmy, ludzi oczyszczających aurę, odprawiających przeróżne rytuały. Online. – To bardzo interesujące, ale już na granicy szarlatanstwa – kwituje.

Te poszukiwania Olga amatorsko – „sporo obserwuję, śledzę media społecznościowe, dużo rozmawiam, wiele czytam, ale nie jestem socjolożką” – wiąże z odchodzeniem ludzi od Kościoła. – Szukają strefy duchowej, która pomoże im poradzić sobie z problemami. Ewidentnie nie jest to już spowiedź czy obecność na mszy.

Z tą potrzebą Olga wiąże dostrzegalny wzrost zainteresowania coachami. – Z wpisów na Instagramie, relacji na Facebooku, z opowieści klientek wnioskuję, że ludzie zaczynają pracować nad rozwojem osobistym nie tylko w kontekście pracy, zarabiania pieniędzy, ale coraz częściej i leczenia ran z przeszłości.

Z coachem zastanawiają się nad swoją kondycją psychiczną, nad tym, jak dzieciństwo na nich wpłynęło. Jak z terapeutą.

Olga niedawno dowiedziała się, że jej prababcia podczas wojny wróżyła z kart. Czuje, że ma w sobie magiczny pierwiastek. Od jednej wróżki usłyszała, że jest jak czarownica, że nie powinna do niej przychodzić, skoro ma podobne predyspozycje. Zawsze lgnęli do niej ludzie ze swoimi opowieściami i problemami. Przyjaciele znali jej zainteresowania ezoteryką. Czytała książki o runach, o magii. Miała karty afirmacyjne. Przed pandemią dostała od koleżanki karty do tarota. Robiły rozkłady, sprawdzały, czy to, co wychodzi, ma sens. Miała. Wciągała się, aż w końcu zaczęła rozkładać tarota nie tylko dla swoich przyjaciółek, znajomych i ich znajomych.

Puściła w mediach społecznościowych jakiś post i poszło. Nie narzeka na brak klientów. Ale to nie jest zajęcie na pełen etat, Olga nie chce, by było. Codzienne spotkania

Bóg? Nie potrzebuję, chyba

51 proc.

• badanych z pokolenia Z odpowiedziało „żadne z powyższych pojęć nie jest dla mnie ważne” na pytanie, co jest dla nich najważniejsze: wiara, religia czy rozwój duchowy

Dla 2 proc.

• Zetek religia jest najważniejsza

61 proc.

• Zetek uważa, że tradycja, w tym religijna, jest ważna, nawet jeśli religia nie ma dla nich znaczenia

77 proc.

• respondentów z pokolenia Z nie potrzebuje żadnej instytucji do budowania swojej duchowości

3 proc.

• Zetek chodzi do wróżki

49 proc.

• Zetek samodzielnie odkrywa swoją duchowość, a 15 proc. nie potrzebuje do tego „niczego ani nikogo więcej niż siebie”

z klientami wyciągają za dużo energii. To jej pasja. Coś dodatkowego, co daje jej radość. Niekoniecznie dużo pieniędzy. – Przy tym boomie na ezoterykę można naprawdę zarabiać.

Ania jest ochrzczona, po komunii i bierzmowaniu, ale wiara i religia nigdy nie były dla niej ważne. Rodzice nie chodzili często do kościoła. Ona też nie. – Jak byłam młodszą, to zdarzyło się, że poszłam na pasterkę – wspomina. A tak to w kościele bywała, jak wszyscy, na ślubach i pogrzebach.

27-letnia Wielkopolanka mieszka przy kościele i zauważa, że tych ślubów jest

znacznie mniej. Kiedyś odbywały się praktycznie w każdą wakacyjną sobotę. W te wakacje naliczyła jeden.

Ania jest w ciąży. – Od partnera usłyszałam, że jeżeli chciałabym ochrzcić dziecko, to w porządku. On nie ma nic przeciwko, bo taka jest tradycja. Ale Ania dziecka nie chce chrzczyć. Jej starsza siostra też nie ochrzciła.

Nie łączy duchowości z wiarą i religią, tylko z dobrostanem wewnętrznym. Pracuje nad nim na psychoterapii. Uprawia sport. W swoim otoczeniu nie ma toksycznych osób. Dbą o spokój wewnętrzny. Wcześniej, ze względu na trudności spowodowane śmiercią ważnych dla niej osób, korzystała z farmakoterapii. Nie zamiast – także.

Jej znajomi mają podobne podejście. – Nie łączą duchowości z pójściem do kościoła, a z wellbeing. Jeden z przyjaciół jest nawet po apostazji. Ale nie wszyscy młodzi odchodzący od Kościoła robią to formalnie, przynajmniej w jej otoczeniu. Po prostu przestają chodzić, uczestniczyć w obrzędach.

Dlaczego młodzi nie widzą miejsca dla siebie w Kościele? – To ma związek z tym, że za bardzo miesza się do polityki i ma z nią zbyt ściśle związki. Nie bez znaczenia są afery pedofilskie i to, jak duchowni sobie z nimi nie radzą.

Nie pomaga Jan Paweł II. – On kojarzy mi się z memiarskim wręcz papieżem Polakiem i tym, że tuszował afery pedofilskie w całym Kościele.

Kościół zawsze był obecny w życiu Weroniki. Kiedy mówi „kościół”, ma na myśli pierwotne, nowotestamentowe znaczenie z czasów pierwszych chrześcijan. Społeczność ludzi wierzących. – Bo my, ewangelicy, tak właśnie rozumiemy kościół – tłumaczy dwudziestotrzylatka. Ta wspólnota zawsze miała i wciąż ma dla niej znaczenie.

W niewielkiej mazurskiej miejscowości, z której pochodzi, ewangelicy są mniejszością. Parafianie dobrze więc się znają. Wiedzą, kiedy i kto bierze ślub czy chrzci dziecko. Rozmawiają. Organizują akcje charytatywne i spotkania adwentowe, na których śpiewają koledy.

Weronika uczestniczyła w nich od najmłodszych lat. Segregowała odzież i żywności dla osób ubogich, przygotowywała paczki świąteczne dla potrzebujących dzieci. Wspólnie z rodzicami. To jedne z jej pierwszych wspomnień. Uważa, że to właśnie dzięki temu zaangażowaniu zaczęła działać aktywistycznie. – To mnie ukształtowało jako osobę. Angażuję się w sprawy społeczno-polityczne.

Szczegółowiej Weronika wolałaby nie mówić. I tak już sporo zdradziła, a nie mieszka w anonimowej, milionowej metropolii.

Weronika stara się być na nabożeństwie co tydzień. Modli się. Modlitwa to jej mindfulness. Rozmowę z Bogiem może prowadzić wszędzie. I jakkolwiek – ze złożonymi dłońmi, z otwartymi czy zamkniętymi oczami. W kościele, domu, w parku.

W mijającym roku spotkała ją wiele trudnych doświadczeń. Przyszedł kryzys. W tych trudnych momentach nie złościła się na Boga. Przypominały jej się słowa, które chłonęła jako dziecko, studiując z rodzicami w domu czy na lekcjach religii Pismo Święte. To, co ją spotkało było po coś. Nie czuje się samotna. Ma Boga. Bóg ją wsparł w kryzysie. Poczula potrzebę, by mu podziękować. I, jak mówi, dorosła. Do kościoła chodzi bardziej świadomie. I jeszcze bardziej docenia społeczność kościelną. To, że może po nabożeństwie porozmawiać z osobami, które znają ją całe życie.

Pójście do kościoła jej pomaga. – To takie moje mindfulness – powtarza. – Tu nie patrzę w telefon, skupiam się na kazaniu czy śpiewaniu.

Po nabożeństwie w rodzinnej miejscowości podchodzą starsze parafianki i wspominają ją z czasów dzieciństwa i lat nastoletnich. – Dla młodej kobiety to cenne – uważa Weronika. Poczucie przynależności.

Ale nie tylko obecnie parafianki dobrze kojarzą Weronikę. – W podstawówce kato-

FOT. IMGORTHAND/GETTY IMAGES

licy wiedzieli, kto jest baptystą, grekokatolikiem, a kto ewangelikiem. Tych osób nie było na szkolnych lekcjach religii.

Weronika była kojarzona także z innego powodu. Jest dzieckiem duchownego. To niełatwe doświadczenie. – Zawsze mogłam liczyć na wsparcie taty, bo on sam jest dzieckiem duchownego. Tata znał te problemy, z którymi się mierzę i będę się mierzyć.

Niektórzy sądzili, że ewangelicy to Niemcy, a kościół ewangelicki jest kościołem niemieckim, w którym wierni modlą się po niemiecku. – Ja przecież nie pytam katolików, czy modlą się po włosku, bo należą do kościoła rzymsko-katolickiego – Weronika nieco się zżyma. – My jesteśmy kościołem narodowym. Nasza pełna nazwa to Kościół Ewangelicko-Augsburski w Rzeczypospolitej Polskiej. Modlimy się po polsku. Zresztą ewangelicy posługiwali się na nabożeństwach językami narodowymi na długo przed katolikami – przypomina.

Oprócz rzekomej „niemieckości” swoje go wyznania Weronika mierzyła się z równieź przekonaniem, że jako córka pastora musi być, jak ironizuje, „nawiedzoną dewotką”. – Bolesne było dla mnie to, jak ludzie nie znając mnie, zakładali, jaka jestem i jacy są moi rodzice.

A oni przecież Weroniki nie zmuszali do chodzenia do kościoła. Czasem nie miała takiej potrzeby czy humoru. Zostawała w domu i nikt nie miał z tym problemu. – W naszym kościele możemy się angażować w tak wiele inicjatyw, że nie zawsze najwyższą formą zaangażowania jest obecność na nabożeństwie. Uczestniczyć w życiu kościoła, czyli tej naszej społeczności, mogę chodząc na przykład na spotkania parafialne.

Nie miała okresu buntu, w którym oddaliła się od Boga. Ma świadomość tego, że odchodzenie od Kościoła i Boga jest powszech-

ne u młodych katolików. Tak ich nazywa, bo nawet jeśli nie identyfikują się z tym wyznaniem, to jeśli zostali ochrzczeni w rycie rzymskim, formalnie nimi są.

Wśród katolickich znajomych zaobserwowała dwie postawy. Od Kościoła odchodzą osoby, które mają radykalnych religijnie rodziców lub dziadków.

Drugą postawą, którą dostrzega u znajomych, jest obojętność wobec Boga. Obchodzą święta, ale jako tradycję, bez elementu duchowego. A potrzeby duchowe mają. Tylko Kościół im zbrzydl. – Słyszę, że wierzą w Boga, ale w Kościół nie. Szukają duchowości w ezoteryce, mistycyzmie, tarocie i horoskopie. I w jodze.

– Nie rozumiem odchodzenia od Kościoła. Oczywiście wiem, że ten rzymskokatolicki jest bardziej hierarchiczny, że aktywność świeckich nie jest mile widziana. Ale można starać się zmieniać Kościół, bo przecież kościół to ludzie! Nam się udaje. Od zeszłego roku kobiety mogą być duchowymi. Feminizm wpłynął na kościół.

Czy zdaje sobie sprawę, że im było łatwiej, bo ewangelicy są bardziej egalitarni? Zdaje. Ale i tak uważa, że chodzenie do kościoła ma sens. – Nie chcę być młodą chrześcijanką, która obserwuje, jest bierna. Mój głos ma znaczenie, mam wpływ na przyszłość mojego Kościoła. On się rozwija razem ze mną. Nie chcę tylko czekać na to, co mi zaproponuje.

Zastanawiała się nie raz, czy rozczarowanych katolików zachęcać do konwersji. Doszła do wniosku, że nie.

– Jeśli ktoś jest zainteresowany moim kościołem, to chętnie o nim opowiem i taka osoba zawsze może czuć się do niego zaproszona. Ale podbierać wiernych nie chcę. Jeśli katolicy są rozczarowani swoim Kościołem, mogą spróbować dostosować go pod siebie. Marzy mi się, by doszli do tego, że mogą mieć na niego wpływ.

Choć zdaje sobie sprawę, że w pojedynkę, nim wytworzy się masa krytyczna nacisku, może być ciężko. – Kolega chciał konwertować, poszedł do swojej parafii, a tam ksiądz kazał podpisać oświadczenie o apostazji. A on przecież w Boga wierzy, tylko chciał zmienić Kościół, do którego przynależy.

Zwłaszcza po Strajkach Kobiet dużo osób odchodziło od Kościoła. – A księża sobie nic z tego nie robili, nie interesowało ich, dokąd ci ludzie pójdą, ku czemu się zwrócą, żeby zaspokoić duchowe potrzeby. Czy tego Kościół chce, żeby ludzie uciekali od wiary w Boga do różnych bożków?

Weronikę smuci, że wielu katolików nie wierzy w Kościół, więc mówią, że przestają wierzyć w Boga. – Ktoś taki w swoim sumieniu powinien się zastanowić, czego chce – uważa. Ale nie chce nikogo oceniać. Wiara nie uprawnia do oceniania. – Bo każdy człowiek ma własną relację z Bogiem. Pan Bóg każdego oceni. I nikt nie ma prawa traktować Słowa Bożego jako miecza i tym mieczem ludzi dzielić. Oceniać, napominać i się wywyższać. Biblia mówi, że trzeba być pokornym człowiekiem, który nie sądzi innych, nie obgaduje ich, a kocha bliźniego. I czyni dobrze – przypomina Weronika.

Marlena została ochrzczona. W szkole chodziła na religię. Poszła do komunii. I bierzmowania, mimo że nieszczególnie była zainteresowana tym sakramentem. Przekonali ją rodzice. Chociaż sami kościół odwołują sporadycznie, przy okazji ślubów czy pogrzebów, argumentowali, że papierek może jej się przydać, gdy będzie chciała wziąć ślub kościelny. Jako dziecko chodziła do kościoła, bo tak chcieli rodzice, „bo co ludzie powiedzą”, a przecież dzieci robią, to czego oczekują od nich rodzice.

Ma 25 lat, pracuje w obsłudze klienta. mówi, że nawet kiedyś w Boga wierzyła. Gdy

była dzieckiem. – Chociaż nie wiem, na ile można wierzyć w coś, czego się nie rozumie – zastanawia się. I zauważa: – Dzieciom serwuje się lajtowe wersje biblijnych historii.

Jako dziecko czuła poczucie winy. Bo nawet po wersji lajt wszystko wydawało jej się grzechem. I tak słyszała, od dorosłych, na mszy. A może jej się tylko tak wtedy wydawało, skoro dziś zdaje sobie sprawę, że była trochę przewrażliwionym dzieckiem?

Wątpliwości pojawiły się, jak była nastolatką. Rok po Strajkach Kobiet z pamiętnego 2020 roku, poszła do kościoła, ale nie na mszę. Chciała dokonać apostazji. Trochę to trwało, bo kancelaria parafialna w jej rodzinnym warmińskim miasteczku otwierała się na półtorej godziny dwa razy w tygodniu.

Marlena pamięta złość proboszcza, gdy wypowiedziała sakramentalne: chcę dokonać apostazji. Ale nie utrudniał, dokonał stosownej adnotacji. W wieku 21 lat przestała zaliczać się do wspólnoty rzymsko-katolickiej. – Świadomie mówię „zaliczać”, bo przynależać przestałam już dawniej. Przestałam czuć związek nie tylko z Kościołem, ale i z Bogiem, w którego nie wierzę.

O tym, że chce dokonać apostazji, najpierw powiedziała ojcu. Osobie średnio wierzącej, ale uważającej, że do kościoła wypada chodzić. Po wyznaniu córki ojciec podszedł do komputera, by odnaleźć kontakt do koleżanki, która apostazji już dokonała. – W razie czego pomoże ci w procedurze.

Mamie o apostazji też powiedziała, ale później. Mama wierzy w Boga, choć do kościoła chodzi sporadycznie, dostrzega jego wady. – Zapytała, czy przechodzę na inną wiarę.

Nie przechodzi, bo nie wierzy. Ale gdyby znów uwierzyła i miała wrócić do kościoła, to na pewno nie do Kościoła Katolickiego.

Marlena postanowiła połączyć przyjemne z pożytecznym. O apostazji wśród młodych – zetek i milenialsów – pisała pra-

REKLAMA

R E K L A M A

Kraj/34354134

Czym jest Ogólnopolska Sieć Uniwersytetów Ludowych?



Ogólnopolska Sieć
Uniwersytetów
Ludowych

Ogólnopolska Sieć Uniwersytetów Ludowych (OSUL) to federacja zrzeszająca uniwersytety ludowe z całej Polski. Uniwersytety ludowe, wzorujące się na ideach N. F. S. Grundtviga, łączą edukację dorosłych z aktywizacją społeczną i wspieraniem lokalnych środowisk. Działalność OSUL obejmuje m.in. organizację kursów, warsztatów, programów integracyjnych i wsparcia dla organizacji pozarządowych. Każdy z uniwersytetów jest miejscem współpracy, wymiany doświadczeń oraz wspierania oddolnych inicjatyw lokalnych.

Ogólnopolska Sieć Uniwersytetów Ludowych (OSUL) realizuje projekt „Kompleksowy program wsparcia rozwoju usług poradniczych Ogólnopolskiej Sieci Uniwersytetów Ludowych”, który ma na celu profesjonalizację poradnictwa na rzecz organizacji zrzeszonych w OSUL oraz podmiotów aspirujących do dołączenia do Federacji. Projekt, dofinansowany ze środków Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Oby-

watelskiego, odpowiada na potrzeby zdiagnozowane w codziennej pracy z organizacjami pozarządowymi.

Wsparcie organizacji i rozwój usług poradniczych!

OSUL zrzesza 21 uniwersytetów ludowych z całego kraju, które od lat wspierają edukację dorosłych i integrację lokalnych środowisk. Dotychczasowe usługi poradnicze cieszyły się dużym zainteresowaniem, jednak pojawiły się nowe potrzeby, takie jak doradztwo w zakresie przedsiębiorczości społecznej, promocji marki czy zarządzania organizacjami.

Projekt realizowany jest obecnie od 1 stycznia 2024 roku do 31 grudnia 2025 roku wzmocni potencjał OSUL, zapewniając dostęp do profesjonalnych usług doradczych.

Główne założenia projektu:

- Wzmocnienie instytucjonalne – podniesienie kompetencji kadry oraz doposażenie w sprzęt cyfrowy.
- Rozwój poradnictwa – szkolenia i doradztwo poszerzone o nowe tematy.
- Promocja idei uniwersytetu ludowego – działania popularyzujące edukację grundtvigiańską.

Działania obejmują ponad 1000 godzin poradnictwa stacjonarnego, online i hybrydowego. Zakup nowoczesnego sprzętu zwiększy dostępność usług, szczególnie dla osób z małych miejscowości i osób z niepełnosprawnościami.

Odpowiedź na potrzeby organizacji

Badania z 2022 i 2023 roku wskazały konieczność wzmocnienia kompetencji, poprawy dostępności usług i rozwoju edukacji dorosłych. Realizacja projektu umożliwi profesjonalizację poradnictwa i stopniowe odchodzenie od wolontariatu jako podstawy działalności.

Zaplanowano konferencje, szkolenia specjalistyczne oraz materiały poradnicze, które trafią do szerokiego grona odbiorców.

Projekt wpisuje się w Program Rozwoju Organizacji Poradniczych na lata 2022-2033, wzmacniając OSUL jako partnera w budowaniu społeczeństwa obywatelskiego. Dzięki współpracy międzynarodowej OSUL wymienia się dobrymi praktykami z uniwersytetami ludowymi z Niemiec, Szwecji i Danii.

Realizacja projektu pozwala skuteczniej wspierać organizacje pozarządowe oraz rozwijać uniwersytety ludowe jako centra edukacji dorosłych i wsparcia lokalnych społeczności.

Chcesz dowiedzieć się więcej? Zapraszamy na naszą stronę internetową www.osul.pl oraz do kontaktu pod adresem e-mail: biuro@osul.pl



SFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW NARODOWEGO INSTYTUTU WOLNOŚCI – CENTRUM ROZWOJU SPOŁECZEŃSTWA OBYWATELSKIEGO W RAMACH RZĄDOWEGO PROGRAMU WSPIERANIA ROZWOJU ORGANIZACJI PORADNICZYCH NA LATA 2022-2033

cę magisterską. Rozmawiała z apostatkami i apostatami. Z jej badań wynika, że to brak wiary był głównym impulsem do wypisania się z Kościoła. Choć zna wierzących apostatów. Pamięta wierzącą w Boga homoseksualną osobę, która wypisała się, bo nie czuła, że w takiej wspólnotcie będzie mogła żyć w zgodzie ze sobą.

Ale większość „wierzących wypisujących się” – bo, śmiejemy się, czasy takie, że do meczynych (gdyby wtedy istniały memy) „wierzących niepraktykujących” i „niewierzących praktykujących” z lat 90. wypada dodać kolejną kategorię – z którymi rozmawiała, nie wierzy w jakiś określony i skonkretyzowany byt. – Może dlatego łatwiej im było pójść do proboszcza z deklaracją?

– Oni uważają jak ja – że można być osobą uduchowioną, ale nie wierzyć w Boga. Bo uduchowanie to życie w zgodzie ze sobą, bycie dobrym człowiekiem, to miłość, a niekoniecznie system religijny.

Po naszej rozmowie Marlena napisała do mnie długą wiadomość SMS:

„Mogę też dopowiedzieć jedną rzecz: szanuje i w sumie podziwiam osoby, które wierzą i żyją według zasad narzuconych przez religię. Uważam, że w wierze może być coś pięknego i wzniosłego. Sama w sobie religia nie jest zła, zwykle opiera się na słusznych założeniach, a jeżeli uważamy, że jest zła, to całe zło wprowadza człowiek. Nie jest też tak, że każdy apostata będzie uważał religię za coś złego, niektórzy mówią, że podziwiają i trochę zazdroszczą, że takie osoby mogą znaleźć oparcie w Bogu, (w tym ja), jednak nie chcą być częścią tej społeczności lub stracili wiarę. Myślę, że ważne jest, by to dopowiedzieć, bo częstą narracją jest to, że ktoś dokonuje apostazji, żeby nie żyć w zgodzie z boskimi prawami i bez wyrzutów sumienia grzeszyć, a tak nie jest”.

Zetki: Ani Bóg, ani horoskop. Do duchowości nie potrzebują religii

Uniwersytet SWPS z z agencją marketingową They.pl przygotował raport „Gen Z o sobie i otaczającym ich świecie. Jakie są polskie Zetki. Insightly o generacji bez generalizacji”. W badaniu wzięło udział 2554 osób z całej Polski w wieku od 18 do 25 lat.

Badacze zajęli się także tematem wiary i duchowości. Zapytali młodych, co jest dla nich najważniejsze: wiara, religia czy rozwój duchowy. Była i czwarta odpowiedź „żadne z powyższych pojęć nie jest dla mnie ważne”. I to właśnie nią najczęściej – 51 proc. – wybierali. Na „rozwój duchowy” wskazało 33 proc. pytanym, na „wiarę” 15 proc. Religia okazała się najważniejsza jedynie dla 2 proc.

Znamienne, że już same pojęcia religia, wiara, a nawet duchowość źle kojarzą się Zetkom, na co mają wpływ – jak tłumaczą badaczom w wywiadach – inne pokolenia, ich otoczenie, ale i historia ludzkości. Zetki nie potrzebują religii czy duchowości. To, co dla kogoś może być brakiem, dla nich jest wolnością. Wolnością od przymusu, nacisków i niemożności decydowania o sobie.

Są oczywiście także wierzący młodzi ludzie. Deklarują pozytywny wpływ wiary na swoje życie, uczestniczą w obrzędach, modlą się, chodzą do kościoła i czują wpływ Boga na swoje codzienne sprawy. Autorzy raportu stawiają hipotezę, jakoby wiara tych osób, choć może wydawać się naiwna, nawet magiczna, jest nieprzypadkowa i bardzo świadoma.

Co ciekawe, kwestie związane z wiarą nie dzielą Zetek. Wierzący, niewierzący, praktykujący inne, ezoteryczne formy chętnie dyskutują o swoich przekonaniach, wierze, jej braku lub przeświadczeniach.

Wiele Zetek podzieli się opłatkiem i zasiądzie do wigilijnego stołu. Także tych, dla których sprawy związane z wiarą i religią nie są ważne albo które od konfesjonu wolać aja-huaskę. Religia może nie mieć dla nich znaczenia, ale tradycje mają. Z takim stwierdzeniem zgadza się 61 proc. badanych (34 proc. zgadza się zdecydowanie, a 27 raczej się zgadza), tylko 16 proc. zdecydowanie nie zgadza się.

Jedna z osób cytowanych w raporcie tłumaczy: „Nie uczestniczę w obrzędach religij-

nych, aczkolwiek obchodzę święta ze względu na to, że uważam to po prostu za polską tradycję i lubię spędzać czas z rodziną”. Inna z kolei nie obchodzi żadnych świąt poza dniem ojca i matki oraz urodzinami znajomych.

Warto zwrócić uwagę, że aż 77 proc. respondentów (62 proc. zgadza się zdecydowanie, a 15 raczej się zgadza) nie potrzebuje żadnej instytucji do budowania swojej duchowości. Młodzi ludzie odchodzą od praktyk religijnych na rzecz samodzielnego rozwoju duchowego. „Zetki nie są mocno religijne, ale za to wierzą w siebie i w siłę swojego umysłu. Mimo iż większość z nich nie uczestniczy w obrzędach religijnych i nie potrzebuje instytucji, by rozwijać się duchowo, to jednak część wierzy w moc manifestacji” – czytamy w raporcie.

Z tym, że manifestacja jest potrzebna lub przydatna, raczej zgadza się 16 proc. ankietowanych, a 11 proc. zdecydowanie się zgadza. Zdecydowanie nie zgadza się 32 proc. A jedna czwarta nie potrafi odpowiedzieć na tak postawioną tezę. Z niektórych odpowiedzi wynika, że być może nie do końca rozumieją to pojęcie jak z akademickiego kursu socjologii. Ale – wbrew indywidualnym obserwacjom Oli – i tak w moc religijnej czy szerzej, duchowej manifestacji wierzy więcej osób niż horoskopy. Badani w większości nie uznają przepowiadania przyszłości na podstawie gwiazd – aż 62 proc. z nich nie czyta horoskopów, do czego przyznaje się jedynie łącznie 14 proc. Zetek.

Być może tajemnica rozdzwiku między tym, co na rynku ezoteryki obserwuje zawodowa tarocistka a badaniami socjologów, wynika z tego, że Ola obraca się w pewnej bańce, być może jest generacyjna – Ola to raczej millennialka. A może wyjaśnia ją 10 proc. Zetek, które nie potrafią odpowiedzieć na pytanie, czy czytają horoskopy.

Pokolenie „przed trzydziestką” konkretniej wypowiada się o wrózkach, które nie cieszą się popularnością taką, jak wśród starszych. Może chodzi o generacyjny sceptycyzm, a może o koszty wizyt – ale 90 proc. pytanym Zetki deklaruje, że nie korzysta z usług wróżbiarskich. Jedynie 2 proc. „raczej się zgadza”, że chodzi o wróżki, 1 proc. „zdecydowanie się z tym zgadza”, a 3 proc. nie potrafi powiedzieć.

I znów, jak można nie wiedzieć, czy się chodzi do wróżki, albo chodzić do niej tylko trochę? Jakiegoś wyjaśnienia dostarcza inna kategoria: młodzi ludzie uważają, że ich duchowość to ich osobista sprawa. Również w rozumieniu samodzielnego identyfikowania i zaspokajania potrzeb metafizycznych. 49 proc. samodzielnie odkrywa swoją duchowość, a kolejne 15 proc. wręcz deklaruje, że do tego odkrywania nie potrzebuje niczego ani nikogo więcej niż siebie.

Może przychodzi im to łatwo dlatego, że realizują się na innych polach? Jedynie dla 39 proc. respondentów ich duchowe przekonania są ważne względem „innych celów i wartości”. Za to dla co trzeciej Zetki duchowość „raczej” lub „zdecydowanie” nie jest ważnym elementem.

Jak to wszystko rozumieć?

Hippisi, new age, millenials. Pokolenie Z nie jest pierwsze

– Nie tylko Zetki rozdzielają pojęcie religii oraz wiary od duchowości – zwraca uwagę dr Radosław Sierocki, socjolog z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, zajmujący się sieciami społecznymi i religią w kontekście internetu.

Ale nim przechodzi do analizy, przypomina, że Zetki tak naprawdę trudno zdefiniować. Bo to pojęcie to poręczna etykieta, pozwalająca skategoryzować pewną grupę ludzi, których – oprócz doświadczeń generacyjnych i przedziału wiekowego – niekoniecznie musi wiele łączyć. Stosujemy ją, bo sprawdza się – jak poprzednie etykiety typu Ikxy, Ygreki – w mediach, w marketingu, w polityce. Z drugiej strony, z racji doświadczeń generacyjnych, klimatu społecznego, konkretnej popkultury i obyczajowości, w której się wychowywali, jakieś cechy wspólne ludzie urodzeni między ro-

kiem 1995 a 2012 – potem zaczynają się już Alfy – mają. Więc zostańmy przy tej wygodnej kategorii.

No więc Zetki nie są pokoleniem pionierskim, jeśli idzie o oddzielenie kwestii wiary i religii od duchowości – zaczyna socjolog. Nic innego nie robiły przecież wcześniejsze pokolenia w latach 60. i 70., choćby dzieci kwiaty, a później ruchy new age’owe czy te wieszczące koniec Ery Ryb i wejście w Erę Wodnika. Być może trudno nam tę ciągłość dostrzec, bo – przypomina Sierocki – to nie był jeden nurt, a wiele prądów myślowych.

– Które pojawiły się głównie w Stanach Zjednoczonych i z czasem dotarły do Europy Zachodniej. A do Polski z pewnym opóźnieniem, bo w latach 80. i 90., w czasach transformacji ustrojowej, również i do Polski – tłumaczy socjolog. Więc siłą rzeczy słabiej odcisnęły się w świadomości zbiorowej społeczeństwa zajętego bogaceniem się lub próbami przetrwania, konwulsjami kształtującej się demokratycznej sceny partyjnej oraz doganianiem zmitologizowanego Zachodu pod względem mód i stylów życia.

– Ale to właśnie w tych latach zaczyna się mówić, że religia to jedno, a duchowość drugie, że jest odrębną sprawą. Religia wiąże się z formą zinstytucjonalizowaną. Natomiast duchowość dotyczy tego, w jaki sposób człowiek indywidualnie doświadcza jakiejś formy transcendencji.

W przypadku Zetek to rozdzielenie się pogłębia. Ale i tu trzeba przywołać wcześniejsze pokolenie, nazywane Y lub millenialsami, oraz socjologiczny termin z przełomu wieków, jakim jest supermarketyzacja.

■
Tarocistka Ola zaznacza, że nie jest astrolożką, medium czy numerolożką. Nie łączy się z pozaziemskimi bytami. Nie decyduje za klientki. Nie namawia do niczego

– Na przełomie wieków następowało rozluźnienie społecznej kontroli ze strony instytucji religijnych. Powoli wzrastała indywidualizacja, co wiąże się też z rozwojem konsumpcyjnego stylu życia. I tutaj pojawia się metafora supermarketu, mówiąca o tym, że każdy sobie z religii, postrzeganej jako duży pakiet różnych praktyk i działań, wybiera to, co mu się podoba. Siega po poszczególne elementy, nie bierze całego zestawu – tłumaczy Sierocki.

W przypadku Zetek ten proces się pogłębia. Ma na to wpływ kilka spraw. – Zetki są pokoleniem dzieci millenialsów, więc jeżeli rodzice już tak rozpakietowali religię, siłą rzeczy to się tylko pogłębia. Jednocześnie Zetki nastawione są na samorozwój. Świadomie dobierają to, co im pasuje. Więc trudno, żeby im pasowała religia jako instytucja społeczna, pewna organizacja, która ma spewien zestaw norm, nakazów i zakazów, wymaga wspólnotowego działania, myślenia, wspólnotowych zachowań. To Zetkom-indywidualistom zwyczajnie nie pasuje.

Socjolog też zwraca uwagę na to, jak ważna w rozwoju i ukształtowaniu pokolenia Z okazuje się wszechobecność technologii cyfrowych. – Jeszcze kilka pokoleń temu dominującymi mediami była telewizja czy radio, media wspólnotowe, które się oglądało wspólnie. Nie w sensie siedzenia razem przed telewizorem. Chodzi o to, że one dostarczały jeden w miarę spójny przekaz.

Zestawy wartości mogły się różnić w zależności od kraju czy danej stacji, były telewizyjnie konserwatywne i liberalne, tu le-

ciała telenowela, tam program religijny, a dwa kanały dalej w kablówce MTV z (ni-by) rebelianckim, obrazoburczym przekazem – ale zestaw obrazów, opisywanych zjawisk, spraw angażujących tzw. debatę oraz, co ważne, mówienia o nich, był zbliżony. – A dziś każdy, za pomocą smartfona, ma dostęp do takich treści, do jakich docierać. A te spoza jego zainteresowań czy poglądów może w ogóle wyprzeć z pola widzenia. Sposób myślenia kształtowany jest w dużym stopniu indywidualnie.

I kolejne, nakładające się na powyższe, zjawisko: młodzi ludzie już od kilkunastu lat coraz rzadziej uczestniczą w praktykach religijnych. Co będzie się tylko pogłębiać wskutek słabnących relacji międzypokoleniowych. – Niegdyś rodziny mieszkaly bliżej siebie, dziadkowie mieli częstszy kontakt z wnukami, a to właśnie oni często odpowiadali za wychowanie religijne najmłodszego pokolenia. Niekoniecznie chodziło o głęboką wiarę, ale o nawyk praktykowania, chodzenia do kościoła. Teraz, gdy młodzi ludzie mieszkają z dala od dziadków, ta transmisja wartości nie następuje – mówi socjolog.

Co prawda znów coraz częściej mieszkają z rodzicami – głośne zjawisko „gniazdowników”, pozostających w domu rodzinnym lub doń wracających po nieudanej próbie usamodzielnienia się bez zdolności kredytowej – ale patrz punkt wyżej: rodzice nawyków religijnych nie przekażą, bo sami się ich wyzyli.

Czy to źle? – pytam. Bo coraz więcej mówi się o tym, że szeroko rozumiane tradycje, w których kiedyś widzieliśmy głównie wymiar opresyjny i głaższachtujący, dziś – w czasach baumanowskiej „płynnej ponowoczesności”, niepewności, co jest fejkkiem, a co prawdą, fali nieustannych zmian – mogą okazać się azylem.

Sierocki: – Odpowiem jako socjolog patrzący na perspektywę Kościoła. Kościół to system społeczny, który jak każdy system społeczny, jest zainteresowany przede wszystkim odtwarzaniem warunków swojego istnienia. Jeżeli jest coraz mniej wierzących, coraz mniej młodych ludzi zainteresowanych religijnością kościelną, to dla Kościoła jako instytucji społecznej źle. Ponieważ pod znakiem zapytania stoją warunki odtworzenia tego systemu.

Rzecz w tym, że młodzi odchodzą od Kościoła, ponieważ w ich optyce ta instytucja nie przestrzega zasad, które sama narzuca. – A gdy o millenialsach możemy mówić, że konsumpcją zastępują religię, to pokolenie Z jest skoncentrowane na autentyczności. Ono wyłapuje fałsz, szuka, nie zadowala się prostymi wyjaśnieniami. Mimo tego, a może właśnie dlatego, że żyje w dużym stopniu w świecie zapośredniczonym, wirtualnym, w tej przestrzeni cyfrowej, w tym pokoleniu bardzo ważnym trendem jest poszukiwanie prawdziwości – analizuje Sierocki. Siłą rzeczy są wyczuleni na problem Kościoła z autentycznością.

●
Co w zamian? Dr Sierocki mówi o koncentrowaniu się na swoich myślach i emocjach. To dlatego młodzi chętnie sięgają po jogę czy modne pojęcie mindfulness.

Niedawno robił analizę zagranicznej prasy traktującej o najważniejszych trendach przyszłego roku, starając się wyłapać fragmenty o duchowości. Uderzyło go, jak często pojawiał się termin „well-being”. – Taki w szerokim ujęciu, rozumiany jako dbałość o rozwój umysłowy, intelektualny oraz o ciało. Pokolenie Z podchodzi do tych kwestii poważnie i świadomie. Dlatego coraz więcej osób z tego pokolenia nie pije alkoholu, stroń od używek.

Socjolog zwraca uwagę na jeszcze jedną interesującą kwestię, która mówi tyleż o pokoleniu Zet, ile o postrzeganiu go i sposobie myślenia starszych pokoleń. – Zetki odchodzą od religii, ale to nie jest pokolenie ateistów. U nich nie ma „albo albo”. Istnieje jakaś sfera pomiędzy. Jest taka kategoria „no-nes”, osoby, które jej używają, starają się być poza wiarą i niewiarą. ●

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ” SPECJALNE WYDANIE

wyborcza

PROSTO Z POLSKI

TYGODNIK

Piątek,
27 grudnia 2024

Imieniny obchodzą:
Ariam, Ewa

Redaktor prowadzący:
Dariusz Kortko



24
STRONY

Samorządy i media

Jeden słuszny przekaz

Wydawcy gazet od lat protestują, bo lokalna władza – bez względu na opcje polityczne – rozpycha się na medialnych rynkach i przedstawia zakłamaną obraz rzeczywistości. W miastach, które opisują gazety należące do samorządów, rzeczywistość jest po prostu wspaniała. Drogi się budują, kwiatki kwitną, a prezydent jest doskonały. **► 6-7**

Klasa Średnia z Warszawy

Masło robimy w Termomiksie

Robert ma 35 lat, razem z żoną zarabiają miesięcznie 13 tys. zł na rękę. – Żyjemy na styk, nie oszczędzamy, wszystko wydajemy. Wiem, to dziwne, ale nie mamy dzieci, za to mamy w kuchni Thermomix i dwa razy w roku jeździmy na zagraniczne wakacje. Nawet 500 zł w miesiącu nie jesteśmy w stanie odłożyć – przyznaje. ► 9

Praca

Czyściłem internet z pornografii

Przez ponad rok Marek pracował w firmie, która zajmowała się przeczyszczaniem internetu pod kątem treści nielegalnych, niemoralnych i niebezpiecznych. Był moderatorem filmów, najstraszniejsze blokował. Miesięcznie zarabiał około 6 tys. zł na rękę. W końcu zrezygnował z tej pracy, bo obciążenie psychiczne było zbyt duże. **10-11**

Moda

Szpilki do biura i do łóżka

Zanim Adam Warcholiński zaczął produkować szpilki, sam w nich chodził. Dowiedział się, że najbardziej bołą palce i podbicie stopy. Wpłyn na to ma złe dobrana tęgosc butów. Włoszki mają drobne stopy, a polscy producenci korzystają zwykle z włoskich kopyt. I potem Polki męczą się w zbyt wąskich butach. ►16

Na co miasta wydadzą miliardy z Krajowego Planu Odbudowy?

Polska się zmienia, ale kto jeszcze dzisiaj słucha architektów?

Drożyzna dotyka klasę średnią. Czas zacząć oszczędzać

Co dzisiaj robią działacze Komitetu Obrony Demokracji?

Chcesz się skutecznie odchudzić. Liczenie kalorii niewiele daje

Katarzyna Staszak

Lapach błyskawicznie wyluskuje wspomnienia z naszej pamięci. – Możemy nie wiedzieć, czym perfumy pachną, ale wiemy, z czym nam się kojarzą i czy nam się ten zapach podoba. To, co dla nas jest piękne, dla innej osoby może być odpychające, bo jakiś składnik zapachu przypomina jej coś nieprzyjemnego. Poza tym nasze preferencje zapachowe związane są z naszym profilem genetycznym – mówi psycholożka Agnieszka Sorokowska, profesorka Uniwersytetu Wrocławskiego.

Zajmuje się zmysłem węchu w komunikacji interpersonalnej. Czyli tym, co psy robią, gdy spotkają się na trawniku, a co my robimy dyskretniej. Nie doceniamy swoich nosów. A jeśli już kierujemy się tym, co mówi nam węch, to raczej nieświadomie.

W jednym ze swoich badań prof. Sorokowska pobrała od grupy osób próbki naturalnego zapachu skóry. Ta grupa wypełniła też testy osobowości. Druga grupa osób wahała zebrane próbki i przy każdej określała na formularzu, jaki poziom neurotyzmu i dominacji ma dawca danego zapachu.

– Uczestnicy badania potrafili dość trafnie oceniać te cechy osobowości po zapachu. Potrafili określić, czy ktoś jest wrażliwy, podatny na zranienie, neurotyczny, a kto lubi dominować w grupie. Wszystko się zmieniło w drugim teście, gdy naturalny zapach skóry przykryliśmy kosmetykami. Nosy nie były już w stanie określić, kto jest bardziej, a kto mniej zrównoważony emocjonalnie. Dominacja jednak wciąż była do wykrycia – opowiada prof. Sorokowska.

Prezent numer jeden

Kosmetyki, w tym perfumy, to w Polsce najczęściej kupowane prezenty pod choinkę. Wybiera je 38,5 proc. badanych, na drugim miejscu są zabawki (34 proc.) – wynika z najnowszego raportu agencji badawczej IBRIS.

Zapach może być idealnym prezentem, choć ryzyko, że nie trafimy w preferencje, jest spore. Czasem to jednak dobra wróżba.

**Zetki gromadzą
perfumy jak
skarpetki.
Inaczej
pachną
rano,
inaczej
na randce,
inaczej
na uczelni.**

Wlandrynkowe

– Skoro wpływ na wybór zapachu mają geny, to osoby o różnym genotypie zdecydują się na inne perfumy. A odmienne geny dają większą szansę na zdrowe potomstwo. Jeśli więc partner czy partnerka kupuje nam zapach, którego sami byśmy nie wybrali, można uznać, że szansa na spłodzenie zdrowego dziecka jest większa. To wnioski naukowców zajmujących się biologią ewolucyjną – mówi prof. Sorokowska.

Badania wykazały, że to węch w dużej mierze decyduje o tym, kogo uważamy za osobę atrakcyjną seksualnie. I są to osoby, które różnią się od nas głównym układem zgodności tkankowej. Według biologów ta zapisana w zapachu informacja pomaga zwierzętom uniknąć ciąży z osobnikiem zbyt podobnym genetycznie. Czy pachnie badaczka węchu? – Aktualnie niczym, bo mam małe dzieci. Wiem, jak silnym bodźcem jest zapach, więc w ciąży zrezygnowałam z używania perfum – tłumaczy prof. Sorokowska.

FOT. YACOBCHUK/GETTY IMAGES

MILKOMEDA, A DALEJ WIELKIE

NIC

Kosmiczna
opowieść
wigilijna

Piotr Cieśliński

• Filary
Stworzenia
– słupy między-
gwiazdowego
skoncentrowa-
nego pyłu i gazu.
Znajdują się
w centrum
Mgławicy Orzeł
w gwiazdozborze
Węża, około
6 500 lat świetl-
nych od Ziemi.
Ich astrofotogra-
fię wykonano
w 1995 roku
za pomocą
Kosmicznego
Teleskopu
Hubble'a

FOT. NASA



Astrofizycy bezradnie rozkładają ręce: istnieje rozbieżność między tempem, w jakim Wszechświat się rozszerza, a tempem, w jakim powinien się rozszerzać. To może niewielka różnica, mała chmurka rzucająca cień na kompletność naszej wiedzy, ale od ponad dekady nie udaje się jej rozproszyć. Ta niezgodność nie daje astrofizykom spać, a nawet więcej – jedna z konferencji temu poświęcona w tytule mówiła wręcz o „ból głowy”.

Przypomina to trochę początek XX w., kiedy słynny lord Kelvin na międzynarodowym kongresie fizyki przyznał, że jest w tej dziedzinie kilka niewielkich problemów wciąż niewyjaśnionych, nazywając je obłóczkami, które przesłaniają klarowny obraz świata. A mówił to ledwie pięć lat przed opublikowaniem teorii względności Einsteina i narodzinami fizyki kwantowej.

Nowe odkrycia wywróciły wtedy także kosmologię. Dokonał tego amerykański astronom Edwin Hubble, który dla codziennego, a raczej nocnego widoku gwiazd zrezygnował z obiecującej kariery lekkoatlety, koszykarza, boksera wagi ciężkiej oraz prawnika. „Wolę być drugorzędnym astronomem – stwierdził po trzech latach studiowania prawa na Oksfordzie – niż pierwszorzędnym prawnikiem”.

Hubble w 1929 r. opublikował w czasopiśmie amerykańskiej Narodowej Akademii Nauk wyliczenia, z których wynikało, że widoczne na niebie mgławice (tak wtedy nazywano galaktyki) oddalają się od nas z tym większą prędkością, im są dalej. Nie był pierwszym, który to zauważył, ale jako pierwszy pokazał bezsporne dowody. Jednym z oczywistych wniosków, który płynął z ucieczki galaktyk, było to, że kiedyś musiały być bliżej siebie, a w dalekiej przeszłości cała materia mogła być wręcz ekstremalnie stłoczona i zagęszczona.

Czegoś nie wiemy o Wszechświecie, coś nam umyka, ale nawet nie wiemy, czego nie wiemy

Sam Hubble sugerował, że jego obserwacje są w zgodzie z kosmologicznym modelem Willema de Sittera, dyrektora obserwatorium astronomicznego w Lejdzie, który przedstawił jedno z pierwszych rozwiązań równań Einsteina dla przestrzeni kosmicznej. Według modelu de Sittera Wszechświat rozszerza się w sposób wykładniczy (gwałtowny), bez początku i bez końca. Nie było w nim więc miejsca na Wielki Wybuch, ale był kluczowy parametr opisujący kosmos do dzisiaj – stała proporcjonalności między odległością galaktyk a prędkością ich ucieczki. Obecnie nazywamy ją stałą Hubble’a.

Trzeba tu zastrzec, że z tego powszechnego exodusu wyłączona jest garstka najbliższych nam galaktyk w promieniu mniej więcej 10 mln lat świetlnych. One – m.in. Obłoki Magellana czy Wielka Mgławica w Andromedzie – nie oddalają się od nas. Andromeda nawet zbliża się z wielką prędkością. Jesteśmy bowiem ze sobą mocno grawitacyjnie związani. Tworzymy tzw. Grupę Lokalną, czyli gromadę galaktyk, które trzymają się razem na przekór rozszerzającej się przestrzeni.

Dalsze gromady i galaktyki jednak z każdą sekundą są coraz dalej. Ba, na przełomie stuleci nowe pomiary jasności supernowych wykazały, że od mniej więcej 5 mld lat przestrzeń kosmiczna rozszerza się w sposób przyspieszony. To oznacza, że stała kosmologiczna, którą Einstein wprowadził do pierwszej wersji swoich równań,

ale się potem z tego wycofał, wcale nie była błędem. Pusta przestrzeń, jaka oddziela gromady galaktyk, powiększa się w stale rosnącym tempie.

Kilkanaście lat temu Lawrence Krauss i Robert Scherrer opisali zaskakujące tego konsekwencje – miałyby one oznaczać, że za 100-150 mld lat z naszego pola widzenia znikną wszystkie galaktyki poza tymi, które wchodzą w skład naszej Grupy Lokalnej.

Dwa biliardy galaktyk – na tyle jest dziś szacowana ich liczba w dostępnym teleskopom Wszechświecie – przepadnie w ciemnościach kosmosu. Odseparuje nas od nich pusta przestrzeń, która w dodatku będzie przyrastać szybciej niż prędkość, z jaką porusza się światło – bo Einsteinowski zakaz dla prędkości większych niż światła nie dotyczy rozszerzającej się przestrzeni. A więc obraz tych galaktyk nie będzie miał nigdy szansy dolecieć do Ziemi. Na zawsze stracimy kontakt z innymi wyspami gwiazd, a one z nami.

Jeśli wiedza, jaką dzisiaj gromadzimy, z jakiegoś powodu przepadnie, przyszłe pokolenia (albo cywilizacje, która przyjdą po nas) nie będą miały szansy odkryć prawdy o gorącym starcie czy prawdziwych rozmiarach Wszechświata. Całym dostępnym obserwacjom kosmosem będzie potężna Milkomeda – stara galaktyka eliptyczna, która wyłoni się ze zderzenia Drogi Mlecznej z Galaktyką Andromedy i w czasie kolejnych miliardów lat stopniowo pochłonie garstkę pozostałych galaktyk Grupy Lokalnej. Poza Milkomedą aż po kosmiczny horyzont będzie rozciągać się wielkie nic.

Przyszli kosmologowie nie będą mieli żadnej przesłanki wskazującej na to, że kosmos miał gorący początek i się rozszerza. Znikną ślady po Wielkim Wybuchu i wywołanej tym ekspansji przestrzeni. Przyszłym

astronomom Wszechświat będzie się wydawał niezmienny i statyczny – bez widocznego początku, choć z przewidywalnym końcem.

Gwiazdy Milkomedy będą się starzeć i wypalać, centralna supermasywna czarna dziura najpierw się rozrośnie i wszystko pochłonie, a potem powoli wyparuje (kwantowo, emitując promieniowanie Hawkinga). Na koniec promieniowanie się rozproszy, co będzie oznaczać śmierć ciepłą Wszechświata. Zajmie to niewyobrażalną liczbę lat, ale i tak nie będzie komu (ani czym) odmierzać wtedy czasu.

Ta prognoza się spełni, jeśli nasza wiedza o tym, co napędza ewolucję Wszechświata, jest w miarę kompletna, a to nie jest pewne. Jeden z puzzli uparcie nie chce wpchnąć na miejsce. A próby jego wpełnienia na siłę kończą się wywróceniem całej układanki.

Tym niepasującym puzzlem jest stała Hubble’a, której wartość jest przedmiotem sporów od samego początku, czyli od czasów Hubble’a. Wielki astronom pomylił się w wyliczeniu prędkości ucieczki mgławic, przesadził z szybkością rozszerzania się przestrzeni kosmicznej blisko dziesięciokrotnie. Gdyby jego pomiary i obliczenia brać za dobrą monetę, Wszechświat byłby dużo młodszy od swoich najstarszych gwiazd, co jest absurdem. Trudno jednak go winić, bo pomiar stałej Hubble’a wcale nie jest prosty. Nawet dzisiaj, kiedy mamy do dyspozycji kosmiczne teleskopy i spektroskopy.

Prędkość, z jaką oddalają się galaktyki, można wprawdzie dość łatwo ustalić na podstawie przesunięcia ich światła ku czerwieni (wykorzystując znany efekt Dopplera). Trudność jednak sprawia zmierzenie ich odległości od Ziemi. Pomiar bezpośredni – trygonometryczny za pomocą paralaksy – jest możliwy dla gwiazd oddalonych maksymalnie o tysiąc parseków (ok. 3,3 tys. lat świetlnych), a więc tylko w naszym najbliższym sąsiedztwie. Galaktyki położone są zaś miliony lat świetlnych od Ziemi. Trzeba więc radzić sobie inaczej.

Dzisiejsi astronomowie, tak jak Edwin Hubble, do pomiarów odległości wykorzystują „linijkę”, którą na początku XX w. przyszykowała Henrietta Leavitt, głucha od dzieciństwa córka pastora zatrudniona na Harvardzie w roli obliczeniowca.

Leavitt chciała być astronomką, ale w tych czasach na Harvardzie nie dopuszczano kobiet do teleskopów, za to zatrudniano je chętnie do wykony-

• Kosmiczny Teleskop Hubble'a krąży po orbicie ziemskiej w 1990 r. Umieścił go tam prom kosmiczny Discovery. FOT. NASA



wania żmudnych ręcznych rachunków. Słęczyły nad setkami zdjęć nieba utrwaloneymi na szklanych płytkach i mozolnie zliczały plamki gwiazd. Ktoś to musiał policzyć, a elektronicznych mózgów jeszcze nie było (w języku angielskim o tych rachmistrzaniach mówiło się „computers”, a więc dosłownie „komputery”).

Na zdjęciach Obłoków Magellana Henrietta Leavitt wypatrzyła ponad tysiąc gwiazd, które zmieniały blask. Zauważyła przy tym, że niektóre z nich – olbrzymie ceфеidy – pulsują w rytmie, który zdradza ich prawdziwą jasność. Te wolniej pulsujące są jaśniejsze. Wystarczyło zatem porównać ich jasność absolutną z jasnością obserwowaną z Ziemi, aby ustalić, jak daleko się znajdują, bo wiadomo, że obserwowana jasność maleje z kwadratem odległości. Od tej pory ceфеidy są liniijką albo, jak mówią astronomowie, „świecą standardową”, którą odmierza się kosmiczne odległości w promieniu 100-120 mln lat świetlnych.

Nieco dalsze odległości, do mniej więcej miliarda lat świetlnych, mierzy się za pomocą innej liniijki – supernowych typu Ia. To eksplozje, które zdarzają się dość regularnie we wszystkich galaktykach i przebiegają zawsze ze zbliżoną mocą i jasnością. Wiele wskazuje na to, że w ten sposób wybuchają białe karły, gdy ich masa przekroczy granicę Chandrasekhara – 1,44 masy Słońca.

Przeprowadzone za pomocą obu liniijek pomiary dają stałą Hubble’a, która wynosi 73 km/s na każdy megaparsek. To oznacza, że dwa punkty przestrzeni kosmicznej, które dzieli odległość megaparseka (3,3 mln lat świetlnych), oddalają się od siebie z prędkością 73 km/s. Z dokładnością do 1 km/s, bo taki jest błąd ostatnich, opublikowanych na początku mijającego 2024 roku pomiarów. Z taką prędkością rozszerza się teraz kosmos w promieniu kilkuset lat świetlnych do Ziemi. Jak jest w dalszych zakątkach Wszechświata? Przypuszczamy, że tak samo, zgodnie z zasadą kopernikańską, która mówi, że nie znajdujemy się w wyróżnionym i szczególnym miejscu w kosmosie.

Tak naprawdę jednak nie mamy pojęcia – co okaże się istotne w dalszej historii. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Pod koniec zeszłego wieku kosmolodzy opracowali całkiem inną metodę obliczania stałej Hubble’a. Ona bazuje na obserwacjach mikrofalowego promieniowania tła – ciepłego promieniowania gorącej plazmy, która wypełniała młody Wszechświat mniej więcej 400 tys. lat po Wielkim Wybuchu.

Promieniowanie odkryli w 1965 r. zupełnym przypadkiem Arno Penzias i Robert Wilson, którzy testowali nową antenę zbudowaną przez inżynierów Bell Telephone Laboratory w New Jersey. Antena uporczywie szumiała, niezależnie od tego, w którą stronę była skierowana i w co celowała. Para radioastronomów nie mogła się pozbyć tych zakłóceń, choć próbowała wszystkiego, łącznie z wyczyszczeniem urządzenia z odchodów gołębi. Dopiero astrofizycy z Princeton, którzy dowiedzieli się o tym „szumie”, domyśliли się, co się za nim kryje, bo już od pewnego czasu szukali reliktu z wczesnej, gorącej epoki Wszechświata. Komitet Noblowski wyszedł z założenia, że takie przypadki zdarzają się tylko najlepszym, i przyznał Penziasowi i Wilsonowi Nobla z fizyki.

Cenna nagroda oddaje wartość, jaką to odkrycie miało dla kosmologów. Prastare promieniowanie, choć osłabło i oziębiło się do ledwie 2,7 stopnia K, okazało się kopalnią informacji o wczesnym kosmosie.

Po pierwsze, drobne różnice w jego temperaturze, rzędu jednej stutysięcznej stopnia, pokazywały nierówności w gęstości plazmy, jaka wypełniała niemowlęcy kosmos. Plazma była pomarszczona jak powierzchnia jeziora przy lekkim wietrze, i to

z tych zmarszczek narodziły się galaktyki, gwiazdy, planety i w końcu my sami.

W plazmie rozchodziły się także fale akustyczne, Wszechświat wzmacniał niektóre z nich jak pudło rezonansowe. Składowe harmoniczne tej „muzyki sfer”, ich częstość i amplituda, zależą m.in. od składu i gęstości materii oraz zakrzywienia czasoprzestrzeni. Z mikrofalowego promieniowania tła można więc czytać jak z nut.

Astrofizycy mogli na tej podstawie wyznaczyć i dobrać parametry najbardziej aktualnego modelu kosmologicznego, który opisuje budowę Wszechświata, m.in. proporcje nieznaney ciemnej materii oraz ciemnej energii.

Model ten – stanowiący naukowy konsensus w kosmologii – nosi nazwę Lambda-CDM. Lambda to nazwa stałej kosmologicznej Einsteina – kryje się za nią ciemna energia, której ciśnienie powoduje przyspieszone puchnięcie przestrzeni. A CDM oznacza „zimną” ciemną materię (cold dark matter), czyli złożoną z cząstek powolnych. Zbyt szybkie, tj. ciepłe, nie zagęściliby się i nie zbudowały kosmicznego stelażu, na którym mogły oprzeć się galaktyki.

Zwykłej materii – tej znanej nam z Ziemi – jest mniej więcej pięć razy za mało, aby pod wpływem własnego ciężenia mogła samodzielnie się skupić i stworzyć wielkoskalowe struktury Wszechświata – supergromady, gromady i galaktyki, jakie obecnie widzimy w teleskopach.

Za 100-150 mld lat z naszego pola widzenia znikną prawie wszystkie galaktyki

Co istotne, równania ogólnej teorii względności Einsteina pozwalają precyzyjnie prześledzić, jak z lekko pomarszczonej gorącej kuli plazmy po 14 mld lat wyrósł obserwowany obecnie Wszechświat.

Ta ekstrapolacja oparta na najdokładniejszych pomiarach promieniowania tła, które wykonała europejska sonda Planck w roku 2013, przewiduje, że obecny Wszechświat powinien rozszerzać się z szybkością 67,4 km/s na megaparsek. I w tym wypadku niepewność jest mniejsza niż 0,5 km/s.

Mamy więc dzisiaj dwie otrzymane różnymi metodami wartości stałej Hubble’a: 73,0 km/s oraz 67,4 km/s. Te liczby nie chcą się zbliżyć mimo wysiłków dużych zespołów najlepszych astrofizyków, którzy korzystają z coraz lepszych metod obliczeniowych i obserwacyjnych.

Niektórzy mieli nadzieję, że problem rozwiąże wystrzelony niedawno kosmiczny teleskop Webba, który miał poprawić obserwacje i pomiary jasności ceфеid. Nic z tego. Nowy teleskop potwierdził – tyle że z jeszcze większą precyzją – że lokalnie, w promieniu kilkuset milionów lat świetlnych Wszechświat rozszerza się szybciej, niż to wynika z przewidywań najlepszego modelu kosmologicznego. A model Lambda-CDM opiera się na całej naszej obecnej wiedzy o materii i energii, jaka wypełnia kosmos, oraz prawach nimi rządzących.

Astrofizycy nazywają to napięciem między wczesnym i późnym Wszechświatem, a w skrócie napięciem Hubble’a, bo pomiary jasności ceфеid i supernowych dotyczą najbliższej okolicy, a więc przedstawiają stan na „dziś”. Natomiast drugi pomiar (przewidyujący niższe tempo rozszerzania się kosmosu) odnosi się do niemowlęc-

go Wszechświata, 400 tys. lat po Wielkim Wybuchu, kiedy jeszcze nie było galaktyk i przestrzeń wypełniała rozgrzana do kilku tysięcy stopni plazma.

Mimo że kolejne kampanie obserwacyjne zbierają coraz dokładniejsze dane, zawężając obszar możliwych błędów pomiarowych, napięcie Hubble’a nie maleje. Poświęcane są mu kolejne konferencje i prace naukowe, ale anomalia nie znika. Niektórzy już mówią, że to nie napięcie, ale kryzys pełną gębą.

Co to wszystko może oznaczać? Prawdopodobnie coś przegapiamy, o czymś istotnym nie wiemy. Ponad 10 lat temu sekretarz obrony USA Donald Rumsfeld w kontekście wojny w Iraku wypowiedział zdania, które przeszły do historii dyplomacji, ale znakomicie też mogą obrazować obecny stan wiedzy o Wszechświecie: „Mamy znane wiadomości. Rzeczy, o których wiemy, że je wiemy. Wiemy również, że istnieją znane niewiadomości. Innymi słowy, wiemy, że są pewne rzeczy, których nie wiemy. Ale są również nieznanie niewiadomości – takie, o których nie wiemy, że ich nie wiemy.”

Rozbieżność w wyliczeniach stałej Hubble’a może wskazywać, że umyka nam jakaś nieznana niewiadoma. Bo wszystko, co wiemy, ale też wszystkie znane nam niewiadomości (takie jak ciemna materia i ciemna energia) zostały już wzięte pod uwagę i przeana-

Pod uwagę brana jest także zmiana lub modyfikacja ogólnej teorii względności Einsteina. Tak się wszak stało z jej poprzedniczką – teorią Newtona – kiedy nie poradziła sobie z wyjaśnieniem precesji peryhelium orbity Merkurego.

Co ciekawe, kandydatką na nową teorię grawitacji jest zmodyfikowana dynamika newtonowska MOND (od *modified newtonian dynamics*). Teoria MOND pozbywa się ciemnej materii, bo przypisywane jej efekty wyjaśnia za pomocą nowej formuły dla siły grawitacji. To jest jej wielką zaletą, bo poszukiwania ciemnej materii na Ziemi na razie nie przynoszą rezultatów. Częstki tej materii są jak duchy – niby powinniśmy je mieć przed sobą na wyciągnięcie ręki, ale wszelkie próby ich złapania kończą się jak dotąd porażką.

Problem w tym, że teoria MOND wprawdzie wyjaśnia niektóre zagadki, ale nie jest spójna ze wszystkimi obserwacjami. Tymczasem teoria Einsteina jak na razie wychodzi bez szwanku z wszelkich testów, jakim jest poddawana na Ziemi i w jej okolicach. Szkoda byłoby ją porzucać zbyt pochopnie, na to jeszcze za wcześnie.

Zmarły już znakomity astrofizyk Carl Sagan mawiał, że „nadzwyczajne twierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów”.

Dlatego spora część społeczności astrofizyków nie chce gmerać przy parametrach modelu kosmologicznego i teorii Einsteina. Wierzą w to, że jednak popełniamy jakiś systematyczny błąd w pomiarach odległości galaktyk. Próbowane są więc nowe kosmiczne „linijki” – np. bardzo jasne gwiazdy z końcówki gałęzi czerwonych olbrzymów.

Jedna z hipotez tłumaczy napięcie Hubble’a tym, że znajdujemy się w wyjątkowym miejscu Wszechświata – a mianowicie w gigantycznej pustce, obszarze, gdzie przypadkiem jest znacznie mniej galaktyk, niż stanowi kosmiczna średnia. Dzięki temu nasza okolica rozszerza się szybciej niż reszta kosmosu. Tak jak nadmuchiwany balon, który szybciej wybrzusza się w tych miejscach, gdzie guma jest najcieńsza. Galaktyki i gromady galaktyk w takiej pustce są bowiem przyciągane do bardziej zasobnych w materię obszarów, a więc „wypływają” z pustki na zewnątrz. To dodaje im prędkości i dlatego z lokalnych pomiarów wychodzi nam za duża stała Hubble’a.

To nie byłoby aż tak nieoczekiwane. Wiadomo, że galaktyki i gromady nie są jednorodnie rozmieszczone w kosmosie. Skupiają się długie i wąskie włókna, zwane supergromadami, które przecinają się i tworzą gigantyczną kosmiczną sieć. Niewykluczone, że w naszym lokalnym sąsiedztwie kosmiczna tkanina utkana z supergromad ma rzadsze włókna, a może nawet tkwią w niej olbrzymie pustki „oczka”.

Jedna z takich olbrzymich pustek została odkryta w konstelacji Erydana. Wiele obserwacji wskazuje, że w naszym rejonie kosmosu jest także dość pusto. Ta lokalna dziura ma nawet już swoją nazwę – „pustki KBC” na cześć trzech astronomów Ryana Keenana, Amy Barger i Lennox Cowie, którzy badali to w 2013 r. Jej średnica wynosi ok. 3 mld lat świetlnych, a Droga Mleczna znajduje się kilkaset tysięcy lat świetlnych od jej centrum.

Gdyby to się potwierdziło, kryzys Hubble’a zostałby zażegnany, chociaż... niekoniecznie. Bo istnienie takich wielkich pustek w modelu kosmologicznym Lambda-CDM jest bardzo mało prawdopodobne. Co może oznaczać, że ewolucja Wszechświata jednak wyglądała inaczej, niż to sobie wyobrażamy.

Napięcie Hubble’a, mała chmurka na klarownym obrazie świata, może więc oznaczać nadchodzącą burzę, która wstrząśnie podstawami astrofizyki i kosmologii. Tak czy owak to świetna wieść dla młodych fizyków, którzy rozpoczynają studia. Mogą być pewni, że czeka ich wspaniała przygoda. ●

Zrobiłem POLSCĘ reklamę

Najważniejsze, że sami Polacy uznali ten film za swój,
przez co poczułem, że i mnie uznali za swego
– mówi pochodzący ze Słowenii reżyser Mitja Okorn



Z REŻYSEREM I SCENARZYSTĄ
MITJĄ OKORNEM
ROZMAWIA
MAJA STANISZEWSKA

Mając 30 lat, przeszedłeś do historii polskiej kinematografii jako reżyser „Listów do M” – pierwszej polskiej komedii świątecznej. Do tego takiej, którą obejrzało w kinach 2,5 mln widzów.

– Gdy film wszedł do kin, chodziłem go oglądać z ludźmi, słuchałem, kiedy się śmieją, patrzyłem, czy się wzruszają, potem podśluchiwałem, co mówią. Nie ma nic piękniejszego niż film w kinie, który ludzie razem oglądają, a potem o nim rozmawiają.

Najciekawsza rzecz spotkała mnie w Słowenii, gdzie „Listy do M.” stały się jednym z najbardziej oglądanych filmów w jej 33-letniej historii. Jest taka scena, w której Kasia Zielińska, czyli Betty, tuli swojego nowo narodzonego synka Kazika i mówi do niego: „Całe życie na ciebie czekałam”. W kinie była cisza, a po chwili słyszę falę pocałunków, ludzie sobie szepotali: „Kocham cię”.

Zrobiłem Polskę reklamę, dziś w Słowenii ludzie oglądają w święta „Kevina samego w domu” i różne części „Listów do M.”. Jeździłem zresztą z filmem po całym świecie i świetnie było słuchać, że ludzie nie zna-

li Polski od tej strony, że mieli o niej równie nefajne wyobrażenia, co kiedyś ja. Pewnie dlatego, że choć za granicę trafiają dobre polskie filmy, to raczej te opowiadające o trudnych tematach, na przykład o wojnie albo biedzie. A u mnie piękni ludzie, piękna Polska, Warszawa jak Nowy Jork – wiele razy to słyszałem.

Ale najważniejsze, że sami Polacy uznali ten film za swój, przez co poczułem, że i mnie uznali za swego. Poczułem, że znalazłem dom, że już nie jestem imigrantem, przynajmniej filmowym. Stałem się polskim reżyserem. Nawet jak kręciłem w Hollywood, bo i tam „Listy do M.” otworzyły mi drzwi, mówili na mnie per polski reżyser.

Zostałeś Polakiem?

– Nie mam obywatelstwa, dwa razy występowałem i dwa razy nie dostałem. No raz mi się zrobiła przerwa w mieszkaniu w Polsce, bo pojechałem na trzy lata do Los Angeles, ale znów zaraz będzie pięć lat tutaj, więc znów wystąpię.

Jakie było pierwsze słowo, którego się nauczyłeś po polsku?

– „Zajebiście”. Choć nie było całkiem pierwsze, tego nie pamiętam, ale pierwsze, które polubiłem. Na planie serialu „39 i pół” Tomek Karolak uczył mnie różnych prze-

kleństw, bo to przecież śmieszne, jak obco-krajowiec klnie po polsku.

A jaki jest słoweński odpowiednik „zajebiście”?

– Ja bym powiedział „fucking cool”. W słoweńskim mamy dużo przekleństw, ale nie naszych. Jako była Jugosławia wzięliśmy po trochu od każdego: Serbów, Bośniaków, Chorwatów, Czarnogórców.

Szczególnie Serbowie mają fantazję w tej kwestii, ich przekleństwa bywają piętro i bardzo wulgarne.

Mitja Okorn

• ur. w 1981 r. w słoweńskim Kranju scenarzysta, reżyser i producent filmowy. Zadebiutował w 2005 roku niezależnym filmem „Tu pa tam”. W 2007 roku przyjechał do Polski, by reżyserować serial „39 i pół”. W 2011 roku wyreżyserował „Listy do M.”, pierwszą polską komedię świąteczną, która doczekała się pięciu kontynuacji. Najnowszą, „Listy do M. Pożegnania i powroty”, wciąż można oglądać w kinach. Okorn ma na koncie także „Planetę singli” (2016), nakręcony w Hollywood film „Rok na całe życie” (2020) z Carą Delevingne i Jadenem Smithem oraz „Boksera” (2024).

Słowenia leży na granicy Bałkanów, obok mamy Austrię i jesteśmy trochę takimi uporządkowanymi austriackimi nudziarzami, a trochę jednak wdziera się ten bałkański chaos.

„Zajebiście” jest też takie na granicy – niby to przekleństwo, ale jednak urocze. Dobrze mnie definiuje. Na co dzień używam też kilku innych, w tym chyba najbardziej uniwersalnego, takiego z mocnym „r”. Dobrze wypuszcza emocje. Zresztą jak się już raz nauczysz, to te przekleństwa idą z tobą przez życie. Ja wciąż jestem w sercu 16-letnim skejtem, więc mi pasują.

Skejtem z Kranja. Co to za miejsce?

– Piąte największe miasto w Słowenii, co oznacza 40 tys. mieszkańców. Gdy tam teraz jeżdżę, to mi smutno, że jest takie małe, bo przyzwyczailem się do dwuipółmilionowej Warszawy. To tylu mieszkańców, co cała Słowenia.

W Kranju mam poczucie, że czas się zatrzymał. Ja poszedłem dużo dalej, a tam wszystko to samo, nawet knajpy. Choć może też Kranj mnie ukształtował, bo nikt z Lublany nie traktował mnie poważnie.

Na wszystko musiałem zasłużyć, musiałem się wykazać. I to jest stałe w moim życiu. Najpierw musiałem udowodnić Lublanie, że jestem kimś, Słowenii – że jestem

kimś, Warszawie – że jestem kimś, Polsce – że jestem kimś, Los Angeles – że jestem kimś, Hollywood – że jestem kimś.

Kim chciałeś być, gdy byłeś małym chłopcem?

– Slashem z Guns N’ Roses. Ten zespół to moja pierwsza miłość, byłem na koncercie w wieku 10 lat. Ojciec, pasjonat muzyki i świetny realizator dźwięku, zabrał mnie i pięcioletniego brata do Budapesztu.

Wcześniej, gdy miałem sześć lat, tata zabrał mnie do szkoły muzycznej, żeby mnie nauczyli grać na gitarze, ale powiedzieli, że mam za małe palce. Oczywiście, że miałem, ale to takie słoweńskie – zamiast zaproponować na początek jakiś inny instrument, po prostu powiedzieli, że się nie da.

Ale może przeznaczenie nie chciało, że bym został muzykiem? Dziś muzycy mają jeszcze trudniej niż filmowcy. Żeby móc utrzymać rodzinę, trzeba być bez przerwy w trasie.

Nie zostałeś muzykiem, więc czym się zająłeś?

– Deskorolką. Kochałem to. I jazdę, i stylówkę, i to, że muzyka jest tak ważnym elementem tej kultury. I wszystko jest takie „fuck off”.

Są też inne elementy...

– Tego w życiu nie próbowałem. Alkoholu nie próbowałem, papierosów nie próbowałem. Red bulli, kawy nawet nie próbowałem. Żadnych narkotyków. Nic. Jestem z Bałkanów, jestem skejtem i nie paliłem zioła. Nawet w tym byłem buntownikiem. O, tego słowa po polsku nie lubię. Wolę rebel, wolę, jak słowo jest z „r”, to od razu inaczej brzmi, mocniej.

Można powiedzieć „rebeliant”.

– No to zawsze byłem rebeliantem, także wobec rodziców. Gdyby mi powiedzieli, że nie mogę alkoholu czy papierosów, to wszystkiego bym spróbował, doszedł do końca, pewnie byśmy dzisiaj nie rozmawiali.

A tak miałem ten rebeliancki sport, jeździliśmy, gdzie chcieliśmy, nieraz policja nas zatrzymywała, a ja się wdawałem z nią w dyskusję. Byłem czysty, policjanci nic mi nie mogli zrobić.

Jak zacząłeś kręcić filmy?

– Oglądaliśmy z kumplami skejterskie filmy i stwierdziliśmy, że zrobimy własny.

Wziąłem kamerę ojca, którą kupił na wakacje, i zacząłem kręcić. Szybko zrozumiałem, że jestem lepszym filmowcem niż skejtem. Wszystko znalazło się na swoim miejscu, gdy zmontowałem pierwsze wideo i podłożyłem do niego muzykę.

Zamiast punka, który był wszędzie, wybrałam „Kalashnikov” Bregovicia z filmu Kusturicy „Underground”. I bum! Od tego momentu wiedziałem, co chcę robić w życiu. Byłem szczęściarzem, wielu moich rówieśników nie wiedziało, wielu ludzi całe życie nie wie.

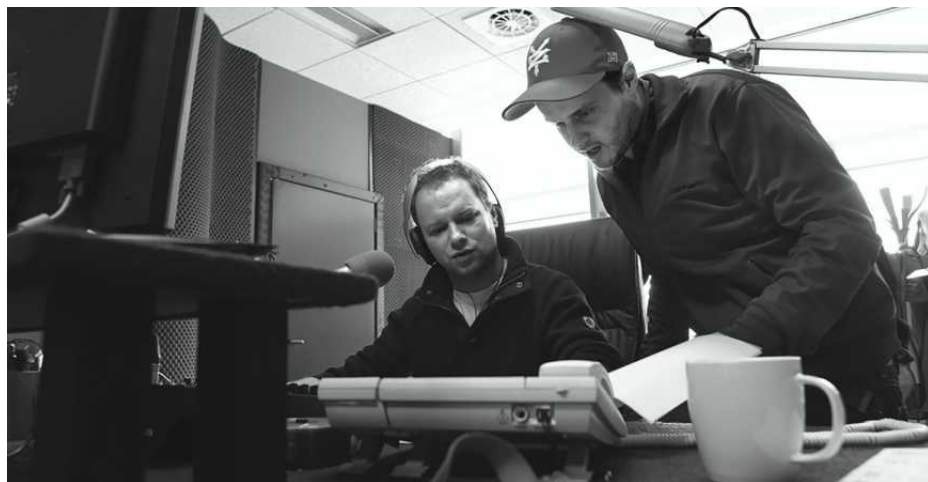
Filmowałem, montowałem, dodawałem muzykę. Studiowałem już wtedy ekonomię w Lublanie, w Kranju pracowałem w sklepie muzycznym, żeby zarobić na własną kamerę, spałem po dwie-trzy godziny, zawsze na zajęciach. A i tak pierwszy rok skończyłem jako jeden z najlepszych.

W końcu mi się znudziło, studiowałem jeszcze dwa lata dla mamy, ale właściwie mnie już tam nie było. Robiłem krótkie filmy, teledyski, więc logicznym kolejnym następnym krokiem był pełny metraż. Z kolegami zaczęliśmy pisać scenariusz. Wtedy popularny był Guy Ritchie, więc pisaliśmy w takim stylu.

Słoweńskie kino było nudne, powstawały dwa filmy rocznie, kręciły je stare dziady, nic się w nich nie działo... (pauza) Kurczę, ja zaraz będę starym dziadem, to będzie dopiero śmieszne...

Chciałem zmieniać świat, ale jak to zrobić bez kasy? Aktorzy zawodowi nie chcieli grać, ekipy profesjonalne pracować, mogłem liczyć tylko na przyjaciół i rodzinę. Nie traktowali mnie poważnie, ot, Mitja się bawi, nie wierzyli, że coś może z tego powstać, ale byli ze mną.

Po jakichś dwóch tygodniach zaczęli się jednak wykruszać. Na planie filmowym bywa nudno, nie miałem pieniędzy, żeby im zapłacić, więc pod koniec zdjęć prawie sam biegałem po planie.



• Na planie „Listów do M”. Od góry: Mitja Okorn i Maciej Stuhr, który zagrał dziennikarza radiowego Mikołaja.

Z Romą Gąsiorowską grającą Doris – śnieżynkę oraz z Pawłem Małaczyńskim czyli Władim, właścicielem firmy eventowej FOT. MARCIN MAKOWSKI/MAKUFLY (3)



Film „Tu pa tam” kosztował 2 tys. euro, montowałem go ze trzy lata. Chciałem go wprowadzić do kin, nie było jeszcze cyfrowych projektorów, więc potrzebny był transfer na taśmę. Poszedłem do słoweńskiego odpowiednika PISF-u, żeby mi dali na to 30 tys. euro.

W napisach umieściłem już logo instytutu przekonany, że to formalność. Ale to jest polityka, to są układy. Po co dopuścić młodych, kiedy można między sobą pod stołem kasę rozprowadzić? Odmówili.

Więc pożyczyłem pieniądze od lokalnych gangsterów, oni się okazali większymi miłośnikami kina, bo dali mi je bez procentu. A logo instytutu w napisach przekreśliłem. To był hit, jeden z najchętniej oglądanych filmów w historii Słowenii, a szef tego naszego PISF-u poleciał ze stanowiska.

Pieniądze gangsterom oddałem z procentem – zarobiłem i uznałem, że tak trzeba, bo zrobili mi karierę. Jeździłem z „Tu pa tam” po festiwalach, jak mnie wyrzucali drzwiami, wracałem oknem, w Cannes na plażę, na której było przyjęcie, przepływałem z innej z ciuchami w reklamówce. Wszędzie rozdawałem wizytówki, a potem widziałem je w koszach na śmieci.

W końcu zadzwonił telefon. Z Polski.

Co pomyślałeś?

– Że tu jest Syberia. Że macie wódkę, ziemniaki, prąd we wtorki tylko i że kamery musicie pożyczać od Niemców. Jak przyjechałem, szybko zrozumiałem, że to Słowenia jest bardziej zacofana, a Polska to świetny kapitalistyczny kraj.

Ale dzięki temu, że nie wiedziałem, dostałem pracę. Wszedłem do TVN na spotkanie z producentką serialu „39 i pół” Justyną Pawlak – to właśnie ona do mnie zadzwoniła – i producentem Darkiem Gąsiorowskim.

mówić po polsku, ale nie zawsze to wystarczało.

Zwłaszcza gdy aktorzy zaczynali improwizować, szczególnie Karolak. Bywało, że ekipa cała w śmiech, a ja musiałem poczekać, aż mi na angielski przetłumaczą. Ale na koniec dnia i tak najważniejsza jest energia w scenie. A to się czuje, nawet jak się nie zna języka.

Zrobiłem sześć pierwszych odcinków „39 i pół” i cały drugi sezon, dostałem kolejne propozycje, ale w żadnej się nie zakochałem, a mam tak, że jak czegoś nie kocham, to tego nie robię.

Na jakimś spotkaniu u producenta Darka Gąsiorowskiego w TVN zobaczyłem na biurku scenariusz. Zapytałem, co to, a on, że takie polskie „To właśnie miłość”. Poprosiłem, żeby mi go dał, i jak przeczytałem, to od razu wiedziałem, co z tym zrobić.

Co?

– Scenariusz był bardzo nierówny, wręcz chaotyczny, ale był w nim jeden wątek przeuroczy, piękny nawet – wątek małej Tosi z domu dziecka, która ucieka, żeby znaleźć sobie rodziców. Wiedziałem, że musi zostać, i wiedziałem, jak poprawić resztę, ale oryginalni scenarzyści nie bardzo chcieli współpracować i producen-

Jeździłem z „Listami do M.” po świecie i świetnie było słuchać, że ludzie nie znali Polski od tej strony, że mieli o niej równie niefajne wyobrażenia, co kiedyś ja. Choć za granicę trafiają dobre polskie filmy, to raczej te opowiadające o wojnie albo biedzie. A u mnie piękni ludzie, piękna Polska, Warszawa jak Nowy Jork

ci musieli ich odsunąć. Przez pół roku z kolegą ze Stanów pisałem nową wersję. Jak potem natknąłem na scenarzystę tej pierwotnej, to powiedział, że mu film zniszczyłem.

Scenariusz gotowy, wchodzisz na plan...

– Nie tak szybko.

Darek miał wątpliwości, czy powinienem reżyserować, całkiem uzasadnione. Mówił: nie jesteś Polakiem, nie wiesz, jak obchodzimy święta, nie masz tu rodziny. Ja na to, że nie muszę być alkoholi-

kiem, żeby zrobić film o alkoholu. Tak, nie jestem Polakiem, ale mogę zrobić research.

W Słowenii nie ma takiej wigilii z różnymi tradycjami, specjalnymi potrawami, jemy po prostu pieczonego kurczaka. To ma pewnie korzenie w czasach komunizmu, gdy u nas religijność wygasła, a dla was Kościół i tradycja były ostoją.

I jak twój research wyglądał?

– Pamiętam do dzisiaj, że zostałem w Warszawie, chyba jako jedyny z ekipy, bo tu nikt nie zostaje na święta. Poszedłem do Arkadii w Wigilię, zobaczyć, jaki jest ten dzień w galerii handlowej, a potem zapukałem na Pradze do jakichś ludzi jako ten „niezapowiedziany gość”. Przedstawiłem się, powiedziałem, że jestem ze Słowenii i nie mam z kim spędzić świąt, i ci ludzie mnie zaprosili, śpiewali kolędy, Biblię czytali.

Było pięknie. Ale też trochę smutno, czułem się samotny. Wokół byli naprawdę świetni ludzie, ale to nie byli moi rodzice, bracia, siostry. I ten smutek, mam nadzieję, też przekazałem w filmie.

Bo dostałem tę pracę. Zdjęcia zaczęły się w styczniu, a resztę już znasz. ●

Jak prezydent Duda może zmienić „Listy do M”

Po obejrzeniu sześciu części tej popularnej serii świątecznej jestem pewna, że bardzo potrzebujemy, żeby Wigilia była dniem wolnym od pracy

Maja Staniszevska

Pierwsze „Listy do M.”, polska odpowiedź na „To właśnie miłość” czyli wielowatkowa, słodko-gorzka komedia świąteczna, miały premierę 13 lat temu. Odniosły spektakularny sukces i doczekały pięciu kontynuacji, z których najnowsza, „Pożegnania i powroty”, wciąż jest w kinach.

Ale choć akcja wszystkich filmów dzieje się w Wigilię można odnieść wrażenie, że bohaterowie o tym zapomnieli, zajęci wszystkim poza przygotowaniem do świąt.

Co robią? Kupują, kupują i kupują. Prezenty, pierścionki zaręczynowe, artykuły spożywcze. Wybierają się na wycieczki krajoznawcze tak daleko, że istnieje niebezpieczeństwo, że nie zdążą na wieczerzę. Chodzą na lądź, przesiadują w restauracjach, kawiarniach albo w barach. A nawet robią remont specjalnie angażując ekipę Ukraińców, „bo u nich przecież święta za dwa tygodnie”. Ukraińcy mają jednak więcej rozsądku i się zwijają mówiąc, że po prostu będą świętować dwa razy.

Zapracowani bohaterowie i puste lodówki

Niektórzy pracują, a to zmuszeni do tego przez złe szefowe, jak radiowiec Maciej Stuhr w pierwszym filmie, a to dlatego, że są policjantami, jak Borys Szybczyński w części nr 3 i 4, a to dlatego, że jedyna praca, jaką byli w stanie znaleźć to świąteczny Mikołaj, w którego we wszystkich sześciu filmach wcielił się Tomasz Karolak. Jego chamski Mel, obecnie karykatura polskiego przedsiębiorcy, który nie chce płacić innym, a już na pewno nie chce płacić podatków, to najlepszy argument, żeby w Wigilię dać bohaterom wolne. Może jak będą mieli więcej czasu sami przebiórą się za Mikołajów, by wręczyć prezenty dzieciom i Mel stanie się niepotrzebny?

Albo zajmą przygotowanie świątecznych potraw, bo z tym we wszystkich „Listach do M.” jest kłopot. Bohaterowie jedzą „frytki z keczapem” (Maciej Stuhr i jego syn w pierwszym filmie) albo bigos z niewypłukanymi odpowiednio grzybami (Cezary Pazura w czwartym), albo nic,



• Kadr z filmu „Listy do M. 4” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

bo w lodówce pustki (Jan Peszek w piątym). U innych pojawiają się ryby, pierogi, czy barszcz, ale to można uznać za świąteczny cud. Czy to catering czy jednak zajęte niewidoczne na ekranie żony i matki bohaterów – pewnie głównie to drugie. Kolacje wigilijne najlepiej udają się, gdy bohaterowie się do kogoś wproszą, albo ktoś wprosi się do nich przynosząc jedzenie ze sobą.

Może też, gdy Wigilia będzie wolna, Karina i Szczepan grani we wszystkich częściach przez Agnieszkę Dygant i Piotra Adamczyka, nie będą się tak bez przerwy wrzeszczeć na siebie? Jego obsesja spędzania świąt z rodziną ją doprowadza do szału, jeśli pokłóć się wcześniej w Wigilię będzie już spokój?

„Listy do M” sięgają po trudne tematy, ale sobie z nimi nie radzą

Jedyną osobą, która skorzystała by z jakiegos angażującego zajęcia w święta jest grany przez Wojciecha Malajkata Wojciech, którego ukochana żona zmarła między drugim a trzecim filmem. Jest naukowcem, wiec mu to raczej nie grozi. Wojciech więc w święta się miota, tęskni i rozpacza. W końcu, w najnowszym filmie, nawet próbuje odebrać sobie życie.

Przyznając, że razi mnie dezynwoltura z jaką filmy z serii „Listy

do M.” podchodzą do tematu samobójstwa. W pierwszym można to było jeszcze jakoś wybaczyć. Scena na dachu, w której Szczepan, wtedy jeszcze policyjny psycholog, ma odwieść od skoku desperata, a w końcu skacze sam (lądując bezpiecznie na pacy cię żarówkami wiozącej choinki), ma pokazać jego stan psychiczny, ale jednocześnie jest dość komediowa – przypomina scenę z „Zabójczej broni” – i krótka.

W drugim filmie jednak próba samobójcza jest już dramatyczna, a potraktowana jako tło. Wydało się, że twórcy się zmięgliwali i z takiej instrumentalizacji poważnego tematu zrezygnują, ale w najnowszym filmie to praktycznie cały wątek Wojciecha, który jest przecież jednym z głównych bohaterów.

Wszystkie „Listy do M.”, choć mają być świąteczną rozrywką, próbują trudnych tematów: samotności, choroby, śmierci, biedy, uzależnienia czy bezdomności, ale mają do nich wyjątkowo ciężką rękę. Najlepiej radzi sobie część pierwsza, żadna z kolejnych do jej poziomu słodko-gorzkiej obyczajowej historii niestety nie dorównuje.

„Listy do M” się cofają

Są jednak kwestie, w których filmy robią krok, a może nawet kilka kroków wstecz. W pierwszym,

który premierę miał w 2011 roku, był wątek granego przez Pawła Małaszyńskiego Władiego, przystojnego właściciela firmy eventowej, którego rodzice dopytywali o dziewczynę i który poprosił nawet jedną z pracowników, by tę dziewczynę zagrała. W końcu jednak zabrał na wigilijną wieczerzę swojego chłopaka. Władzi z chłopakiem pojawiają się jeszcze przez moment w drugim filmie, ale więcej osób LGBT w Warszawie z „Listów do M.” nie będzie. Jakby twórcy przestraszyli się własnej otwartości i stracili wiarę w widzów.

Wszystkie „Listy do M.”, choć mają być świąteczną rozrywką, próbują trudnych tematów: samotności, choroby, śmierci, biedy, uzależnienia czy bezdomności, ale mają do nich wyjątkowo ciężką rękę

Ci mogli za to stracić wiarę w twórców, gdy w części czwartej, tej z 2020 roku, zaserwowano im żenujące żarty o molestowaniu seksualnym i próbę ośmieszenia zasad jakie powinny obowiązywać w miejscu pracy. Nie ma przecież nic zabawniejszego od Mela mówiącego na spotkaniu firmy z nową szefową „Obudźcie mnie jak cycki pokaże”, prawda? Jeśli to miała być reakcja na #metoo to była ona co najmniej zastawiająca.

Warszawa jak Nowy Jork

Jedno pozostaje stałe, jak mówi Mitja Okorn, reżyser pierwszej części, która wyznaczyła estetyczny kierunek serii: „piękni ludzie, piękna Polska, Warszawa jak Nowy Jork”.

Ta ostatnia jest nawet jeszcze bardziej „nowojorska”, bo przez 13 lat wyrosły w niej nowe wieżowce, których ujęcie jest nieodłącznym elementem prawie każdego filmu. Podobnie jak rozświetlone świąteczne ulice, elegancie kamienice i wille (może dwie rodziny mieszkają w zwykłym bloku), nowoczesne biura, modne restauracje.

A co się zmieniło? Niewiele, w końcu jedną z tajemnic sukcesu tej filmowej serii jest to, że widzowie dostają to, co lubią.

Jedna zmiana jest drobna, ale znacząca: w pierwszym filmie można zobaczyć żywe karpie sprzedawane na ulicy, w czwartej zaangażowana młodzież karpie wypuszcza do stawu.

Druga już wyraźnie rzuca się w oczy: bohaterowie przestali kręcić się do zamknięcia po centrum handlowym. W szóstej części wpadają już tylko na moment, zakupy robią gdzie indziej, pojawia się też rozwożący przesyłki kurier. Z realnego świata nie dotarły jeszcze tylko paczkomaty, przez które przechodzi coraz więcej świątecznych sprawunków. Być może żadna z firm świadczących takie usługi nie zdecydowała się na product placement.

Tego zresztą też jest mniej. Na przykład po obowiązkowy pierścionek zaręczynowy bohaterowie nie idą już do sklepu dużej sieci jubilerskiej, a do zegarmistrza-pasera.

Jeśli jednak prezydent Andrzej Duda zdecyduje się podpisać ustawę wprowadzającą dzień wolny w Wigilię, w potencjalnej siódmej części „Listy do M.” czekać będzie rewolucja. ●

OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310979

W PIĄTEK W „WYBORCZEJ” SPECJALNE WYDANIE

Prosto z Polski

- Drożyzna dotyka klasę średnią. Czy to czas zacząć oszczędzać?
- Nasze miasta budowane są bez ładu i składu. Kto dzisiaj jeszcze słucha architektów?



Niesforna brew Carlo Ancelottiego

15 trofeów zdobytych z Realem Madryt daje Carlo Ancelottiemu status najbardziej utytułowanego trenera w historii klubu, co nie przeszkadza hiszpańskim mediom „zwalniać” go po każdej porażce.

Dariusz Wołowski

Zmarły w 1990 roku Hiszpan Miguel Munoz prowadził Real Madryt 14 lat i wywalczył z nim 14 tytułów. Wcześniej przez dekadę grał w nim jako piłkarz. Stworzył legendę, z którą długo nikt nie mógł się równać. Posada trenera Królewskich jest gorąca: w latach 2003-2013 zespół prowadziło 10 szkoleniowców, aż prezes Florentino Perez wskazał na Ancelottiego.

Dwa trofea

Od ubiegłej środy Włoch jest numerem 1 wśród trenerów klubu z Santiago Bernabeu. W Katarze jego drużyna wygrała finał Pucharu Interkontynentalnego, pokonując gładko meksykański zespół Pachuca 3:0. 15 trofeów Ancelotti wywalczył z Realem w znacznie krótszym czasie niż Munoz swoje 14. Hiszpan spędził na ławce Królewskich ponad 5000 dni, Włoch – niespełna 2000.

Dwa z tych zwycięstw Ancelotti stawia ponad wszystkie. Wyjątkowa była La Decima – czyli 10. triumf w Pucharze Europy w 2014 roku. Królewscy czekali na to długie 12 lat, patrząc jak Barcelona trzykrotnie wznosi najbardziej prestiżowe trofeum w klubowej piłce. Drugim triumfem, które zapadło w pamięć Carletto, była Liga Mistrzów w 2022 roku, zakończona zwycięstwem w finale w Paryżu nad Liverpooliem 1:0.

Obydwa sukcesy dzielił bolesny moment rozstania, a raczej dymisji. W maju 2015 roku Perez nie darował Ancelottiemu sezonu zakończanego bez trofeum. Zwolnił Włocha, z czego ten dziś sobie żartuje. Cztery lata później Carlo zadzwonił do byłego klubu. – Chciałem sprawdzić, czy uda mi się kupić z Realu jakiegoś piłkarza, a oni wpadli w zasadzkę – powiedział w środę z szerokim uśmiechem. Perez zatrudnił Ancelottiego po raz drugi, bo zespół przeżywał bardzo zły okres. Nie poradził sobie z nim nawet Zinedine Zidane, który na trenera wyrastał przy Carletto podczas jego pierwszej kadencji w Realu.

Nie, Ancelotti nie nosi w sobie urazy do Pereza, ani nikogo innego. Taki ma charakter, rozumie reguły piłkarskiego rynku. Uważa się za faceta, któremu futbol przyniósł same dobre emocje i doznania. Czuje się szczęściarzem, ale zapracował na to szczęście bardzo solidnie. Sukcesy nie przewróciły mu w głowie, choć był znakomitym piłkarzem, a teraz jest wielkim trenerem. Być może największym – jako jedyny zdobywał tytuły mistrzowskie w pięciu największych ligach Europy. Champions League wygrał pięć razy i to także jest rekord wśród szkoleniowców.

Wielu trenerów wścieka się na humory prezesów, którzy nie dają im elementarnego komfortu pracy. Ancelotti też był wyzuczany na bruk. Woli jednak powtarzać, że z Realem trofea zdobywa się łatwo, bo ma w składzie wielkich piłkarzy, którzy odwalają robotę za niego. On siedzi na ławce, żuje gumę i w przypadkach podwyższonego stre-



• Carlo Ancelotti na konferencji prasowej po przegranym 0:2, wyjazdowym meczu Ligi Mistrzów z Liverpooliem, 27 listopada 2024 r.

FOT. ANDREW BOYERS

su unosi brew. Siła spokoju spływa na gwiazdy w najtrudniejszych nawet momentach.

Przecież w 2022 roku w fazie pucharowej Ligi Mistrzów Real przegrywał z PSG, Chelsea, Manchesterem City i za każdym razem, w cudowny sposób, odwracał losy dwumeczu. Z angielskimi rywalami wygrywał po dogrywkach. Tamten triumf zbudował w Realu i jego rywalach przekonanie, że jest jeden zespół zdolny się podnieść w każdej, nawet beznadziejnej sytuacji. Być może właśnie wtedy Kylian Mbappe zrozumiał ostatecznie, w jakiej drużynie najłatwiej mu będzie zdobyć Champions League.

Człowiek, który się z nikim nie kłóci

Rok temu wydawało się, że Ancelotti opuści Real, by poprowadzić reprezentację Brazylii w Copa America. Królewscy wygrali jednak potem mistrzostwo Hiszpanii i Ligę Mistrzów, trener na Santiago Bernabeu nie mógł się więc zmienić. Ancelotti dostał w nagrodę Mbappe, ale presja tylko wzrosła. Część działaczy i kibiców umyśliła sobie, że skoro najlepszą drużynę świata wzmacnia najlepszy piłkarz, to powinna być ona nie do pokonania.

Tymczasem Real przegrał w tym sezonie już pięć meczów: trzy w Lidze Mistrzów i dwa w La Liga, w tym aż 0:4 klasyk z Barceloną. Katalończycy unosili się wtedy nad boiskiem, ale Ancelotti jak zwykle zachował spokój. „Real przyzwyczaja się do porażek” – pisał dziennik „Marca” po przegranej Królewskich z Athletic Bilbao 4 grudnia. Po każdej wpadce prasa w Hiszpanii debatuje, że to kres Ancelottiego w Realu. Włoch żuje gumę, unosi brew i odpowiada na ataki z rozbrajającym opanowaniem.

Nie pozwolił mu Florentino Perez polecieć na galę „France Football”, by odebrać tytuł trenera roku i też nie robił z tego problemu. Podziękował za dowód uznania i nie chciał się wdawać w kłótnię, czy Vinicius Junior powinien dostać „Złotą Piłkę”, a nie Rodri z Manchesteru City. Brazylijczyk otrzymał nagrodę „The Best” od UEFA we wtorek, po czym następnego dnia błysnął w starciu z Pachuca. Trio MVB czyli Mbappe-Vinicius-Jude Bellingham wypracowało pierwszego gola. Zapytano Ancelottiego, czy nie

ma kłopotu z zarządzaniem tak gwiazdorską szatnią. Odpowiedział, że traktuje to jako przywilej.

Nie zaprzecza, gdy dziennikarze hiszpańscy sugerują, że sukcesy Realu są dziełem Davide Ancelottiego. 35-letni syn, który jest asystentem Carletto, podrzuca ojcu rozwiązania taktyczne i pomaga przy korzystaniu z nowych technologii. Trener Realu nie widzi problemu, by dzielić się z nim uznaniem i zaszczytami. Starcza ich dla obydwu.

W czerwcu 2013 roku Ancelotti zastąpił w Realu Jose Mourinho. Przez trzy sezony Portugalczyk wywoływał nieustanne wojny. Zwalczał Barcelonę, jej ówczesnego trenera Pepa Guardiolo, doprowadził do sytuacji, w której każdy hiszpański klasyk kipiał

od niezdrowych emocji. Deptał Seniorio – czyli ideę fair play, z której Real był dumny. I w trzy lata wywalczył trzy trofea: mistrzostwo, Puchar Króla i Superpuchar Hiszpanii. Po jego odejściu na Santiago Bernabeu spłynął spokój Ancelottiego. Jowialny Włoch rozpoczął kolejną złotą erę wielkiego klubu.

Po finale Pucharu Interkontynentalnego Viniciusowi Juniorowi przypomniano, że odłąd trafił do Realu w 2018 roku, klub wygrał 14 trofeów, Barcelona w tym czasie 4, a Atletico Madryt jedno. Za eksplozją talentu Brazylijczyka stoi Ancelotti. Trenerska ręka Włocha wpełchnęła go na piłkarski Olimp. Dziś jest najwyższym wycenianym piłkarzem świata (200 mln euro).

Kiedy zdziśniętówani urazami Królewscy przegrali trzy mecze w obecnej edycji Ligi Mistrzów, do Ancelottiego zadzwonił przyjaźniony dziennikarz z Włoch. „Wszyscy wokół pytają mnie: co się dzieje z Realem” – zagadnął. „Powiedz im, że będzie w finale w Monachium” – odpowiedział Carlo. Mimo kłopotów Królewscy zdobyli już jesienią dwa trofea (Superpuchar Europy i Puchar Interkontynentalny) i są w walce o wszystkie pozostałe. A mogą ich zdobyć w tym sezonie aż siedem. Mają szansę wygrać także Superpuchar i Puchar Hiszpanii, mistrzostwo kraju, Ligę Mistrzów oraz klubowy mundial organizowany przez FIFA. Tego nikt nigdy wcześniej nie miał szansy dokonać. ●

Ancelotti uważa się za faceta, któremu futbol przyniósł same dobre emocje i doznania. Czuje się szczęściarzem, ale zapracował na to szczęście bardzo solidnie

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
GRAFICY: Magdalena Birska, Paweł Kapusta, Tomasz Lebiada, Paweł Lubowicz, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek, Natalia Michalska
KOLPORTAŻ: Michał Szalański
Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl

Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwias

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Marta Gądek
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

